

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ Nr 6/537 1992



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- K. WOLICKI: **SPADANIE**
T. CHRZANOWSKI: **POLACY, POLONUSY...**
J. KURSKI: **WOKÓŁ WODZA**
W. GOMBROWICZ: **NIEZNANY FRAGMENT
„DZIENNIKA”**
A. KOWALCZYK: **RZECZPOSPOLITA
TELEKOMUNIKACYJNA**

SPIS RZECZY

Krzysztof Wolicki:	<i>Spadanie</i>	3
Tadeusz Chrzanowski:	<i>Polacy, Polonusy i Polusy a historia</i> ...	10
Adam Kulik:	<i>Pogranicze</i>	21
	WIERSZE	
Paweł Mayewski:	<i>Testament — Komi — W lesie — **</i>	39
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Janusz Mondry:	<i>Podstawy sukcesów gospodarczych Japonii</i>	43
	OBSERWATORIUM	
—	<i>Polska „lekcja etyki”</i>	51
	KRAJ	
Jarosław Kurski:	<i>Wokół wodza</i>	53
Wojciech Giełżyński:	<i>Nie zginęła... jeszcze nie...</i>	57
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	66
Jeremi T. Królikowski:	<i>Symbol niemożności</i>	74
	SPRAWY I TROSKI	
Jerzy Boniecki:	<i>Cechy Polaków</i>	78
	SĄSIEDZI	
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina i sąsiedzi</i>	81
Wywiady Bohdana Osadczyka:	<i>Z Iwanem Draczem</i>	86
	<i>Z Myrosławem Popowyczem</i>	88
Dymytr Pawłyyczko:	<i>Oświadczenie „Idźmy razem”</i>	90
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	91
	KRONIKA KULTURALNA	
Witold Gombrowicz:	<i>Nieznany fragment Dziennika</i>	97
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Ribera — Hiszpańczyk Partenopejski</i> ...	107
Bolesław Bakuła:	<i>Poezja ukraińskich „nieobecnych”</i>	114
	CI, CO ODESZLI	
Jacek Niećko:	<i>O Pawle Mayewskim</i>	122
	KSIĄŻKI	
Stefania Kossowska:	<i>„Zagubieni romantycy” i inni</i>	125
Janina Katz Hewetson:	<i>Proza Pawła Huelle</i>	128
Tomasz Mianowicz:	<i>Papież a komunizm</i>	132
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	136
	POLEMIKI	
Andrzej Kowalczyk:	<i>Rzeczpospolita telekomunikacyjna (Największy skandal 3-ciej RP)</i>	139
	•	
—	<i>Wydarzenia miesiąca i Kronika szwedzka</i>	147
	•	
J. Bierezin, N. Fiedin, K. Karnkowski, J.A. Tomasz-kiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	155
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159
—	<i>Komunikat Archiwum Wschodniego</i> ...	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ *Magazine* Czerwiec - Juin 1992

INSTYTUT



LITERACKI

KULTURA

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Marian J. Blahaczek, Howard City, MI (USA), po raz 9-ty — dol. 4,00	F.	21,60
Dr Jan Dierick, Leuven (Belgia) — dla uczczenia pamięci Romàna Zimanda — Leopoldy, lwowiaka	F.	75,00
Jan J. Gólnik, Papillion, NB (USA) po raz 8-my — dol. 50,00	F.	270,00
Ryszard Hermanowski, Jamaica, NY (USA) — dol. 20,00	F.	108,00
M.I., Michigan (USA), po raz 8-my — dol. 1.000,00	F.	5.400,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 56-ty	F.	405,00
Anonimowo z Nowego Jorku, po raz 12-ty — dol. 87,00	F.	470,00

DZIĘKUJEMY!

INSTYTUT LITERSKI

Spadanie

1. Na początku maja upadek premiera Jana Olszewskiego wydawał się nieuchronny. Podobny raczej do rannego byka na corridzie niż do misia Koali z „Polskiego Zoo”, premier brnął od nieudanych spotkań z prezydentem do nieudanych wystąpień w Sejmie. Z Wałęsą miał uzgodnić jakiś podział kompetencji, jakiś *modus vivendi*; nie dogadali się nawet na tyle, by się uprzedać wzajemnie o swych zamierzonych wystąpieniach publicznych. (Kiedy 8 maja prezydent wygłaszał orędzie w Sejmie, premier nie przyszedł. Podobno go nie powiadomiono na czas o godzinie, ale sądzą, że nie znając tekstu, obawiał się publicznego ataku ze strony prezydenta. Ten tymczasem przyszedł raczej łagodnie: „nie wolno myśleć o nowych wyborach, a tylko o metodach skuteczniejszej pracy i systemowych rozwiązaniach służących skuteczności...”, „...podejmuję jeszcze raz próbę wkomponowania się w obecny układ parlamentarny” itd. Oto jeden z wielu przykładów zerwanej komunikacji, nie mówiąc już o współpracy.) W Sejmie premier ironizuje na temat państwa prawa i bezprecedensowych ponoć uprawnień Trybunału Konstytucyjnego, co w ustach prawnika może być jedynie wyrazem głębokiego lekceważenia słuchaczy. Po drodze od prezydenta do Sejmu, premier wpada na konferencje prasowe, na których z reguły nie ma nic do powiedzenia, ale za to mówi to z namaszczeniem, z przerwami, rąbiąc słowa, żeby lepiej doszło. Ponieważ jednak tekst jest informacyjnie pusty, zatem im bardziej akcentowany, tym bardziej wydaje się wyzywający. Do tego dołącza się ulubiona figura retoryczna rządzącej koalicji, którą środki przekazu nieustannie ponoć krzywdzą. Jan Olszewski widzi się nadal adwokatem spraw przegranych, choć moralnie słusznych. Tym skwapliwiej dziennikarska i sejmowa gawiedź wytrzeszcza oczy, wypatrując chwili, gdy ranny byk padnie na piasek...

Jedynym w istocie czynnikiem, który sprawiał, że gabinet Jana Olszewskiego ciągle jeszcze trwał, była niegotowość i przeciwników, i przyjaciół politycznych premiera, całej bez mała klasy politycznej, do podjęcia już teraz ryzyka kryzysu rządowego, który nadciągnął jak gdyby wbrew jej woli, zbyt prędko, zbyt gwałtownie i ze zbyt wielu stron naraz.

Przyjaciele polityczni premiera, którzy dopiero co wierzyli, że uda się spacyfikować i zneutralizować opozycję parlamentarną dzięki „rozszerzeniu koalicji wokół programu” („program mamy wspólny, a fotele nasze”), przekonali się ze zdumieniem, iż, całkiem odwrotnie, nieudane rokowania skonsolidowały opozycję, natomiast koalicja rządowa kurczy się, a nie rośnie. Odpadł Artur Balazs z PSL „S”, wysiadł Andrzej Olechowski, drugi oficer, który liczy, być może, że mu armator Wałęsa zaoferuje dowództwo następnego statku. Paweł Łączkowski (pseudo sejmowe: kogucik na dachu) wycofał z koalicji swoją Partię Chrześcijańską Demokrację, aby ująć się za obrażonym przez premiera prezydentem. Porozumienie Centrum, które nazywają już Centralnym Nieporozumieniem i w którym nawet taki zongler jak Jarosław Kaczyński przestaje panować nad skłóceniem wewnętrznym (chadecy-niechadecy, parysowcy-antyparysowcy, populiści-liberałowie), rozgląda się za kandydatami na premiera: może Jerzy Eysymontt? a może Adam Strzembosz? lub w ostateczności Wiesław Chrzanowski? Tak czy inaczej, przyjaciele polityczni Jana Olszewskiego — i jest w tym niewątpliwa ironia polityki — chcieliby koniecznie, żeby kryzys rządowy, jeśli już nie uda się go uniknąć, wyglądał na kryzys personalny, niepowodzenie osobiste premiera, skutek zwłaszcza jego skłóceń z prezydentem, którego konfliktowa osobowość stanowiłaby drugi biegun kryzysu. Stąd także, wśród koalicjantów, niewspółmiernie wielka rola, jaką w spowodowaniu kryzysu przypisuje się demonicznym doradcom, Najderowi u Olszewskiego, Wachowskiemu u Wałęsy. Niezależnie jednak od rzeczywistości nadmiernej roli, jaka na źle zinstytucjonalizowanej scenie władzy przypada u nas osobowościom polityków, ta prosta i wygodna eksplikacja kryzysu już nie trafia do przekonania. Świadczy o tym chociażby zupełny zamęt w odpowiedziach na ankiety socjologów, którzy chcieliby wydobyc z respondentów, jak im się kojarzy kryzys rządowy z odpowiedzialnością polityków. Rozrzut odpowiedzi jest zupełnie chaotyczny.

Jeśli przyjaciele premiera nie umieją jeszcze wyjść poza personalny aspekt kryzysu rządowego, to w opozycji jest tylko w części lepiej. „Mała koalicja” Unii Demokratycznej, Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Polskiego Programu Gospodarczego przedstawia się opinii jako „osłona reform prowadzonych demokratycznymi metodami”. Inicjatywy polityczne gabinetu Ol-

szewskiego (zwłaszcza ministrów Stelmachowskiego, Kropiwnickiego, Parysa, Maciarczewicza i Włodarczyka) i w ogólności jego styl rządzenia przywróciły tej wytartej formule nieco wiarygodności i pewną atrakcyjność, ponieważ niezręczności i otwarta zła wola strony rządowej kierują uwagę opinii właśnie ku obronie „demokratycznych metod”, natomiast pozwalają jej raczej zapomnieć, że samych „programów reform” rządu i opozycji nie daje się odróżnić. Przynajmniej nie na poziomie owocnym wyborczo. Nad takim rozróżnieniem mała koalicja dopiero zaczyna pracować, stąd np. jej zwrot ku problematyce samorządu terytorialnego, po dwuletnim milczeniu. Tak więc trzy partie opozycyjne są wprawdzie w stanie wyjść poza personalia, ale bynajmniej nie docierają jeszcze do społeczno-ekonomicznych korzeni kryzysu. Nie docierają — nie znaczy, oczywiście, że o nich nie wiedzą. Nie umieją się jednak do tej wiedzy ustosunkować politycznie, to znaczy powiedzieć wyborcy, o ile i dlaczego ich rząd miałby w tej dziedzinie bardziej atrakcyjną ofertę.

Najmniej przygotowany na ryzyko natychmiastowego kryzysu rządowego jest, paradoksalnie, sam prezydent Wałęsa, mimo że najgłośniej o tym kryzysie mówi. Partia prezydenta, która ma być definitywną bronią Belwederu, na wypadek gdyby partnerzy nie przyjęli postulowanych „usprawnień”, jest już dziś mało przekonująca. Nie tylko dlatego, że popularność prezydenta bardzo zmalała, ale zwłaszcza dlatego, że nie widać dość skutecznych polityków, którzy chcieliby odegrać rolę drużynowych u Wałęsy: na pewno nie będą nimi dawni generałowie z OKP, ani pierwszego ani drugiego, ale też nie przyjmą takiej roli grający na własny rachunek Moczulski czy Pawlakowie. Manifestacja Solidarności w Warszawie, która dała poniekąd początek ostrej fazie kryzysu rządowego, ukazała dowodnie, że związek przestał już być bazą polityczną Wałęsy. Mimo wysiłków pierwszego organizatora pochodu, Mieczysława Gila, i mimo usilnych prezydenckich umizgów, Wałęsie gwizdano mniej niż posłom i premierowi, ale gwizdano...

2. Kryzys rządowy wiszący nad Polską jest w swej istocie kryzysem młodego państwa, owej Trzeciej Rzeczypospolitej. Wraz ze swobodami indywidualnymi to znów w pełni suwerenne polskie państwo jest ogromną, ale też jedyną zdobyczą Polaków po upadku komunizmu. Na niej właśnie i tylko na niej zasadza się cała szansa narodu i zwłaszcza jego młodszych pokoleń; szansa i gotowość do ofiar. Otóż Trzecia Rzeczpospolita jest z jednej strony przedmiotem konfiskaty, z drugiej rozczarowania. Razem nazywało się to kiedyś alienacją państwa. Proces tej alienacji trwa niemal od początku, od 1989 roku; piszący te

słowa jest zdania, że zagrożenie było nieodłączne od samej strategii Okrągłego Stołu (mówiłem o tym m.in. w dyskusji w *Tygodniku Powszechnym*, nr 19/1992). Nie dyskwalifikuje to jeszcze owej strategii, ale wymagało, niewątpliwie, specjalnych starań, których potem zabrakło. Nie będę jednak powracał do historii minionych trzech lat. Jesteśmy w maju 1992. Punktem wyjścia dla nowej ekipy u władzy było właśnie bardzo głośne potępienie owej alienacji — i bardzo szczególna kuracja. Lekiem na alienację państwa ma być mocne państwo. Dla obecnej ekipy mocne państwo, to przede wszystkim państwo lepiej określone. A więc, na przykład, nie po prostu polskie, lecz polskie i katolickie. I nie takie sobie, rozmamłane, demokratyczne, oddzielające prywatność od sfery publicznej, sferę publiczną od administracji państwowej i wreszcie administrację od każdorazowego rządu. Mocne państwo to państwo dobrze widoczne, nieustannie celebrowane, państwo które ukazuje swym obywatelom, gdzie tkwi samo jądro państwowości, kwintesencja Trzeciej Rzeczypospolitej. W rządzie rzecz jasna. Nade wszystko zaś mocne państwo powinno mieć wrogów, jeśli zaś z pewnych względów nie wypada o nich mówić w czasie teraźniejszym, to przynajmniej trzeba pamiętać o wrogach przeszłych i przyszłych. Zewnętrznych i wewnętrznych.

Otóż Polska rzeczywiście potrzebuje mocnego państwa. Ale to znaczy państwa o sprawnych służbach publicznych, w którym policja nie pozwala ludziom tonąć, jak owemu kierowcy fiata, pograżającego się w podwarszawskim stawie, bo akurat jest niedziela i nie ma dyżuru. Mocnego państwa, to znaczy również państwa ścigającego każde przestępstwo, gdzie prokuratura nie tłumaczy się brakiem etatów. Mocne państwo stoi na straży interesów społecznych i potrafi interweniować skutecznie w ich obronie, niezależnie od tego, czy się to akurat podoba wyznawcom niewidzialnej ręki rynku. I nade wszystko, mocne państwo stara się mieć jak najwięcej przyjaciół we własnym społeczeństwie i wśród sąsiadów — nie zaś jak najwięcej wrogów. I wreszcie mocne może być li tylko państwo sprawiedliwe. Otóż nie wystarczy świętować upadek komunizmu, aby poradzić sobie z zawsze obecnym podejrzeniem (wcale nie tylko markowskim), że państwo jest narzędziem w rękach rządzących przeciw rządzonemu, bogatych przeciw biednym, silnych przeciw słabym. Państwo musi się co dnia starać o sprawiedliwość, zarabiać na dobre imię. W sprawiedliwym państwie polskim nie ma miejsca na różne kategorie obywateli, na Polaków bardziej i mniej prawdziwych.

Polse jest dziś dalej do państwa rzeczywiście mocnego niż było pięć miesięcy temu. Obóz u władzy obciążają w tym względzie dwa zwłaszcza zespoły faktów: cyniczne posługiwanie się has-

łem dekomunizacji dla zastraszania konkurentów politycznych i umacniania własnych stołków oraz zaognianie konfliktu religijnego, któremu nadaje się wyraźne formy ideologiczne.

Do pierwszego z tych rozdziałów należą kadrowe przedsięwzięcia URM-u i paru kluczowych ministerstw (MSW, MPOS, MON). Szczególnego rozgłosu nabiera tzw. sprawa Parysa (choć, po prawdzie, należałoby mówić o sprawie Parysa-Szeremietiewa). Kierownictwo MON wie, oczywiście, doskonale, że nie ma żadnej szybkiej metody oddzielenia „skomunizowanych” od „nieskomunizowanych” słuchaczy sowieckich akademii wojskowych i wcale mu zresztą nie o to chodzi. Szeremietiew (w telewizyjnych „100 pytań do...”) wyznał niechęć, w czym rzecz: w tym, jak powiedział, żeby „dać sygnał” korpusowi oficerskiemu, że w MON „coś się zmieniło” i żeby ów korpus zareagował. Łatwo sobie wyobrazić, co się dzieje w wojsku, w którym kapitanowie otrzymują sygnał, że teraz można prędko zostać generałem. W połowie maja sprawa Parysa miała znaleźć finał. Wiele wskazywało jednak, że w przygotowaniu była już sprawa następna, Maciarewicza i czarnych tezek. Zdaniem ministra listę współpracowników SB przygotowywano już przed wyborami parlamentarnymi, z myślą o sprawdzeniu kandydatów. Poprzedni szef MSW, Henryk Majewski, temu przeczy. Pierwsze egzemplarze list (sto kilkadziesiąt nazwisk) już krążą. To jest jednak raczej rubryka skandali, z których żyje szczególna odmiana prasy politycznej (*Nie Urbana* nie gorzej niż *Nowy Świat* Wierzbickiego). Narastający konflikt religijny jest sprawą poważną i angażuje poważnych ludzi i bardzo ważne instytucje.

Cytat:

„Nauczanie religii w szkołach, oparte na zasadzie dobrowoli (co jest ustępstwem wobec istnienia ludzi odrzucających chrześcijaństwo, chociaż można dyskutować, czy odwracanie się od moralności i demonstrowanie lekceważenia dla systemu wartości, na którym oparta jest nasza cywilizacja i kultura, zasługują na takie samo traktowanie, jak wyznawanie tych wartości) służy społeczeństwu. Nie jest bowiem społecznie obojętne, jak dużo ludzi uznaje i aprobuje zasady moralności chrześcijańskiej. Nikt w zasadzie nie kwestionuje słuszności i społecznej przydatności tych zasad — pomijając całą stronę transcendentalną. Dlatego atakowanie nauczania zasad etyki w szkołach jest po prostu atakiem na podstawy ładu moralnego, a pośrednio atakiem na społeczeństwo. Tak też powinno być oceniane i traktowane.

Manifestacje przeciwko Kościołowi są manifestacjami hańby,

są przejawem tej samej agresji, którą znajduje się w niektórych listach pełnych inwektyw pod adresem Boga, Matki Najświętszej, Ojca Świętego, dzieci nienarodzonych i ich obrońców, pełnych nienawiści do ZChN-u, polskiego Kościoła, tych wszystkich wartości, w których się wychowałem i o których sądziłem, że w polskie serca i polskie umysły wpisane są na zawsze. A jednak, podobnie jak w latach poprzednich, tylko innymi sposobami, trzeba dziś walczyć o Polskę”.

Cytat pochodzi z artykułu posła Stefana Niesiołowskiego, przewodniczącego klubu parlamentarnego ZChN, w tygodniku *Niedziela* z 3 maja 1992: „Spór o religię — spór o Polskę”. Wypada zwrócić uwagę na wysoką rangę ZChN wśród wartości, pomiędzy dziećmi nienarodzonymi a polskim Kościołem. Można by się też pobawić we wspominki, jak wytrwale (i słusznie) Kościół zwalczał mieszanie się szkoły w sferę wychowania zastrzeżoną li tylko dla rodziców i rodzin; no, ale chodziło o inną indoktrynację. Na szczególną uwagę zasługuje zawartość nawiasu w przytoczonym tekście.

Wywód zaprezentowany przez Stefana Niesiołowskiego nie jest wcale odosobniony, przeciwnie, jest reprezentatywny. Z okazji 3 maja biskup Głódź, naczelny duszpasterz WP, zażądał, by przyszła konstytucja zaczynała się od słów „W imię Boga Wszchemogącego, w Trójcy Świętej Jedynego...”. Jeszcze rok temu senat pod przewodnictwem p. Alicji Grześkowiak zadawał się Wszchemogącym, bez Trójcy... Pozostaje czekać na wniosek o umieszczenie we wstępie całego Credo i wtedy wznowić spór o „Filioque”...

Zestawiam te skądinąd tak różne wypowiedzi, aby ukazać, że w naszej zimnej wojnie religijnej wcale nie chodzi o to, o co chodzi na pozór: o naprawę obyczajów. Chodzi natomiast o wytworzenie czy też przywrócenie pewnego kształtu polskości i ufundowanie na nim właśnie nowej polskiej państwowości. W tej konstrukcji Polak jest katolikiem; inny może być ewentualnie tolerowany. Zaczyna się, oczywiście, od działań symbolicznych, stemplowania owiec i kozłów. Ale na symbolach rzadko się kończy.

Wcale nie chcę twierdzić, że prób zawłaszczania państwa dokonuje się tylko w obozie rządowym. W istocie metoda ta się upowszechnia, zwłaszcza w formie negatywnej: wypowiedania posuszeństwa. Jeśli prawo mi nie odpowiada, nie słucham prawa, jeśli państwo nie przyznaje mi racji, precz z takim państwem. Samoobrona Chłopska będzie bić komorników — i powołuje „Bataliony Chłopskie” (*sic!*). Socjolog dopatrzy się w tej retoryce miary rozgoryczenia i rozczarowania. Co powie o prezydencie, który domaga się uprawnień na miarę de Gaulle’a,

jeśli zaś nie uzyska ich w parlamencie, to założy partię prezydencką...? Czy po to, żeby mu przyniosła uprawnienia z ulicy?

W maju po raz pierwszy ankieta CBOS przyniosła większość zwolennikom przedterminowych wyborów. To ostatni z sygnałów, o których była mowa w tym tekście. Świadczy, że społeczeństwo w większości ciągle jeszcze wierzy w demokratyczne sposoby budowania Rzeczypospolitej — ale że możliwości aktualnego układu u władzy uważa w tym względzie za wyczerpane.

Warszawa, 10 maja 1992

Krzysztof WOLICKI

Polacy, Polonusy i Polusy a historia

Mam wrażenie, że tetryczeję. Ale wraz ze mną chyba tetryczeje cały świat, a w nim moja ojczyzna w szczególności. To nie jest jakiś specjalny rodzaj masochizmu: prawić rodakom nieprzyjemne rzeczy. Jest to raczej pewnego rodzaju grafomania. Grafoman to ktoś, kto MUSI pisać. A ja, im bardziej rozglądam się po otaczającej mnie rzeczywistości, tym mocniej czuję taki psychiczny nacisk i... muszę. Chyba stąd te uwagi.

Przyczyną zaś bezpośrednią są trzy nie mające ze sobą bezpośredniego związku przypadki, co gorsza: nie bardzo ważne w perspektywie tzw. dziejów. Ot, przypadki, jakie zdarzają się wszędzie i codziennie, bo wszędzie i codziennie ludzie, a zwłaszcza dziennikarze, mają pomysły. O właśnie: jedyny łącznik pomiędzy owymi wydarzeniami to dziennikarski zamysł ich inicjatorów.

Wymieniam chronologicznie: krakowski kwartalnik (?) *Arka* ogłosił wyniki ankiety zatytułowanej malowniczo: „Polowanie na intelektualistów”. Ankietę rozpisal również inny kwartalnik (?) — poznański *Czas Kultury*, następująco formułując pytanie: „Czy kultura polska będzie mogła odnaleźć odrębny charakter, jeżeli nie podejmie tradycji sarmackiej, jedynej w przeszłości oryginalnie polskiej formacji kulturowej?” I wreszcie trzeci „ewenement”: wywiadowca (od wywiadów a nie wywiadu) rąbanka J. Kurskiego w *Gazecie Wyborczej* na temat Lecha Wałęsy.

Zaczną od tego ostatniego: Kurski przesłuchał (pardon, uzyskał wypowiedzi) grupy ludzi, którzy stanowili do niedawna prezydencki dwór, ale od jakiegoś czasu, poza jednym, już go nie stanowią.

Do grona rozmówców Kurskiego doliczyć można ciepłą rącz-

ką kilka plutonów dalszych zawiedzionych i nienasyconych, zwłaszcza mógłbym tu wymienić kilku, pozał się Boże, literatów, którzy niegdyś dostawali pienięż wargowej na słowa krytyki pod adresem Wałęsy, a dziś takąż pienięż dostają, gdy mówią i piszą o swym byłym idolu.

Muszę tu wtrącić głoszę teoretyczną. Nie uważam wcale, by zmiana poglądów była czymś *ipso facto* nagannym. Świat wokół nas nieustannie się zmienia: rewaloryzuje lub, niestety częściej, dewaloryzuje. Więc re- i dewaloryzują się też koncepcje, idee, stereotypy (choć te żyją najdłużej) i jeśli ktoś stoi nieprzemakalny w tych nurtach demokrytejskich, to jest raczej świadectwem petryfikacji niż światłości i umiejętności przewidywania. Ponadto nikt nie jest nieomylny, sam Papież z tego zrezygnował. Jesteśmy poczęci w błędzie i schodzimy z tego łez padołu w błędzie. Więc weryfikacja własnych poglądów jest sama w sobie wręcz wskazana. Zależy to wszelako od tego, kiedy, jak i dlaczego się ową przemianę przechodzi. Pomiędzy skamieliną a chorągiewką jest poważna różnica jakościowa.

Jeśli to co napisałem przymierzyć do dzisiejszych przeciwników Wałęsy, tych krzykliwych i spienionych, to powiedziałbym co następuje: albo byli ślepi i głusi, czyli byli kpami wówczas, gdy pod niebiosą rozstawiali wodza, albo dobrze wiedzieli co czynią, a czynili tak, bo myśleli, że to ich wyprowadzi na szczyt drabiny „waaadzy”. Drabina się przefyrtnęła i spadający okazali się karierowiczami, a teraz zapisują osobny rozdział własnej „hańby domowej”. Tylko, że wszystko to ma wymiar żałośnie ciasny, partykularny, nieważny. Doprawdy nie domagam się, by „oni” teraz wybierali między dwiema przedstawionymi powyżej alternatywami. „Oni” się po prostu nie liczą i jak napisał poeta:

Gniewni są. Wiedzą że ich krzesła pękną
A w miejscu gdzie siedzieli nie wyrosnie
Ani żdźbło trawy. Krąg spalonej siarki,
Rudy, jałowy pył mrówka ominie.*

(Czesław Miłosz, *Do Tadeusza Różewicza poety*)

Pozostaje jednak sprawa prezydenta Wałęsy. Byłem jednym z pierwszych, którzy publicznie dali wyraz swoim wątpliwościom co do kompetencji tego kandydata na to stanowisko. Kto słuchał, patrzył i starał się to rozumieć, wiedział, że zadanie przerosło polityka (o ile politykiem był on kiedykolwiek). Bo odrzucimy pewien stereotyp: to nie „skok przez płot” uczynił Wałęsę trybunem strajkujących w Stoczni Gdańskiej, to gdańscy

* Już pękły.

stoczniovcy wysunęli Wałęsę na swego przywódcę, a przywództwo to zaakceptowała następnie „Solidarność”. Nie zmieniajmy faktów, nie próbujmy robić z przypadkowego czynu czegoś, co „wstrząsnęło” Polską. Czy Wałęsa skakał przez płot czy nie skakał, nie ma żadnego znaczenia. Miał dar przekonywania i wypowiedania tego, co zebrani chcieli słuchać. Psychologia tłumy jest fenomenem niezbadanym i zbadać się nie dającym, bowiem tłum reaguje gwałtownie i spontanicznie. Ten fenomen wysunął Lecha Wałęsę na przywódcę ruchu, który począł się w Stoczni Gdańskiej w 1980 r. i którego później nikt już nie próbował ścisłej określić, wobec tego „Solidarność” rozplynęła się w konstelacje archipelagów i atoli grupowych, załogowych interesów, a z idei ruchu zostało tyle ile zostało (deklaracje od czasu do czasu).

Świetny trybun mas poczuł to osuwanie się czy rozsuwanie ruchu i zapragnął, utwierdzony popularnością, sięgnąć po najwyższą władzę w państwie. Nie stanowił wyjątku, choć większość aż tak wysoko nie sięgała. Ale w tym okresie wykruszenia komuny i ogólnej dezorientacji u wrót demokracji okazało się, że „S” składa się z mas właśnie, czyli z tłumy interesującego się tylko własnymi brzuchami, oraz z pewnej liczby „aktywistów”, która miała zamiary konkretne: dorwanie możliwie wysokiego stołka. Z „ideologów” „Solidarności” pozostało kilku nadal dziewiczych działaczy, przeważnie promujących frakcyjne ugrupowania oraz ksiądz profesor Tischner jako niedoszły metodolog-ideolog czegoś, co się nie zrealizowało. Ogólnie więc pośród pnących się wzwyż panowała jedna jedyna ideologia: „nie matura lecz chęć szczera...”. O kompetencjach nie tyle zapomniano, co nie myślano o nich nigdy.

Ja niestety od dwóch lat poglądów na prezydenturę Wałęsę nie zmieniłem: uważałem wówczas i uważam nadal, a prezydent raz po raz czynem i słowem zaświadcza, że świetnemu trybunowi obecne stanowisko nie pasuje. I nie wiem już sam, czy to ja się petryfikuję, czy może czegoś nie dostrzegam, ale to co dostrzegam nie budzi mojego optymizmu. Nie piszę tego dla przechwałek. Czynił tak nagminnie mój drogi Mistrz Kisiel, którego wielbiłem, ale który mnie nieraz złościł, a między innymi takimi właśnie przechwałkami, gdy równocześnie zapominał gładko o tym co napisał, a co się nie sprawdziło. I teraz małe wyznanie: klnę się na wszystkie świętości zarówno narodowe jak i uniwersalne, że wolałbym, by się moje przewidywania nie sprawdziły.

Ale się sprawdziły i nie można tu powiedzieć po prostu: „a co złego to nie my”. Bo bieg wypadków w tym nieszczęsnym kraju nie jest wynikiem działania prezydenta, ale skutkiem naszej postawy, postawy ludzi, którzy mieli tworzyć demokrację. Pragnę

przypomnieć, że już w pierwszej turze wyborów poza Wałęsą największą liczbę głosów uzyskał pewien polityczny parweniuz o charyzmatycznym darze i wątpliwych powiązaniach. Więc mamy takiego prezydenta, jakiegośmy wybrali. I niech mi teraz nikt nie opowiada, że nie wiedział kogo wybiera, bo to na Tymieńskiego padały głosy durniów, którzy nie wiedzieli, ale uwierzyli na słowo.

Skoro zaś jest prezydent, to on wymaga jakiegoś poszanowania, bo jeśli jego nie szanujemy, to znaczy, że nie szanujemy ani państwa, ani zamieszkującego go narodu. Co oczywiście nie znaczy, że prezydenta nie można, nie wolno krytykować. Bo wolno, a nawet trzeba. My i tak tu nad Wisłą mamy pod dostatkiem nietykalnych. Więc krytyka tak, ośmieszanie czy obrażanie — nie. Ja sobie wypraszam, zwłaszcza zaś ze strony tych, co przed chwilą ścielili się podnóżkami.

I tu problem: „oni” i my. Proszę rodaków — „onych” już nie ma, zostali odesłani do domów. Coś tam tu i ówdzie podbrużdżają, podsmradzają, ale nie mają już władzy. Ani Wałęsy, ani Olszewskiego ani jego poprzedników nie przysłano z Moskwy ani z Waszyngtonu czy Honolulu. To my sami wybraliśmy prezydenta, rząd, parlament, samorządy i wiele, wiele innych ciał pochodzących z wyboru. Powtarzam: oni nie spadli z nieba ani nie wtrzyli nam ich wraże mocarstwo, tylko my, wyłącznie my i nikt poza nami dokonaliśmy takiego a nie innego wyboru. A ten, kto żadnego wyboru nie dokonywał, nie jest niewinną ofiarą „onych”, tylko człowiekiem który nie dorósł do demokracji. Jak wiadomo zaś, Polacy do niej jeszcze nie dorosli, licząc wedle procentów uczestnictwa we wszelkich wyborach. Więc nie bredźcie o „onych”, bo „oni” to po prostu wy.

To jest prosta, ale jak się okazuje bardzo trudna nauka demokracji. Bo podobno chcieliście jej? A dlaczego? Bo się wam zdawało, że demokracja to jest korbka do wykręcania pieniędzy, które wy będziecie brać, a pracować będziecie jeszcze mniej niż „za komuny”. No i stąd owe żenujące powzdychiwania, że „za komuny” to było...! No właśnie: co było? Kolejki, brak towaru, kredytne inwestycje, arogancja władzy i inwigilacja służb specjalnych. A teraz to arogantami jesteście wy, bo języki się rozwiązały, choć nie rozwinął się w najmniejszym stopniu wysiłek, by wspólnie cokolwiek budować.

I tu drugi przyczynek: ankieta *Arki*. Już sam tytuł — „Polowanie na intelektualistów” — objaśnia intencje nie tyle respondentów, co redakcji. Redakcja chciała zrobić małe, własne polowanko na czarownicy. Redakcja ma wyrzuty sumienia: typowe zjawisko niesmaku po „zdradzie klerków”, która całe tabuny intelektualistów niegdyś doprowadziła do bezpośredniej lub pośredniej kolaboracji z komunizmem, czyli do powszechnej

„hańby domowej”. Nie ma chłopca do bicia? Nie wypada bić Żyda? Ani masona? No to bijmy intelektualistę.

Frustraci z *Arki* mają poczucie winy. Za siebie. Ja go nie mam, więc jako jedyny z nielicznych napisałem, że uważam się za intelektualistę, choć mam wątpliwości co do samej nazwy, ale to sprawa drugorzędna; nazwa nazwą, chodzi o meritum. Z ankiety dowiedziałem się, że za intelektualistę nie uważa się Jan Józef Szczepański. To za kogo się uważa? Za gazdę z Kasienki Małej? Bo Gustavo da Napoli to nawet za inteligenta, nie mówiąc o intelektualście, się nie uważa. No fajnie, bo się uważa za pisarza. Ale za co ma się uważać taki nie przymierzając ja: ani prawdziwy pisarz, ani prawdziwy uczony, ani w ogóle ktokolwiek? No więc ja się w dalszym ciągu uważam za intelektualistę i, więcej: uważam, że intelektualści tworzą nadbudowę inteligencji, czyli elitę mózgową.

A jeżeli ktoś zechce mi ćmić, że intelektualści zdradzali, że narobili mnóstwo zła, to odpowiem: ależ tak — byli wcale licznie szmaciarzami i nawet łobuzami. Tylko proszę mi wskazać inną grupę społeczną, w której nie byłoby szmaciarzy i łobuzów? Czy wolna jest od nich inteligencja zwana pracującą, chłopci, robotnicy, informatycy i esperantyści? Już sobie wyobrażam, jak zawrzą z oburzenia łobuznicy chłopca i robotnika: nieinteligenci i nieintelektualiści z *Arki*? Jak może ten jakiś Chrzanowski porywać się na takie świętości? Szczególnie na robotnika. Przecież masę...

Moi drodzy. Nie tylko, że jestem intelektualistą, ale jestem intelektualistą antyfrustratem, walczącym antyfrustratem. Robotnicy obdarzyli nas — procentowo — nie mniejszą rzeszą plugaństwa niż jej naprodukowali intelektualści. To prawda: tych drugich bardziej słyhać i widać, no ale kogoś musi się słyszeć i widzieć, bo nie wiem czy idealnym świadkiem byłby wysniony przez was mroczno-milczący świat *silent majority*!

I znowu prawda: ten kto się wspina wyżej, ponosi większą odpowiedzialność. Ale dlatego można (i należy) walić jak w bęben konkretnego intelektualistę, który się ujawnił jako szmaciarz. Skoro bowiem wspiął się do elity, to powinien być kimś, kto bierze za swą postawę i za to co głosi odpowiedzialność. Indywidualną odpowiedzialność za słowo i czyn.

A jeszcze inna sprawa to dziedzictwo „hańby domowej” w owym bałwochwalczym konserwowaniu pewnych pojęć, które dawno utraciły właściwy, pierwotny sens. Nasi antyintelektualiści chcieliby się nadal upajać „masami pracującymi” i zmitologizowanym „robotnikiem”, bo choć dekomunizanci w słowie, pozostają w sferze mentalnej spadkobiercami nauk Marksa i widzą świat przez okulary zaprzęskiej socjologii. Zbiorowe stereotypy są dziś równie płaskie i wyzbyte miąższu, jak za Bieruta, Gomul-

ki i sławnych następców. Dziś w miejsce „klas” występują coraz wyraziście pewne grupy społeczno-zawodowe. Więcej łączy ze sobą robotnika, technika i ludzi zarządzających jakimś konkretnym przedsiębiorstwem niż łączy tegoż robotnika z innym robotnikiem, pracującym w innym przedsiębiorstwie. W miejsce solidarności klasowej tworzy się solidarność instytucjonalna. Od tych — jak to się dziś zwykło mówić — układów wolni są jako grupa chłopci (ale prawdziwi z-chłopa-chłopi, nie tam jakaś mieszanina chłopo-robotników czy chłopo-inteligentów) oraz formująca się od nowa burżuazja handlowo-produkcyjna.

W tej sytuacji intelektualistami są przeważnie przedstawiciele wolnych zawodów, nauki i tzw. inteligencji twórczej. I są dla właściwego funkcjonowania państwa niezbędni, spełniają bowiem rolę wentyli bezpieczeństwa, analityków istniejącej rzeczywistości, doradców i pedagogów wyższego, bo nie szkolnego lecz społecznego rzędu. Więc jestem intelektualistą i ten tekst piszę jako intelektualista, a nie należę do tych, którzy — owszem — moralizowaliby chętnie, ale się od intelektualizmu odżegnują (J.J. Szczepański, P. Wierzbicki i inni). Równocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że ciąży na mnie niepomierne większa odpowiedzialność za to intelektualstwo niż na tych, co się odżegnują, jako też na tych, którzy się nie potrzebują odżegnawać, należą bowiem do *silent majority*.

Z faktu bycia intelektualistą płyną konkretne konsekwencje: przede wszystkim odpowiedzialność — wobec społeczeństwa, a także wobec siebie samego. Intelektualista przez to, że jest intelektualistą, nie zyskuje żadnych uprawnień do władzy. A dziś nagminnie oglądamy intelektualistów, którzy rwą się do rządu dusz, a co gorsze i ciał. Mamże wskazywać paluchem? Polityka i jakkolwiek działalność na wyższym szczeblu społecznym, to nie owa „chęć szczerą”, o której już wspomniałem, ani też charyzmaty, bo nikt nie wie co to jest i nie wynaleziono jeszcze odczynników do badania ich obecności w konkretnej jednostce.

Polityka, zarządzanie, uczestnictwo w ciałach ustawodawczych czy samorządowych — to wszystko wymaga kwalifikacji. Wcale nie trzeba być intelektualistą, by zostać senatorem, ministrem czy posłem; za to trzeba mieć kompetencje. A kompetencje zdobywa się przez naukę i praktykę, w tej materii nic się nie zmieniło od epoki średniowiecznych cechów: najpierw jest się uczniem, potem czeladnikiem, potem odbywa się wędrowkę uzupełniającą wykształcenie i wreszcie robi się majstersztyk i zostaje wyzwolonym do samodzielnej pracy.

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem rządów intelektualistów, znamy zresztą takowych (Mao, Pol Pot, Enver Hodża), którzy w ten sam sposób co najciemniejsze figury najnowszej historii (Idi Amin, Bokassa) nauszcześnieśliwiali ludzkość, ile się dało.

Rządy filozofów to najgorsze co można wymyślić. Rząd kompetentów to najlepsze... A ponadto skończmy wreszcie z tą niekompetencyjną „wielką” improwizacją! Zawsze uważałem (odpuść mi to Boże i polonistko ojczyzniana!), że „Dziady” byłyby o wiele lepsze, gdyby w nich nie było Wielkiej Improwizacji. Tu jednak nie twierdzę, że mam rację, bo literatura, zwłaszcza wielka, jest fenomenem nieoczywistym. Oczywiście są natomiast rezultaty improwizowania w polityce i gospodarce.

Kiedy jeszcze nawet nie śniło się o upadku komuny, pisałem uporczywie, że „S” powinna była już wówczas przygotować własny program gospodarczy i że powinna szkolić zawodowców. Nikt oczywiście się tym nie przejął, bo „S” składała się z mas (więc jednak, choć niekoniecznie, robotniczych), którym wyłącznie chodziło o własne brzuchy i warstewki cienkiej lecz krzykliwej, której śniły się już przyszłe „honory i splendor”. Co z tego wynikało, oglądamy właśnie na tym politycznym pobjowisku, w jaki przeobraził się kraj A.D. 1992. Na tym pobjowisku walczą jeszcze dziewice „S” — ci którzy wierzyli w jakiś nadrzędny cel, wobec tego potworzyli obecnie frakcyjki i ruszki prywatne, lub działają w „S” na zasadzie męczenników idei.

Czasem właśnie w tych elitach przytrafiają się ludzie kompetentni i to dużego formatu. Dlatego Balcerowicz stał się *bête noire* niedopieczonej polskiej demokracji: znienawidzony z jednej strony przez masy brzuchomówców, z drugiej przez grona aktywistów-charyzmatyków, różnych Moczulskich, Kurowskich, liderów PSL, nie mówiąc o zwykłych oszołomach. W III Rzpli-tej trwa ogólnokrajowy festiwal niekompetencji i trwa, prowadzona z pianą na ustach, personalizacja wszelkich zbiorowych działań. A co to znaczy? Po prostu to, że wszystko ocenia się nie poprzez problem i zadanie, ale przez osobę proponującego. Ja mógłbym tu gdzie mieszkam pokazać palcem na tych, co torpedują wszystko, bo to zaproponował X lub Y, a jak wiadomo X-owi i Y-psytonowi trzeba koniecznie przypieprzyć. A choćby czysto platonicznie. Narodowy taniec chochołów odbywa się na pobjowisku gospodarki, cyrk warcholstwa na pobjowisku politycznym.

Przechodzę do dziwacznej ankiety *Czasu Kultury*. Dlaczego dziwacznej? Proszę raz jeszcze odczytać pytanie skierowane do ankietowanych: „Czy kultura polska będąc mogła odnaleźć odrębny charakter, jeżeli nie podejmiemy tradycji sarmackiej, jedynej w przeszłości oryginalnej polskiej formacji kulturowej?”. Redakcja już w tym sformułowaniu popełnia nadużycie, bo założyła, że „sarmatyzm” był „jedyną w przeszłości” formułą polskiej kultury. Otóż nie był: polska kultura jest dłuższa niż dwu i półwieczna historia sarmatyzmu i znacznie pojemniejsza

od pojemności tego światopoglądu — świadectwa mentalnych zahamowań szlachty.

Mnie sarmatyzm fascynował i fascynuje jako pewien fenomen historyczny i fascynacji tej dałem wyraz w tomie szkiców opublikowanych nie tak dawno w „ZNAKU”. Doszedłem tam do wniosku, że sarmatyzm nie był zjawiskiem jednoznacznym, bo się podczas tego dwu- i półwiecznego okresu przeobrażał. W XVI w. zawierał pewne doskonałe koncepcje, przede wszystkim ważne dla państwa wielonarodowego i wielowyznaniowego, w XVII zaczął ewoluować ku otępieniu intelektualnemu (m.in. próbowałem tam przedstawić eliminację z życia publicznego intelektualistów nieszlacheckiego pochodzenia, tych zaś z pochodzeniem było niewielu!), w XVIII w. przeobraził się w patologię polityczno-intelektualną i doprowadził kraj do katastrofy.

Nie mieszkałbym w Krakowie, nie należałbym do tradycji tego miasta, gdybym nie prezentował sceptycyzmu Stańczyków (w opozycji do krzykliwej tromtadracji) i gorzkiej, bolesnie gorzkiej nauki „historycznej szkoły krakowskiej”. Ona to bowiem, w czasach dla uczuć narodowych szczególnie bolesnych, nie dążyła do „pokrzepiania serc” ale ujawniała ten tragiczny fakt, że to my sami — poprzez naszych pra- pra- — wtrąciliśmy Polskę do grobu, a zaborcy byli już tylko grabarzami samobójców.

To jest sprawa dość ważna: moi rodacy nie interesują się historią własnego państwa i narodu. A co gorsze, jest im ona podawana w papce — jak to się modnie powiada — całkowicie zmanipulowanej. Przeciętny mieszkaniec tych ziem wynosi ze szkoły przekonanie, że jego kraj był wielki i potężny, że strzegł — jako przedmurze — chrześcijaństwa, a tym samym Europy Zachodniej, że był ogromnie tolerancyjny, pokojowo nastawiony, ale gdy trzeba było, to przelewał chętnie krew „na ołtarzu ojczyzny”, że ziemie nasze na wschód i na zachód od Wisły przesiąknięte są krwią bohaterów i że „nad mogiłą (oczywiście bohatera) śpiewa jakieś ptaszę polne...”. No i najważniejsze: że ten kraj jest pod szczególną opieką Pana Boga, a wstawia się za nas przede wszystkim Matka Boska, bo jakże nie miałyby się wstawiać skoro wybraliśmy Ją (w wolnej elekcji) na Królową Korony Polskiej.

Otóż śmiem twierdzić, że jesteśmy i jak dalej tak pójdzie, to będziemy nadal ofiarami narodowego zamroczenia, że ponosimy konsekwencje bzdur wymyślonych przez naszych pra-pra- i że początek tego zbiorowego głupstwa bierze się właśnie w sarmatyzmie, jako szczególnym światopoglądzie. Był to początkowo naiwny providencjalizm, że właśnie Opatrzność ma nas w szczególnej pieczy, potem przeobraził się on w sarmacki jeszcze mesjanizm, że Matka Boska tylko nami powinna się opiekować i

wreszcie doprowadziło to w ubiegłym wieku do paranoi mesjanizmu romantycznego, do koncepcji Chrystusa Narodów, kultu martyrologii, angelogizowania (czy może: anhelizowania) rzeczywistości historycznej.

Więc oczywiście: mieliśmy bohaterów, pięknych i licznych. Mieliśmy imponujące w swym zrywie przejawy zbiorowego bohaterstwa. Mieliśmy też od pra-pradawnych czasów silne poczucie wolności (ale dla siebie samych, a rzadziej dla innych). To wszystko prawda. Tylko ta prawda zderza się z innymi prawdami: ci bohaterowie byli w naszych dziejach zawsze dość samotni. Jaki był za czasów I Rzplitej udział jej mieszkańców w obronie państwa i ewentualnie europejskiego chrześcijaństwa? Tego chyba nikt dokładnie nie przeliczył na dane statystyczne, ale jedno jest pewne: udział ten był właściwie niewielki. Pod Kirchholmem, Chocimiem i Cecorą zwyciężali lub ginęli w klęskach ludzie w dość dużej liczbie pochodzący ze szlachty, przeważnie ci trzeci, czwarci i piąci synowie, co to gdy działów z ojcowizny nie starczało — poprzez służbę wojskową szukali drogi do wybicia się. Ale pospolite ruszenie już w bitwie pod Chojnicami (a więc w połowie XV w.) ukazało całą swą beznadziejną niesprawność, choć miało trwać jeszcze przez następne stulecia, jako pewna militarna fikcja, ale ważna z punktu widzenia odmawiania płacenia podatków na utrzymanie wojska. Więc ruszali ci „pospolitacy”, i to tylko niektórzy (większości w tym ruszeniu przeszkadzały żniwa lub spław zboża do Gdańska), ruszywszy zaś zaraz zaciągano koła, proklamowano konfederacje, a potem rozjeżdżano się, ci zaś co pozostali aż do pola bitewnego — pierwsi na nim podawali tyły.

Długotrwała potęga I Rzplitej opierała się na stale nieopłacalnej, stale zbyt kusej armii zawodowej: na chorągwiach pancernych — szlacheckich, na formacjach kozackich — kozacko-drobnoszlacheckich, na kwarcianych — chłopach i na rozmaitych formacjach obcego autoramentu. Współautorami naszych najsłynniejszych zwycięstw byli Niemcy, Szkoci, Siedmiogrodzianie, Tatarzy, i najrozmaitsi inni ówczesni najemcy, którzy za pieniądze walczyli, ale zawód znali i wykonywali go dobrze. A u nas zawodu żołnierskiego tylko poniektórzy z panów-braci liźnęli. I tak to jest z tymi naszymi przewagami.

A z kolei powstania? Iluż procentowo mieszkańców terenów, na których wybuchały, stawało się pod broń? Jeszcze w czasie listopadowego była regularna armia dobrze wymusztrowana pod okiem WKsięcia Konstantego, ale podczas styczniowego to już byli przeważnie zapaleńcy, czasem tylko trafiał się jakiś lepiej przeszkolony dowódca. Walczyli bohatersko, ale całkowicie nieskutecznie, zwłaszcza że walczyli w małych grupkach i nie było *de facto* wspólnego, kierującego tym powstaniem dowództwa.

Te grupki zwały siebie „partiami”, przydając nazwisko wodza. Więc ilu ich było: tych co potem płaciło życiem, Sybirem lub w najlepszym razie emigracją? 1 czy 2% społeczeństwa?

Do klęsk przyczyniły się więc nie tylko przeważające siły zaborców, ale także brak kompetencji dowódczych i politycznych pośród władz i kadry. A mesjanizm i przerzucanie na Pana Boga obowiązków i kompetencji — jakże to polskie. Bo mesjanizm to po prostu lenistwo aktywności zarówno mentalnej, jak też fizycznej. I z tegoż mesjanizmu wyrasta, w ramach psychicznej kompensacji, przekonanie o jakichś naszych szczególnych właściwościach i płynących stąd następstwach.

Nie jesteśmy okrutni, nie jesteśmy krwiożerczy, nie jesteśmy nadmiernie nietolerancyjni, część naszych narodowych cnót płynie raczej z grzechu zaniechania niż z prawdziwych przymiotów. Więc ów bardzo niedoskonały „Chrystus narodów” oczekuje, że mu Opatrzność ześle wodza, który wszystko za wszystkich załatwi. Byliśmy się sami nadmiernie nie natrudzili.

Wyczekiwaliliśmy wodzów, no to ich mamy. Piłsudski miał swe słabości i fiksacje, ale to był rzeczywiście człowiek wielkiego formatu i całkowicie oddany ojczyźnie. Po nim otwiera się próżnia, w którą kolejno wpadali: Rydz-Śmigły, Sikorski, Anders. Pamiętam doskonale, jak z innymi studentami ale i „dorosłymi” chodziłem w 1946 dookoła plant wykrzykując: „Mikołajczyk wódz narodu!” Byłem nieopierzonym osłem. No ale jakoś wielkimi staraniami z osielstwa wyrosłem. Naród jako zbiorowość — nie.

Tęsknota za wodzem kierowała wyborcami, zarówno tymi, którzy głosowali na Lecha, jak i tymi, którzy wotowali za „Stanem”. A w kulisach już pojawiają się kandydatury następne: Lecha chciałby zastąpić Leszek, sięgając do tradycji Krzywoustego, ale znów bez kwalifikacji: wódz nie może tak głądzić jak on to robi. Już nie wspomnę o kandydatach z „polskiego zoo”: zgrzybiałych masonożercach, wiecznie niedojrzałych skino-Polakach i tych wszystkich innych z „chęci szczerzej”. Są na wszystkich „kierunkach” (których w rzeczywistości nie ma): w centrum, na prawicy i na lewicy. Amen.

A teraz wyjaśnię tytuł: ja rodaków dzielę na trzy kategorie. Polakami są dla mnie ci, którzy coś robią — dla siebie i dla kraju, którzy rozumują nie poprzez uwarunkowania personalne, ale poprzez rzeczywistość a nie wyimaginowaną rzeczywistość, a kiedy ktoś zaczyna rozumować poprzez to, że w ten czy inny sposób może przypieprzyć bliźniemu, to automatycznie eliminuje się z szacownego grona.

Tam gdzie cała uwaga skierowana jest na własny brzuch i przełyk, tam gdzie panuje etyczna wolna amerykanka, a dobro społeczne to jest coś, co obowiązkowo należy rozkraść, zaczyna

się strefa Polusów, mieszkańców dorzecza Wisły, masy usilnie starającej się być niepracującą, strefa bełkotu i pretensji, strefa arogancji i roszczeń.

Pomiędzy Polakami i Polusami jawi się jeszcze jedna grupka: Polonusów. To w większości porządni ludzie, tylko popyrtni. Więcej się dla nich liczy frazes i symbol niż rzeczywistość. Takowej w ogóle nie postrzegają, żyjąc w świecie „prawdziwych Polaków”, w świecie „wolnej i niepodległej”, w mitach historycznych i współczesnych. Nawiedzeni i oszołomy, charyzmatycy misji i wymachiwacze szabelkami. To na nich mógłby *Czas Kultury* budować swą wizję wskrzeszenia sarmatyzmu jako „jedyną polską” formacji kulturowej. To do nich powinien się odwoływać zespół *Arki*, zarządzając ekskluzywne polowania na intelektualistów.

Ilu jest Polaków? Jeżeli 1% — to w normie. Jeżeli 5% — to wspaniale. Ilu jest Polonusów? — Tyleż. Cała reszta to Polusy. A czyja w tym wina? Zaprzeszczonego ustroju komunistycznego w dużej mierze. Ale nie wyłącznie. Zaniedbaliliśmy bowiem wychowywania obywatelskiego własnej progenitury. Obrzydliża je nam szkoła, a przecież nie wolno rezygnować z tego, co choć obrzydzone, jest potrzebne czy wręcz konieczne. O Polsce gadamy nieustannie, a nawet bełkoczemy lub krzyczymy. Ale o co ten hałas? Nie wiem, bo w jego decybelach jawią mi się rozmaite sprawy przeważnie indywidualno-rozszczeniowe, ginie zaś to, co się nudnie, równinnie rozciąga „od Tatr do Bałtyku”.

Więc kiedy wychodzę na ulicę, kiedy znajduję się w tłumie szlifującym bruki, bełkocącym niekoherentne złote myśli i rzucający tłustym oczkiem badawcze spojrzenia: co by tu komu urwać, co by komu wychachmęcić, a jednocześnie wypatrującego wodza na kasztance, siwym rumaku lub karym ogierze, chciałbym stanąć, jak Kościuszko, i złożyć narodowi przysięgę.

Że nie będzie wodza. Że Opatrzność nam go nie ześle, bośmy na niego nie zasłużyli. Więc nie będzie ani tego dużego, ani tych pomniejszych, bo ich trzeba się dopracować, ich trzeba wychować, wykształcić do wodzowskiego statusu, zaopatrzyć w kompetencje. A jeżeli będziemy tylko siedzieć przy piwie i bełkotać, jak u Mrożka, że „może by tak co zaościć”, to nic, proszę rodaków wszystkich trzech kategorii, nic a nic z tego nie będzie. I przyjdzie straszny Niemiec i straszny Moskał, a także przyjdą Czesi, Słowacy, Ukraińcy, Białorusini, nie mówiąc o Bałtach — i zrobią z nami porządek: piąte rozbiory. Bo żeby chociaż Szwedzi chcieli zrobić Potop. Ale pewnie nie zechcą!

Tadeusz CHRZANOWSKI

Pogranicze

Wychowany na pograniczu, nie wiedziałem o nim nic, mimo że tuż obok rodzinnej wioski piętrzyła się surowa bryła cerkwi w rosyjskim stylu imperialnym. Podczas wypraw wzdłuż wschodniej granicy Polski — od 1987 roku odbyłem ich cztery — budziłem się z letargu, w jaki wpadało się w każdej socjalistycznej szkole. Uczono mnie wielu rzeczy, ale nikt nie powiedział, że cała południowo-wschodnia Zamojszczyzna jeszcze niedawno zamieszkała była przez Ukraińców, że pozostały po nich cmentarze i cerkwie — zwyczajne, ale i wiele jedynych w swoim rodzaju. Drewniane chramy greckokatolickie otaczały węższy i rzadszy krąg monumentalnych cerkwi prawosławnych, tutaj bowiem przebiegała granica pomiędzy Kongresówką a Galicją. Jest ona czytelna jeszcze teraz, właśnie dzięki zachowanej architekturze sakralnej.

Socjalistyczna władza straszyla bandytami z UPA (skoro nazwali się powstańczą armią, dlaczego nabijali dzieci na sztachety, roztrzaskiwali je o mur, zadawali śmierć w sposób okrutny, sadystyczny?), i rozwodziła się nad koniecznością i sprawnością deportacji w roku 1947. Owa konieczność okazała się jeszcze jednym łgarstwem: Ukraińska Powstańcza Armia w chwili przesiedlenia ruskich narodowości była faktycznie rozbita. Wielu działaczy narodowości ukraińskiej należało do partii lewicowych — wywożono ich wbrew interesom nowo formującej się władzy; Stalin w ten sposób pozbawiał zachodnią Ukrainę moralnego wsparcia, odgradzał ją pasem wypalonej ziemi. Nie muszę dodawać, że tym bardziej nie odkryto drugiej strony dramatu, odwetowych mordów Polaków w czasie wojny i burzenia dziesiątków cerkwi prawosławnych tuż przed jej wybuchem, co zaowocowało zaostreniem konfliktu polsko-ukraińskiego w czasie okupacji.

Pierwsza wyprawa nie tyle odsłoniła kurtynę, co postawiła

szereg pytań: pojąłem, że tę rubrykę muszę spenetrować nieśpiesznie, dokładnie. Pozostało tylko kupić dobry rower i dobrą odpowiednich towarzyszy. Dla czytelnika nie ma znaczenia chronologia podróży ani kolejność badanego terenu; pojedziemy w górę mapy Polski, od Ustrzyk Dolnych.

Między tym miastem a Przemyślem krajobraz piętrzy się intensywnie porośniętymi pagórami. Owa intensywność jest zupełnie różna od ciepłego południa Roztocza i delikatnych fal Gór Sudawskich nad Suwałkami; zapiera dech przy wspinaczkach, podczas których pięciobiegowe rowery okazują się sprzętem bardzo niedoskonałym. Zdarzają się ostepy leśne ciągnące się całymi kilometrami, gdzie jedzie się jak przed wiekami, na słońce. Po wypalonych wsiach zostały z rzadka pojedyncze domy, samotne cerkwie, jak w Piątkowej czy Posadzie Rybotyckiej, lub skoszarowane wioski-farmy prowadzone i zarządzane przez wojskowych (okolice Trzcianca).

Szukałem potwierdzenia surowości krajobrazu w architekturze, ale go nie znalazłem. Może w Liskowatem koło Ustrzyk Dolnych: potężne, strome dachy starych chałup, trzykrotnie przewyższające wysokość ścian. W wiosce są przykłady maciupenkich, prawie kwadratowych chałupek bojkowskich, bardzo przypominających wiejskie budownictwo Ukrainy. Zachowała się też unikalna, drewniana cerkiew z przełomu XVIII/XIX wieku, w której Grecy — w latach 50-tych Liskowate i pobliskie Krościenko zasiedlali w całości wyrzuceni z Grecji komuniści — trzymali zboże i nawozy sztuczne. Po Grekach pozostał w Polsce cmentarz w Krościenku i młodzież, która wolała wyjechać do większych miast, niż wrócić do kraju rodziców. W Peerelu trzymanie w świątyniach owiec, cieląt, instalowanie zakładów ślusarskich, wszelkiego rodzaju składów i magazynów było na porządku dziennym. Czy mamy prawo dziwić się temu, co działo się za Bugiem?

Cechą charakterystyczną cerkwi tego regionu, zarówno drewnianych jak i murowanych, są niewielkie kopuły pozorne (wnętrze przykryte stropem). Formę tę przenoszono niekiedy na kościoły (Rybotycze). Drewniane świątynie stawiane na przełomie XIX/XX wieku mają typową i dla innych regionów, np. Zamojszczyzny, bryłę: kopuła nad nawą osadzona jest na ośmiobocznym tamburze, przy zanikaniu podziału architektonicznego na babiniec i nawę.

Na dwa obiekty tej ziemi muszę zwrócić szczególną uwagę: murowaną cerkiew z XIV/XV wieku w Posadzie Rybotyckiej z szesnastowieczną polichromią i inskrypcjami — jedyny tego typu zabytek w całym pasie wschodniego pogranicza — i zespół 42 kaplic przy klasztorze franciszkanów, przeniesionych wraz z obrazem Matki Boskiej z Kamieńca Podolskiego, w Kalwarii Pacla-

wskiej. Rokrocznie w połowie sierpnia odbywa się w Kalwarii czterodniowy odpust, którego punktem kulminacyjnym jest po grzeb posągu Matki Boskiej w kościółku odległym od klasztoru o dobre kilka kilometrów bezdroży. Na uroczystość ściągali przed wysiedleniem Łemkowie zamieszkujący pomiędzy Sanokiem a Nowym Sączem. W przeciwieństwie do grekokatolickich Bojków, zasiedlających tereny na południe od Ustrzyk Dolnych, ciągnęli oni wyraźnie do kultury rosyjskiej i prawosławia, co nie przeszkadzało im uczestniczyć w rzymskokatolickim święcie. Ukraińcy za wszelką cenę starali się, i robią to jeszcze dzisiaj, zukrainizować Łemków i wprowadzić unię. Że nie wybierali w środkach, wykorzystując sprzyjających im Austriaków (podczas zaborów) i Niemców (okupacja), nie muszą dodawać. To jeszcze jeden nierozwiązany węzeł krzywd, gwałtów i rozbojów polskiego pogranicza.

Przemyśl, miasto poemat. Ze względu na konfigurację terenu przypomina Lwów lub Lublin w miniaturze — ten sam klimat architektury, ta sama aura kresowego ciepła. Prastary, plemienny ośrodek Lachów-Chorwatów leżący na styku (którego konsekwencją były nieustanne wojny) włości Piastów, Rurykowiczów i węgierskich Arpadów. Wymieniają go we wczesnym średniowieczu geografowie arabscy i żydowscy, zamieszkują Ormianie, Grecy, Żydzi, Węgrzy, ludność polska i ruska. Przedromañska rotunda, przypominająca wawelską św. Feliksa i Adaukta, i palatium pochodzą z X/XI wieku, ruska katedra zamkowa z roku 1167. Podnoże zamku otaczały w tamtym czasie winnice.

Ta ziemia wydaje pierwszego kartografa Polski — Bernarda Wapowskiego. Dzieło *De optimo senatore* — miejscowego pisarza Wawrzyńca Goślickiego, wykorzystał w swoich dramatach Szekspir, a potem Jefferson włączył we fragmentach do deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych. W pierwszym ćwierćwieczu XVII stulecia kalwin z Bolestraszcyc (8 km od Przemyśla) wydał antypapieską książkę *Heraklit albo o próżności świata*. Przemyśki biskup, A. Grochowski, kazał tłumacza zamknąć, dzieło zaś spalić. Dwieście lat później, w tych samych Bolestraszcycach, osiedla się Piotr Michałowski, największy do dziś polski malarz, znakomity gospodarz i organizator — piąte pokolenie bolestraszczyckich chłopów wspomina go do dziś. Z Przemyślem związana jest postać Stanisława Orzechowskiego i ród Fredrów — ich nagrobki ocalały w miejscowej katedrze. Pod koniec XIX wieku Austriacy przez czterdzieści lat budowali tu twierdzę, czyniąc ją jedną z trzech największych w świecie (na przełomie 1914/15 broniła się pół roku i poddała tylko z braku żywności). Ciekawym asocjacji literackich warto przypomnieć, że tutaj, latem 1915, wojaka Szwejka sądzono za szpiegostwo.

To wszystko w mieście jest na wyciągnięcie ręki, historia kapie z każdego zaułka starówki, z każdego pagóra. Miejscowe muzeum posiada jedną z największych w kraju obok Sanoka, kolekcję ikon.

Przemysł okazał się pierwszym na trasie ogniwem niewypalonych do dziś polsko-ukraińskich sporów. Na południu z tym problemem nie zetknąłem się, być może ziemie te spacyfikowano szczególnie starannie. Tutaj nie ufa się Ukraińcom. Pozostało ich ok. 4.000, a chcą odebrać całe ulice, przed wojną przez nich zamieszkałe, których dziś nie są w stanie utrzymać — to jedna wersja. Jeden z rozmówców chętnie opowiada o sąsiedzie, który nożem uciął głowę jego babce, a po wojnie odwiedzał rodzinę zamordowanej wielokrotnie. Na pytania odpowiada spokojnie:

— A co mieliśmy zrobić, też go zabić?

I — żeby być obiektywnym — dopowiada, jak to Ukrainka uratowała dwie kobiety z jego rodziny pod stołem, podczas gdy w chałupie banda radziła go zabić.

Na ludzi broniących słynnego karmelu, potępianych przez całą Polskę, patrzy się poprzez pryzmat zachłanności Ukraińców. Oczywiście są Polacy solidaryzujący się z Ukraińcami, twierdzący, że ich żądania nie są wcale wygórowane i że oni także powinni się poczuć wreszcie u siebie. Bo przecież są — to druga wersja.

Podczas jazdy uparcie wraca rozmowa, jaką odbyłem z Henrykiem R., redaktorem naczelnym *Kresów Literackich*, wychodzących w Chełmie. Mówił tak:

— Do Chełma przyjeżdża sporo wycieczek szkolnych z Ukrainy. Te dzieci mówią naszym: my tu jeszcze przyjedziemy was *rezat*'. Chełm, Przemysł są nasze, Ukraina będzie po Zamość.

Nasuwa się też refleksja o Lwowie. Zwyczajnie żal miasta, które promieniowało kulturą na wiele narodów, a którego już nie ma. Dzisiejszy Lwów nie jest tym, czym był jeszcze wczoraj. Ale... to smartwienie Ukraińców.

Na północny-wschód od Przemysła leżą Torki, Leszno (dawna nazwa Poździacz) i Nakło. Przybysza uderzają zwarte bloki zagród — budynki są duże, starannie budowane, wszędzie widoczna dawna zamożność i zamiłowanie do porządku. Wsie sprawiają wrażenie miasteczek. Ukraińcy, rozbudowujący niewielką cerkiewkę w Poździaczu, tłumaczą, że przed wojną były to wsie gospodarskie, bez dziedzica Polaka. To dobra ziemia, staranność jej uprawiania dały owo bogactwo. Dziś Poździacz tylko w jednej siódmej jest zamieszkały przez grekokatolików.

Kiedy chodzili do kościoła, byli bardzo swoi, bliscy — tłumaczy proboszcz. Pojawiła się możliwość zbudowania cerkwi i nagle stali się obcy, oddzielili się.

Nie całkiem to tak. Podziwiałem zapał, widoczną chęć pracy u wznoszących świątynię; nie kryli się z krytycznymi opiniami na temat proboszcza: niby jeden papież, nawoływanie do pojednania, a nie pozwolił na jedną mszę grekokatolicką tygodniowo w kościele, który wybudowali ich dziadowie jako cerkiew. Świątynia nie była jaka — z 1777 roku, niewielka, lecz o niezwykle harmonijnie skonstruowanej bryle — jedna z najładniejszych w Polsce tego typu.

Określenia: jedyna w swoim rodzaju, jedna z najpiękniejszych, odnoszące się do drewnianych cerkwi grekokatolickich województwa przemyskiego i zamojskiego będą używane często nie dlatego, że autor jest szczególnie egzaltowany. Te ziemie obfitują w prawdziwe perły architektury wymieniane nierzadko w literaturze fachowej. Zupełnie, jakbyśmy próbowali siebie samych okradać. Świątynie — jak mniemają nieudacznicy ludzie po obu stronach, tzn. polskiej i ukraińskiej — nie przynależą wyłącznie do kultury ruskiej. Te tereny od wieków stanowią strefę polsko-ukraińskiego pogranicza, bogacząc obie nacje. Szczególnie łatwo to wychwycić w sztuce (wspólni pisarze), a już każdy może dotknąć owego kulturowego przekładania zwiedzając cerkwie grekokatolickie. Oto jedna z nich, w Opacie (Lubaczowskie), z przełomu XVIII/XIX wieku — także jedna z ciekawszych poprzez formę kopuł w kształcie dzwonów. Wewnątrz zainstalowano ambonę (!), balustradę oddzielającą nawę od prezbiterium oraz pełną ścianę ikonostasu, za którymi znajduje się ołtarz (*prestoł*). Z kolei cerkiewki Zamojszczyzny, w myśl uchwały synodu zamojskiego z 1720 roku, często pozbawione są ikonostasu, natomiast *prestoł* spotyka się tam szczególnie okazały (na wzór kościołów rzymskokatolickich?) — ma znacznie większe rozmiary i jest przykryty potężnym drewnianym baldachimem wspartym na czterech bogato rzeźbionych w winne grono kolumnach. Inną osobliwością Zamojszczyzny są ogromne, dębowe konfesjonały umieszczone po jednym egzemplarzu w cerkwi. Po synodzie zamojskim i przemyskim w grekokatolickich świątyniach pojawiły się boczne ołtarze, próbowano też odprawić na wzór łaciński msze mówione. Kler rzymskokatolicki przedobrził w zapędach latynizowania i w XIX wieku zaczęto wznosić ikonostasy nawet tam, gdzie ich wcześniej nie było. Ołtarze boczne pozostały, ale do dziś nie spełniają funkcji liturgicznej, a czysto dekoracyjną. Powrócono też do mszy śpiewanych.

Zderzenia kulturowe potrafią olśniewać niezwykłością: małe cerkiewki łemkowskie w okolicach Muszyny, przypominające z zewnątrz biedne, wiejskie kościółki, posiadają niezwykle rozstrzelane, rozedrgane rokokowe ikonostasy. Zaś murki z otoczek okalające przycerkiewne cmentarze mają owalną formę,

wysokość zupełnie taką samą jak konstrukcje wzniesione przez Tatarów wokół meczetów w Kruszynianach i Bohonikach (Białostockie). Być może w ten sposób daje o sobie znać pokrewieństwo kulturowe Tatarów i Wołochów, mających spory udział w wykształceniu się kultury Łemków.

Zupełnie odosobnionym zjawiskiem jest cerkiew z pruskiego muru, chyba jedyna w kraju, w Wielkich Oczach (Lubaczowskie).

Omówienia ziemi lubaczowskiej nie sposób zamknąć nie wymieniając świątyni w Chotyńcu z XVII/XVIII wieku (także wyjątkowej urody z polichromią przedstawiającą ludową wersję Sądu Ostatecznego, ze zwracającą uwagę postacią diabła dźwigającego tajemniczy pakunek), i całego zespołu w Radrużu z XVI/XVII wieku, w którego skład wchodzi cerkiew, być może najstarsza w Polsce, bardzo przypominająca formę bojkowską z Liskowatego, dom diaka — XVIII w., dzwonnica — XVII-XVIII w. oraz osiemnastowieczny mur obronny z potężną bramą. Niezwykła aura tego miejsca czyni zeń najprawdziwsze słowiańskie uroczysko.

Chotyńiec jest bardzo ciekawy z socjologicznego punktu widzenia dzięki osobie Stanisława Kaczmara, zwanego we wsi zjawiskiem. Ma on widzenia, podczas których, w ekstazie, odbiera słowa przekazywane mu przez Matkę Boską — jest to nagrywane na taśmę magnetofonową i potem odpowiednio interpretowane pielgrzymom w domowej kaplicy z pięcioma statuetkami tejże Matki Boskiej. Pielgrzymki przyprowadza w każdą drugą niedzielę przewodnik z Rzeszowa. Czekałem na owo zjawisko godzinę, by porozmawiać, ale nie raczyło się zjawić. Przed domem, obok samochodów pielgrzymów z różnych stron kraju, zwiezione przez ludzi pustaki, żwir i materiał na dach przyszłej świątyni — nie ma powodu, by sprawę bagatelizować. Przypatrywałem się z bliska rozmodlonym pątnikom: pragnęli cudu, autentycznej modlitwy bez przewodnika i całego sztafetu instytucji. Byli folklorem, jego materializacją w najczystszej postaci.

Zamojszczyzna, teren krzyżowania się kultury wołoskiej, ukraińskiej, polskiej, rosyjskiej, żydowskiej i — niegdyś — ormiańskiej (pod hotelem „Renesans” w Zamościu do dziś tkwią fundamenty kościoła Ormian, jedyne na terenie III Rzeczypospolitej). Styk prawosławia, grekokatolicyzmu, judaizmu i chrystianizmu. Tutaj widoczne są reminiscencje prastłowiańskiego (lub jeszcze starszego) kultu wody w formie charakterystycznych dla Rostocza kaplic i kościółków zbudowanych na palach nad wywierzyskami (Krasnobród, Radecznicza, Zwierzyniec, Górecko Kościelne, Feliksówka). Ziemi dawnej ordynacji zamojskiej, a wcześniej na pół mitycznego państewka zwanego Grodami Czer-

wieńskimi, z zachowanymi doskonale grodziskami po Sutiejsku (Sąsiadka), Wołyniu (Gródek nad Bugiem) i samym Czerwieniu (Czermno k. Tyszowiec).

Od Tomaszowa Lub. zaczynają się monumentalne, imperialne cerkwie prawosławne, ciągnące się aż do Puszczy Augustowskiej. W większości wyposażenie pierwotne zostało zdewastowane lub rozkradzione — wyjątek dla cerkwi w Hrubieszowie. Tuż przed wojną zburzono lub przeznaczono na cele pozareligijne kilkadziesiąt cerkwi prawosławnych w tym regionie. Dziś w Tomaszowie, Hrubieszowie przychodzi modlić się kilka, kilkanaście rodzin. Prawdziwy stan prawosławnego posiadania stanowi pas ziemi pomiędzy województwem chełmskim i białostockim, a jego najprawdziwsza, nienaruszona enklawa znajduje się na Polskiej Białorusi, mniej więcej pomiędzy Siemiatyczami a Dąbrową Białostocką. Tam kościoła szuka się długo, cerkwie stoją nieomal w każdej wsi. Jednak nie tak potężne, murowane jak na Zamojszczyźnie, a drewniane, zgrabniutkie, nieraz pomalowane na jaskrawe kolory. Świątynie białoruskie często bardzo rosyjskie w klimacie są zupełnie niepodobne do grekokatolickich na południu, zazwyczaj nie malowanych, znacznie bardziej zróżnicowanych architektonicznie i jakby weselszych.

Owo zróżnicowanie wpływa nie tylko ze zbitki kulturowej tych a nie innych narodowości. Nie bagatelizowałbym aury, promieniowania ziemi, na której żyje człowiek i buduje świątynię swemu Bogu. Ziemie Grodów Czerwieńskich wytworzyły specyficzny typ kultury, także architektury. Takich miękkich, ciepłych w architektonicznej formie Szczebrzeszynów, Hrubieszowów, Tarnogrodów, Łaszczowów, Izbic, przed wyburzeniem całych ulic Tomaszowów, nigdzie w Polsce — poza Sandomierzem i Kazimierzem nad Wisłą — nie ma. Miasteczka sprawiają wrażenie, jakby projektowali je poeci na niezłym rauszu: meandry uliczek, nagłe wybrzuszenia, urwiska zrywające się nad rzeką, chałupiny z zakodowaną w ganeczki, tzw. kuczki żydowską kresowością. Musi być cerkiew i synagoga, lub pamięć po nich, często stare, renesansowe, potwierdzające solidność wielokulturowego warkocza; barokowy kościółek i charakterystyczne, niezliczone zaułki, zaułeczki, przesmyki, jakby ludziom tu mieszkającym śpieszyło się od zawsze. A przecież jeszcze dziś żyje się godnie, nieśpiesznie. Gdyby sięgnąć głębiej, kto wie, czy zwyczaj, gwarowe słówka nie odsoniłyby bużańskiego czy też wołyńskiego rdzenia...

Na marginesie warto zauważyć, że niektóre rosyjskie prace, np. A.N. Nasonowa *Russkaja ziemia i obrazowaniej territorii drierwienurskogo gosudarstwa* Moskwa 1951, s. 153, przesuwają granicę Grodów Czerwieńskich o ok. 140 km na wschód od Bugu, ustalając „na podstawie wnikliwych dociekań granicę 'ziemi

ruskiej, a więc ówczesną granicę polsko-ruską, w międzyrzeczu Styru i Horynia". Znajduje to potwierdzenie w kształcie historycznych granic księstwa, a później województwa bełżkiego. Podobne wnioski narzucają się przy lekturze opracowania N.I. Teodorowicza: *Gorod Władimir wołyńskiej guberni w swjazi z istoriej wołyńskiej jeparchii*. Poczajów 1893.

W 1031 roku, podczas zajęcia Grodów Czerwieńskich przez książąt ruskich, nastąpiły ważne dla naszej państwowości precedensy, towarzyszące nam do dziś: pierwsza koalicja niemiecko-ruska przeciw Polsce i pierwsze wysiedlenie ludności polskiej na wschód. „Lata 6539 [1031] Jarosław i Mścisław zebrałi mnogie wojsko — powiada *Letopis Nestora* — szli do Polski, i zajęli napowrót Grody Czerwieńskie, i spustoszyli Polskę, i mnóstwo jeńców polskich przywiedli, i rozdzielili ich, i osadził Jarosław swoich nad Rosją [prawy dopływ dolnego Dniepru], i są po dzień dzień”. Cytowałem za: Jan Górak: *Miasta i miasteczka Zamojszczyzny*, Zamość 1990, s. 129.

Tak jak Lubaczowskie, Zamojszczyzna posiada kilka niezwykłych obiektów: przede wszystkim w Hrebennem, które stanowi niewielką enklawę ukraińską — w wiosce mieszka po 30 rodzin Polaków i Ukraińców. Drewniana świątynia budowana i rozbudowywana przez kilkaset lat sprawia wrażenie, jakby wyśnił ją utalentowany mistrz w jednym genialnym błysku. Niezwykle zgrabna, z pozostałościami siedemnastowiecznej polichromii i wyposażenia, górująca nad traktem do Lwowa, stanowi wraz z otoczeniem miejsce nasycone aurą prawdziwej świętości. Miejscowi nie chcą wyjeżdżać do wolnej Ukrainy.

— Pan zostawiłby swój dom? — odpowiadają pytaniem na pytanie. Dzieci uczą się ukraińskiego w polskiej szkole, której dyrektorem jest Ukrainiec. Wieś, trzykrotnie mniej liczna niż przed wojną (skutek akcji „Wisła”), sprawia wrażenie oazy spokoju. Jeżeli ktoś narzeka, to Polacy zazdroszczący wywiezionym:

— Dorobili się, wyuczylili dzieci. Teraz przyjeżdżają samochodami, popatrzą i wyjeżdżają, nas nic tu nie czeka.

Liczący trzy zagrody Myców, leżący na południe od Dołhobyczowa, posiada dwa niezwykle wagi zabytki: malutką cerkiewkę z kompletną polichromią i dwoma chórami usytuowanymi jeden nad drugim — rozwiązanie wewnętrzne jedyne w swoim rodzaju, oraz kaplicę secesyjną z 1900 roku na miejscowym cmentarzu. Projektował ją architekt lwowski, Wł. Sadowski, marmurową płaskorzeźbę w ołtarzu wykonał A. Bunsch. Oryginalne secesyjne polichromie pożera pleśń, z trzech witraży pozostał jeden. Wyposażenie i zawartość katakumb wypatroszone, zdewastowane, w załamach murów rosną brzozy i sosny — wojewódzki konserwator zabytków w Zamościu nie ma poję-

cia, jaki skarb rozpada mu się pod nosem. W całym pasie pogranicza, wliczając Lublin i Białystok, nie znalazłem obiektu secesyjnego o tak niezwykłej urodzie, tak jednorodnego stylowo, kompletnego.

Kto chce doznać prawdziwych metafizycznych przeżyć, powinien poświęcić dzień na cerkwie w Wierzbicy (kilkanaście kilometrów na południowy wschód od Tomaszowa). Stoi samotna, jak na klepisku, choć niegdyś w środku ludnej wsi, obok przeganiane są stada bydła z miejscowego PGR. Właściwie należałoby powiedzieć unosi się, bowiem jedna ściana, podgniła i wydarta, nie istnieje. Jakby nadludzkiem wysiłkiem, w niezwykłym grymasie koślawa bryła czepia się życia, jątząc niebo rozbitymi kopułami. Za każdym razem wracam stamtąd wstrząśnięty. Świątynia była do uratowania, ale łańcki proboszcz nie pokusił się chociaż o gest.

Kilka kilometrów od Wierzbicy przycupnęły Dyniska, w których latem 1866 Artur Grottger kończył prace nad cyklem „Litwania”. Podążał tutaj „szybkowozem” z Rawy Ruskiej przez Uhnów, więc i przez Wierzbicę. Dwa tygodnie wspólnego pobytu z narzeczoną, Wandą Monné, u Skólimowskich były chyba ostatnim szczęśliwym akordem tego krótkiego życia. Zaraz potem wyjechał do Paryża, po śmierć.

Rzadko dziś na Zamojszczyźnie można spotkać wioski w jakiejś części zamieszkałe przez grekokatolickich Ukraińców jak Hrebennie, Siedliska czy Liski — niewykluczone, że te same, przez które uciekał Izaak Babel z Budionnym po kłesze na łąkach Komarowa. Dawne ukraińskie wsie, zdegradowane liczebnie do jednej drugiej, jednej trzeciej przedwojennego stanu, zamieszkuje nasiedleni Polacy. Zazwyczaj ktoś pozostał lub wrócił — jedna ukraińska rodzina, czasem tylko jedna osoba do pilnowania cerkwi, cmentarza.

W Chełmskiem i na Podlasiu po rusyfikacyjnym koszmarze, nacisku prawosławia pod koniec XIX wielu pozostało niewiele: rzadko spotykane cerkwie, najczęściej przemianowane teraz na kościoły, i jeszcze rzadsze skupiska prawosławnych. W Dubien-ce, tej samej od której rozpoczęła się zasłużona sława Kościuszki, stoi bardzo ładna, rosyjsko-bizantyjska cerkiew, ale nie bardzo wiadomo co z nią robić: na miejscu nie ma wiernych, prawosławni nie są zasobni na tyle, by utrzymać obiekt dla niego samego. Bardziej na północ, we Włodawie i Sławatyczach, cerkwie są czynne, starannie utrzymane, choć z liczebnością wiernych nie jest najlepiej.

Dwadzieścia kilometrów na południe od Kodnia, w Jabłecznej, rozłożył się na nadbużańskich łąkach (teraz zdewastowanych przez miejscowy PGR) jedyne w kraju prawosławny klasztor męski p.w. św. Onufrego. Odkrycie tej enklawy, nieskażonej

od XV wieku jakimikolwiek obcymi wpływami czy wtętami, okazało się dla mnie największym doznaniem podczas penetrowania terenów nadgranicznych. Doroczny odpust (24 czerwca) ściera wiernych z najdalszych zakątków kraju, także z ziem po wschodniej stronie Bugu. Nabożeństwa i modły, odprawiane przez całą dobę w soborze i kaplicach, stanowią swoistą, podniosłą polifonię o ruskim (nie rosyjskim!) kolorycie. Punktem kulminacyjnym jest msza celebrowana o trzeciej w nocy w kaplicy św. Ducha, położonej 50 metrów od koryta Bugu, podczas której metafizyka nocy ulega dnu przy akompaniamentie wyszukanego ludzkiego śpiewu odgłosów budzących się żab i ptaków. Ma on niezwykłą moc oczyszczającą. W zespoleniu z naturą jest kontynuacją — myślę — najbardziej pierwotnych obrzędów, pierwszego oddania się człowieka sacrum.

Jableczneńscy pielgrzymi mówią językiem (dialektem?) zlepionym z białoruskiego, ukraińskiego, polskiego i rosyjskiego. Aura podniosłości, wyjątkowości święta spleta się z manifestowaną serdecznością pątników w stosunku do siebie samych i kleru — przyjeżdża cała hierarchia Polski, biskupi z Białorusi, Ukrainy, nawet z Włoch. Tutaj widać, że duchowni są dla ludu i z ludem, nie ponad nim jak w rzymskim katolicyzmie.

Widoki rozmodlonych, odpoczywających, śpiących ze zmęczenia w soborze i na stopniach wejściowych, nocne spacerunki i rozmowy, procesje rozchodzące się do kaplic w błocie jakby specjalnie urobionym przez pegeerowskich traktorzystów, pokrywają się z wyobrażeniami o Rusi jakie musi mieć każdy, kto zetknął się z rosyjskim malarstwem, ikonami. Jableczną odkrywałem z dziecięcą radością, przechodząc do porządku nad zaangażowaniem mnichów w niegdysiejsze rusyfikowanie ziem. Przekopali nawet koryto Bugu, by być bliżej Podlasia, i tylko ten fakt pozwolił klasztorowi zostać przy Polsce po drugiej wojnie światowej. Prawosławie nigdy dla mnie nie było religią obcą, a tylko nieznaną wskutek nauczania wybranych i spreparowanych epizodów rodzimej historii. Wielu Polaków lepiej zna historię Chin, niż współrodaków mieszkających dwie godziny drogi od Lublina. Ta optyka chińska jest swoistym sukcesem peerelowskiego szkolnictwa.

W stosunku do grekokatolicyzmu prawosławie ma się w Polsce zupełnie nieźle. Porównania z Kościołem łacińskim nie wytrzymuje, bo nie może, ale dba o swoją młodzież i efekty tego są widoczne. Na ok. 400 księży prawosławnych przypada ze 40 grekokatolickich i ten fakt obciąża przede wszystkim Kościół łaciński: kandydatów usuwano z seminariów pod byle pretekstem. Właściwie jest to rzecz nie tyle obciążająca, co unaoczniająca dzisiejszą politykę łacinników w stosunku do grekokatolików. Kościół rzymskokatolicki nie wyrzekł się do dziś

chęci ich zlatynizowania, podobnie jak prawosławny wcielenia na powrót do siebie po raz już któryś. Oto rozpiętość dramatu grekokatolickich Ukraińców, czas jego trwania — ponad cztery stulecia. Wielokrotnie zastanawiałem się nad przyczynami tego stanu rzeczy i nieodmiennie dochodziłem do tego samego: władzy i pieniędzy. Gdyby myślano o ludziach, dano by im spokój dawno. Protesty składane przez Kościoły prawosławne wielu państw przeciwko ingerencji Watykanu na Ukrainie znaczą, że tygiel podgrzewany jest na nowo. Nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć ewentualny rozwój wypadków: wzmocnienie samodzielnej Ukrainy może spowodować odrzucenie zwierzchnictwa Rzymu, tak jak pozbyto się wpływu Moskwy. To nic, że Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny, którego patriarchą obrano Mstisława Skrypniaka, nie jest uznawany przez pozostałe Kościoły prawosławne. Jak mówi lubelski biskup prawosławny Abel, „nie ma łączności modlitewnej ani eucharystycznej”, ma miejsce „rozjednanie” spowodowane niedopełnieniem normy prawa kanonicznego przy wyświęcaniu nowych biskupów. Chodzi o to, że przy wyświęcaniu każdego nowego biskupa musi być obecnych dwóch innych biskupów i pisemna zgoda trzeciego. Ukraiński Kościół Autokefaliczny, zdaniem biskupa Abła, tego obowiązku nie dopełnił. Co z tego, skoro wyświęconych kilkunastu biskupów posiada poparcie milionów Ukraińców?

Jableczna to południowe Podlasie. Jadąc na północ, w prawie wszystkich kościołach spotyka się informację o przemianowaniu ich na cerkwie w XIX wieku. Z grekokatolików siłą robiono prawosławnych, z czasem przywykali i już nie zmieniali wyznania. W okolicy Kodnia stało się inaczej: trzy parafie zdecydowały się w latach dwudziestych wrócić do unii. Do dzisiaj ocalała tylko jedna, i jedyna w kraju neounicka, w Kostomłotach, w dużej mierze dzięki determinacji proboszcza, ojca Romana Piętki. Dwie pozostałe znajdowały się w samym Kodniu i Janowie Podlaskim.

Ludzie z Kostomłotów, podobnie jak Mazurzy i Warmiacy, nie nazywają siebie Polakami, lecz mówią: my tutejsi. Tych tutejszych, najbardziej wiernych kulturze polskiej, po ostatniej wojnie zaszczuwano, deportowano. Mazurów i Warmiaków także! Niektórym udało się wrócić i odkupić gospodarstwa, wieś jednak nie jest ta sama: młodzi wyjeżdżają, zmieniają wyznanie. W świątyni mszę odprawia się w języku staro-cerkiewno-słowiańskim, natomiast kazania — na życzenie mieszkańców — mówi się po polsku.

W bezpośrednim sąsiedztwie Terespoła rozłożyły się dwie niegdyś tatarskie wsie: Lebedziew i Studzianka. Jeszcze na przełomie wieków stały w nich meczety. Ogółem na Podlasiu żyło

40 rodów tatarskich, m.in. Abrahamowiczowie, Assanowicze i Ułanowie, których protoplastą był Aleksander Ułan, dowódca pułku wojsk koronnych za czasów saskich. Sława jego i jedynostki była tak wielka, że po śmierci pułkownika zwano ją dalej ułanową — za Napoleona nazwa przenosi się na całą polską jazdę lekką.

Po Tatarach podlaskich pozostały tylko mizary (cmentarze). Wśród miejscowych chłopów zdarzają się szerokie twarze i charakterystyczny kształt głowy, przypominający odwróconą gruszkę. Meczety spłonęły podczas I wojny światowej — wycofujący się Rosjanie palili wszystko. Nagrobkami z lebidziewskiego mizaru podczas II wojny Niemcy wybrukowali dwa kilometry drogi, ale cmentarz ocalał. Znalazłem nawet obeliski z datami 1704 i 1796. Na osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych pomnikach wykuto napisy w polszczyźnie (Joanna z Baranowskich Korycka pułkownikowa Woysk P. Zm d 2 Pa 1826 R, lub: Felicya z Koryckich Buczacka marszałkowa P Bialskiego Zmarła D 7 Czer 1823), zdarzają się napisy arabsko-polskie. Na przełomie XIX i XX wieku przeważają w języku rosyjskim. Niewielkie obeliski z głazów narzutowych — 50-60 centymetrowe — zawierają tylko datę (1905 G. 25 Ijulia) lub nie mają żadnego napisu.

Społeczność Tatarów podlaskich temperamentem, mentalnością jako żywo przypomina polską szlachtę skorą do wypitki (tak!) i do wybitki. Pełna fantazji i pomysłów — nawet jeżeli chodziło o „zarabianie” zaproszonego wroga na własnym weselu, co zdarzyło się generałowi Józefowi Bielakowi roku pańskiego 1774 — roztopiła się w żywiole polskim. Od czasu do czasu w prasie błysnie nazwisko, które tylko znawcy przedmiotu identyfikują bezbłędnie, z rzadka nosi je urzędnik administracji średniego szczebla, przedstawiciel palestry.

Jadąc w stronę Drohiczyzna, czwartej stolicy koronacyjnej Polski (w roku 1253 legat papieski tutaj koronował Daniela Romanowicza na króla Rusi) po drugiej stronie Bugu mijamy Wołczyn, w którym król Stanisław Poniatowski zdematerializował się ostatecznie. Ze trzy lata temu specjalnie robiony huczek kipiał na szpaltach krajowych tygodników: przewieźć czy nie? Uczona komisja w wołczyńskiej krypcie odnalazła fragment trumiennej nogi, ktoś inny haftowanego srebrem orła w strzępach; z wewnętrznej ołowiowej trumny miejscowi chłopci porobili poidła dla kur. Historia pisze surowsze wyroki niż dzisiaj byłby skłonny wydać człowiek...

Drohiczyzn, którego każdy zaułek zdaje się potwierdzać dawną świetność, napawa nostalgią: był stolicą Rusi Halicko-Włodzimierskiej, drugiego na naszej drodze satelitarnego państewka, które nie oparło się historii. Sam nie wiem, czemu kojarzy mi się z Villonem; pod płaszczem barw i spokoju „Zda mi

się, iakbych słyśzał skargi / Płatnerki piękney — gdzie te czasy!” „Gdzie są te święte apostoły, / Ubrane w alby, strojne w mitry / Y opasane w święte stuly [...] Gdzie ich dworzanów ciżba płocha, / Heroldy, dworki, , darmożreie? / Małoż napchali do bandziocha? / Hey, iak ten wichr, co w polu wieie...”

Kilkanaście kilometrów na wschód od Siemiatycz leży Grabarka, prawosławna Częstochowa, z jedynym w kraju klasztorem żeńskim. Byłem tam wielokrotnie, zdołałem nawet namówić matkę przełożoną Ludmiłę na wywiad, który mimo woli ujawnił wszystkie uprzedzenia i niechęci, jakie wciąż dzielą łacinników i prawosławnych. Cudowna góra Grabarka, z rzadka porośnięta olbrzymimi sosnami, na szczycie wieniec siedmiu tysięcy krzyży, pokutnych i dziękczynnych, okalający stary, drewniany chram. W swojej metafizycznej aurze jest to miejsce bardziej prasłowiańskie niż ruskie. Tak to czułem. Tak myślę dziś. Jak do Jablecznej przyjeżdżają tysiące pielgrzymów w sierpniu na dorochny odpust — ludzie modlą się pomiędzy krzyżami, palą lampki, drzemią — tu też nabożeństwa trwają przez całą dobę. Wśród drzewiec zdarzyło mi się widzieć szarego, ogromnego kota, rośnie wśród nich jabłoń i wiśnia — jak przejmujący musi to być widok wiosną. A więc miejsce nie tylko święte, ale i bardzo swojskie. Napisy na krzyżach, niemal wyłącznie drewnianych, wryto cyrylicą. (Spasi Gospodi i pomiluj boliaszczuju Nadzieđu, 988-1988 Ot parafijan Liegnicy Michałowa Zimnoj Wody Liubina i Wrocławia), są też polskie (Pawelkowi w intencji uzdrowienia. panie Jezu zmiłuj się Mama) i polsko-rosyjskie (Spasi Gsdi ljudi twoich. Toruń 1988). Grabarka, to ostatni w Europie bastion krzyżowców-pokutników, jeśli płaskowyzę Sycylii czy Hiszpanii nie przechowały czegoś podobnego. Spaloną dwa lata temu świątynię dźwignięto na nowo — jest murowana, ale będzie obita gontem, tak aby przypominała tamtą.

Bezdrożami, przez Białowieżę (jedyne w kraju ikonostas z japońskiej majoliki), przez puszcze docieramy do Jałówki, dawnego miasteczka założonego przez Bonę. Tutaj po raz pierwszy zaobserwowaliśmy walkę wyborczą pomiędzy katolikami a prawosławnymi — relacjonowano nam donosy naczelnika na agitujących księży. W Krynkach, rodzinnym miasteczku Sokrata Janowicza, pisarza i duchowego przywódcy Białorusinów mieszkających w Polsce, na drzwiach cerkwi wisiały nawet agitacyjne plakaty!

Jałówka słynie z pobudowanej niedawno (dla tysiąca wiernych) bardzo pięknej świątyni na planie stylizowanego liścia koniczyny. Miękkie owale muru dają niezwykłą wprost akustykę — słycać pszczoły zbierające miód na sąsiednich lipach. We wnętrzu ikony z rozwalonych cerkwi bieszczadzkich (peegerowskie spychacze załatwiły to w jedną noc), niektóre przestrzelone. Tutaj też znajduje się świadectwo zażartej walki prowadzonej w

ubiegłym stuleciu: wybudowany do połowy kościół zajęli prawosławni i nadali mu formę cerkwi. Po wojnie, przedstawiając m.in. rachunki, obiekt odebrano, zdjęto kopułę, ale bryłę kościoła wyraźnie cechuje wschodni styl.

Mijamy Gródek, dawny ośrodek dóbr Chodkiewiczów. W kioskach więcej gazet składanych cyrylicą niż alfabetem łacińskim. Nie czuło się w klimacie miasteczka niczego, co mogłoby budzić podejrzenia. Niedawno dowiedziałem się, że w 39-tym roku miejscowi na usługach NKWD zabili kierownika szkoły, Józefa Baryłę, i jeszcze kilka osób. Dziś w miasteczku nikt, oczywiście, nie przypomina sobie ani kierownika, ani zajścia. Tylko z listów rodzin pomordowanych, napływających do komisji badania zbrodni i do prasy wynika, że kierownika zamordowali jego wychowankowie.

Polska Białoruś, kraina, którą nazywaliśmy szuterlandem, od szutrówek, bardzo kiepskich dróg. Najbardziej autentyczna pozostałość po dawnych kresach II Rzeczypospolitej wygląda biednie: zaniedbana, z drogami polnymi, z rzadka wysypianymi żwirem. Na Zamojszczyźnie do najbardziej oddalonych miejsc dojeżdża się asfaltem, często poszarpanym, wyboistym, ale jednak. Tutaj asfalt jest marzeniem. Co zrobiono dla tych ludzi przez ostatnie pół wieku?

Mimo to Białorusini, niepomni dawnych krzywd (w *Comedy* — Kajetana Maraszeuskiego, prezentowanej w roku 1787, z głównych postaci tylko diabeł mówi po polsku, a bywało, Białorusinki straszły niegrzeczne dzieci polskim panem: „Cyt, cyt, pan ciabie zjeść!”) i całkiem nowych zaniedbań, przyjmowali nas z całą słowiańską serdecznością — prosto z drogi obiadem. Czulem wdzięczność, że utrzymali przez tak długi czas zapach II Rzeczypospolitej, i wstyd, że tak mało zrobiliśmy od wojny dla nich — współrodaków.

Między odnogami białostockiego traktu do Grodna i do Wołkowyska zachowała się do dzisiaj enklawa Tatarów litewskich, ściślej — białoruskich. Z 18 meczetów, jakie posiadali muzułmanie w II Rzeczypospolitej, pozostały 2: w Kruszynianach, gdzie mieszkają jeszcze dwie rodziny tatarskie, i w Bohonikach (5 rodzin). W okolicznych miejscowościach, np. w Krynkach, Sokółce, żyje również kilka rodzin, ale największe skupiska potomków polskich Tatarów znajdują się w Białymstoku (zamierzają tam wybudować meczet), w Warszawie, Szczecinie i Szczecinku oraz w Gdańsku. Natomiast w Gorzowie Wielkopolskim osiedlili się Tatarzy przesiedleni spod Grodna i Wołkowyska.

Kruszyniańsko-bohonicka społeczność zamiera, młodzi uciekają do miast. Nie sprzyjała zachowaniu odrębności nieznamość arabskiego — Koran przetłumaczono na polski ledwie lat temu parę. Modlitwy, co prawda, wypowiadane są po arabsku,

lecz bez znajomości języka (do Kruszynian mułta przyjeżdża z Białegostoku). Meczety przypominają wiejskie, szalowane kościółki, tyle że z półksiężycem na kopułach. Kilka razy do roku obchodzi się wielkie święta (Kurban, Ramadan), na które zjeżdżają muzułmanie z całej Polski. Składa się wówczas ofiary z żywych zwierząt. Chrzt, wesela, pogrzeby sprawowane są w sposób tradycyjny, ale niektóre nakazy uległy złagodzeniu, np. dotyczące wielkiego postu. Jak powiada kruszyniański sołtys, Mieczysław Chalecki, Wschód w tym czasie przestawia się na nocne życie, tutaj nadchodzą żniwa i w pole trzeba wyjść. Meczety, bardzo zadbane, nie posiadają zabytkowych przedmiotów kultu, w ogóle Tatarzy zdają się nie przywiązywać wagi do pamiątek z przeszłości. Tylko w Kruszynianach zauważyłem dziewiętnastowieczne ręcznie haftowane muhiry — cytaty z Koranu, wiszące na ścianach.

Na co dzień używają imion polskich, żeby nie wzbudzać sensacji w urzędach. Na nagrobkach wypisują oryginalne dane na chrzcie. „Majątkowa ziemia tatarska” uległa rozdrobnieniu: całe wieś darowywano zamieszkałym w nich chłopom, przegrywano w karty, dzielono między dzieci, wreszcie sprzedawano. Na mizarach panują obyczaje Wschodu, zdarza się, że całe rodziny, np. Półtorzyccy w Bohonikach, okupują spore części cmentarza, leżąc klanami.

Enklawę prawosławno-tatarską od litewskiej — katolickiej — oddziela Puszcza Augustowska i — wcześniej — Biebrza. Dojechalśmy do mitycznej „krainy czterech granic i czterech ścierających się kultur”, gdyż właśnie tutaj stykały się i przenikały wpływy Mazowsza, Zakonu Krzyżackiego, Rusi oraz — po wytopieniu i wypędzeniu Jaćwingów — Litwy. Z przemieszczania się kultur, języków wytworzył się kilkudziesięciokilometrowy pas pogranicza, czytelny w nazwach miejscowości, w gwarze, w mentalności ludzi, nagrobkach, ale najbardziej chyba w materiale archeologicznym. Dominujący okazał się żywioł polski, zaraz po nim — ruski. W XV-XVI wieku ziemię tę ohrzczone Podlasie (Podlasze — podle Lachów). Rzeka swą niezwykłą historię zaczyna w epoce neolitu: siedem i pół tysiąca lat temu obszar dzisiejszej Polski zapełniają stopniowo rolnicy znad Dunaju, ale... tylko do Biebrzy. Stan taki trwał cztery i pół tysiąca lat — wszędzie w Europie rozprzestrzeniło się rolnictwo, tylko za Biebrzą kwitło myślistwo, zbieractwo. Spowodowały to nie tyle nieprzebyte bagna, co klimat, licha ziemia, obfitość puszczy i zwierzyny, no i opory psychiczne (łatwiej połować niż pracować w polu). Dolina Biebrzy pozostała najdalej wysuniętą na zachód domeną łowców. Śródbagiennie grądy zachowały mnogość odprysków po obróbce neolitycznych narzędzi. Spuścizną ubiegłego stulecia są samotne wśród mokradeł chałupy starych ludzi żyjących

na dawną modłę. To potomkowie carskich zesłańców z głębi Rosji. Nadbiebrzańskie i nadnarwiańskie trzęsawiska były dla rdzennych Rosjan tym, czym dla Polaków Sybir.

Puszcza Augustowska kryje prawdziwe perły. Przy szerokim, piaszczystym gościńcu, wśród boru można ujrzeć kilkanaście domków ciasno do siebie przytulonych, obok staw jak z Podkowińskiego, z kaczkami, gęsiami, owcami. Sernetki — bo tak nazywa się jedna z wsi — pilnowane są przez przydrożne krzyże i kapliczki — po kilka z każdej strony. Zderzenie cywilizacyjne jest tak silne, że doznaje się poczucia władzy nad czasem. Jakby każdy krok ważył parę dziesięcioleci. Wcale nie rzadko, jak w Świętym miejscu k. Augustowa, napotkać można kultowe ośrodki Jącwingów. Położone nad rzeką, wśród mokradeł, otoczone wałem ziemnym, rzędem dębów, wreszcie płotem, do dziś dzięki adopcji dokonanej przez Kościół pełnią funkcje religijne. W letnie przesilenie ludziska wałą do Świętego Miejsca samochodami z kilku województw na odpust. Ofiarne monety wtyka się w korę drzew, w splekania krzyży, których kilka stoi w samym centrum okręgu. Składa się także na ofiarę jaja kurze.

Polska Litwa: trzy gminy rdzennie litewskie i kilka z dużym procentowo udziałem Litwinów. Kraina pełna olśniewających jezior, ale czy błogosławiona? Sejny, miasto rangą i zasługami równe Kownu (tak mówią Litwini), od wojny do dziś zostały w substancji architektonicznej zniszczone. Ocalały ogryzki kresowej architektury. Do dziś trwa tutaj zażarta walka Litwinów o utrzymanie odrębności narodowej, z drugiej strony bezmyślny, kolonizacyjny nacisk Polaków, którzy stanowią 60% mieszkańców. W Puńsku, stolicy polskiej Litwy, tego nie ma: mieszkają tam niemal sami Litwini. Wojna toczy się od roku 1921, w którym Sejny jedenaście razy przechodziły z rąk do rąk. Polskich i litewskich oczywiście. Do dziś opowiada się na ulicy wymyślone przez propagandystów historie o znęcaniu się Litwinów nad Polakami (kopanie uciętej głowy po ulicach, przybijanie wydartych trzewi do drzewa), do dziś ze szpitala w Sejnach nie pozwała się Litwinowi zatelefonować, by zawiadomić rodzinę o śmierci (tu jest polski szpital, proszę mówić po polsku!). Ukoronowaniem podobnych działań było zmienianie przez prałata Rogowskiego litewskich imion (bo pogańskie) na polskie (bo chrześcijańskie) podczas udzielania chrztu w sejneńskiej kolegiacie i czterdziestoletnia (!) walka o jedną mszę w tygodniu po litewsku. Jak twierdzą Litwini, sprawę rozwiązano podobno na wyraźne polecenie papieża.

Z Polakami rozmawia się tutaj niechętnie, gdyż — jak uczy doświadczenie — każdy Polak to zły Polak. Litwini bronią się gospodarnością, zapobiegliwością, trzymają się razem, nawet mieszkają przy „swoich” ulicach, co przez zawiść także obraca się przeciwko nim.

Poza Sejnami jest znacznie lepiej: na wsi ludzie żyją spokojnie, dzieci do siedmiu lat wznoszą w litewskość, polskiego uczą się dopiero w szkołach. Jeżeli nauka nie odbywa się po litewsku, można uczyć się języka „na godzinach”, choć nie zawsze odbywa się to bezboleśnie.

Od Sejn do Puńska jechałem w najbliższym sąsiedztwie granicy, mijając dwór ciotek Czesława Miłosza w Krasnogrudzie. Odnowiony niedawno, tonie w chaszczach i zielsku, mimo że jest zamieszkały przez pracowników leśnych. We wsi żyje jeszcze Andzia (Anna Czeropska) i jej brat, oboje pracowali we dworze i pamiętają poetę. Dalej, w stronę Wizajn, jest jak w wierszach: „Wznosi się droga pod wtór bębena i fletu / Zakosami, tam gdzie zapach coraz bardziej miodny. / Koszowe ule, słoma ich mosiężna, / Słoneczniki na grzędach, tymianek”. Mijałem Żegary, Radziucie, a w nich krowy stojące po brzuchy w błocie, Burbiszki, Przystawańce. Ogłoszenia na przystankach PKS, napisy na przydrożnych krzyżach — w języku litewskim. Liczyłem, że uda się wyodrębnić typ architektury wiejskiej, niestety, tylko raz, w okolicach Puńska zwróciła uwagę stara chałupa połączona z oborą. Obrzucona czymś w rodzaju zaschniętego błota, pomalowana na brunatny kolor, mieściła się w uniwersalnej formie starego budownictwa. Charakterystyczne okazały się tylko zwieńczenia wież drewnianych kościółków (bo nie kopuły?): ostrosłupowe, ośmioboczne u podstawy tworzącej jakby koronę, przypominały dziecięce czapki z papieru.

Pisząc o pograniczu nie sposób nie wspomnieć o starowiercach (filiponach). W Wodziłkach (wieś między Wizajnami a Suwałkami) wystawili jedną z kilku świątyni (tzw. mołen) jakie mają w Polsce. Inna stoi w Gabowych Grądach k. Augustowa — sąsiednia wioska Bór także jest zamieszkała niemal wyłącznie przez staroobrzędowców. I to wszystko, co zostało z dziesięcioletniej wspólnoty religijnej, istniejącej przed wojną na ziemi sejneńsko-suwałskiej. Ogółem w II Rzeczypospolitej żyło ok. 80.000 filiponów.

Przybywali na te tereny do końca XVII wieku, uciekając przed prześladowcami ze zreformowanej Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Należeli przeważnie do wspólnoty fiedosiejewskiej (tzw. bezpopowcy) nie uznającej chrztu, spowiedzi, małżeństwa i stanu duchownego. Popowcy przejmowali duchownych nawet z oficjalnej Cerkwi. Z biegiem czasu surowe obyczaje złagodniały: pod koniec XIX stulecia uznali sakrament małżeństwa (pojawiała się nawet obrzędowość weselna), a dziś korzystają z opieki swoich księży. Kapłana wyświęca kapłan, przed wojną istniała przy rezydującym w Wilnie biskupie szkoła duchowna.

W Wodziłkach mieszka 13 rodzin staroobrzędowców (ok. 100 osób) i 4 polskie. Ludzie są nieufni, do mołeny nie udało mi

się dostać mimo okazania wszystkich papierów i dokumentów jakie miałem — niedawno została ograbiona. Ciepłe przyjęcie w domu sołtysa także lodów nie przełamało: ilekroć kierowałem rozmowę w stronę tradycji, przekonań religijnych, zapadało milczenie. Oto cały komentarz na temat współżycia z ludźmi o innych przekonaniach i wyznaniu.

Tyle ze świata żywych. Nadgraniczne peregrynacje zakończyłem w Górach Sudawskich, uformowanych do złudzenia w pojaćwieskie grodziska i kurhany. To ziemia zupełnie inna od wszystkiego, co dotychczas widziałem w Polsce. Ma swoistą amplitudę pofałdowania, tak odmienną od Rostocza, Bieszczadów czy Beskidów, swoją nostalgię zamkniętą w cienkości krajobrazu, innej jasności światła. Być może sprawia to klimat, niezrządkiem w maju leży tu śnieg.

W Szurpiłach, niedaleko Targowiska, wznosi się góra dźwigająca niegdyś potężne grodzisko — ostatni punkt oporu Sudałów. Profesor Okulicz, prowadzący z żoną badania archeologiczne, opowiadał o prawdziwej hekatombie: na jednym metrze kwadratowym znajduje się po pięć grotów strzał i kuszy — miejsce dosłownie zalano żelazem. Krzyżacy dwa razy zdobywali gród (2 pierścienie kamiennego wału, system umocnień połączony z pięcioma jeziorami wokół). Za drugim zburzyli go ostatecznie. Kojarzyło mi się to z tragedią Hattusas — stolicy Hetytów.

Adam KULIK

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Wiersze

Paweł MAYEWSKI

TESTAMENT

Między narodzinami i śmiercią
między brzegami dobrych i złych dni
pośród mielizn nijakich dni
nieodwracalnie przemija czas
nie było lasu nie było nas
nie było lasu nie będzie nas
nie było nas nie było lasu
będzie czas nie ma nas jest czas.

Gdy nad Port-Royal czarna noc gasła
i gasło wątłe ciało — Pascal myślał:
a więc ta cała rzecz to nic nic więcej
niż głupie czekanie aż nas ślepy głos
po kolei wywoła ze szlachtuza na ubój
jak zwierzęta nieświadome noża.
Więc po co ciężar i uroda słów
wdzięk biegu zdań i udreka wywodów
po co szlachetna gramatyka słów
famliwych jak trzcina ze szkła
po co wiara?

Gdy krzyżąc pędził by lancą przebijając
głuchonieme wiatraki drżące w lęku
don Kichot-Cervantes myślał
ten wrzask i galop to także iluzja
ja cały jestem niczym pianą słów
rozsypaną przez ptaki-szkielety
które się wkrótce przeobrażą w popiół
wiatr potem wszystko rozniesie po świecie
obsypie nim czoła sypnie w oczy
jeśli więc wszystko obraca się w popiół

mój krzyk mój sen wszystkie moje bitwy
każda modlitwa ból każdego mięśnia
to po co męczę moją biedną szkapę
ciągnę po świecie swojego roztopka
z pustego w puste swe księgi przelewam
więc po co męstwo

I Szekspir. Kiedy sam i osaczony
przez elżbietańskie skorpiony i krety
dławił się ludzką głupotą bo wiedział:
to wszystko tylko opowieść idioty
wrzask i łakomstwo tyle tylko warte
co funt klaków wyrwany z oślego ogona.
Stoczy nas robak czasu cała rzecz
jest tak płochliwa jak płomyk u świecy.
Po co więc wiedząc daję się uwodzić
czczym benefisem kaprysom cenzury
prostactwu władzy słodkiej pieśni drzew
stratfordzkich płytkim ukłonom sąsiada?
Wśród takiej wiedzy w pełni objawionej —
układy i konwenanse?

Ja, człowiek, miarą wszystkiego. Gdy pod Europą
walił się fundament przepalanej wiary —
a był to akt samobójczy — chory Nietzsche
drwiąco ostrzegał: Bóg wam umarł,
jesteśmy zdani na siebie. Po czym zimno:
teraz dopiero zacznie się zabawa.
Z niemocy wielka wylęgnie się przemoc
bakcyl obejmie mózg i genitalia
potem z przemocy wylęgnie się ciemność
raj szernieje w pieklach zapalą się ognie
— obłąd ogarnie co mogło być zdrowe.

Wiara i rozpacz rozpacz i wiara
męstwo i gorycz gorycz i męstwo
mądrość i próżnia próżnia i pragnienie
duma i klęska klęska i duma
sfora metafor labirynt schematów
tłumy iluzji hałasy obietnic
powódź nadziei — choć dobrze wiadomo
że rozpacz i nadzieja są jak mgnienie oka
synteza antyteza krótkim spazmem myśli
życie i śmierć chwilą jak błysk noża
w obojętnym wszechświecie pośród ślepych plam
szukamy sobie tylko trochę miejsca.

KOMI

Śmierć w barwach. Nasza w Komi miała
Barwę białą — jak pielęgniarka oprószona śniegiem
Idąc poprzez baraki ślepo z prycz strącała
I żywych i umarłych, szereg za szeregiem
Jak czas, który z wieczności dnie wytrąca
Widziałem potem tych umarłych zwłoki
Gdy gniły w blasku północnego słońca —
Do dzisiaj chodzą po nich nasze kroki.

W LESIE

Lubię chodzić do lasu, gdzie wśród drzew
czas zwykle bezimienny i niemy
mija inaczej przemienia się w śpiew
jest towarzyszem i nieba i ziemi.
Są takie chwile kiedy w ciszy leśnej
przeptyw czasu jest jak mech miękkie
co smutne wydaje się mniej bolesne
i choć radości nie ma mniej jest udręki.
To co żyje żyje z taką przytomnością
jak otwarte oczy gdy się śmieją
a co otwarte jest prawie miłością
pół rozpaczą tylko — pół nadzieją.

* * *

dzisiaj sygnałem była mi śmierć ptaka
znalazłem go leżał z łapkami do góry
sino-niebieski jak niebo zastygłe
pod sinym świerkiem więc go pogrzebałem
w ciemnej ziemi mokrej niechętniej
przyjmie go tak jak mnie

Paweł MAYEWSKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie Bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Postowie*.

Str. 276.

Cena F. 145,00.

TOM 457

POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cienciąła

Str. 448.

Cena F. 220,00.

ANTY-KULTURA

WYBÓR TEKSTÓW O PARYSKIEJ „KULTURZE”
Ataki i paszkwile peerelowskich i sowieckich autorów

Działy: WYBOCOWANI, EMISARIUSZE,
TEORIA I PRAKTYKA, ZMIERZCH BOGÓW,
PARTIA, PRL.

Wstęp opracował Leopold UNGER

Str. 261

Cena F. 70,00

NAKŁADEM OFICYNY WYDAWNICZEJ „POMOST”
WARSZAWA, ul. Żwirki i Wigury 51 m. 19

Archiwum polityczne

Podstawy sukcesów gospodarczych Japonii

Odradzająca się z marazmu komunizmu gospodarka polska potrzebuje właściwych warunków dla renesansu przedsiębiorczości prywatnej i odbudowy bazy kapitałowej, lecz pytaniem pozostaje, czy wprowadzony dziś w Polsce system wolnorynkowy typu amerykańskiego jest rzeczywiście najbardziej odpowiednim modelem dla Polski. Powodzenie obecnych reform w Polsce będzie w dużej mierze zależec od obrania właściwej polityki gospodarczej, co skłania mnie do refleksji nad doświadczeniem Japonii*, której problemy w bezpośrednim okresie powojennym przypominają w pewnym stopniu dzisiejsze problemy Polski i innych krajów byłego bloku sowieckiego.

Japoński model gospodarczy

W odróżnieniu od USA i krajów Zachodu, w Japonii mecha-

* W niniejszym opracowaniu opieram się przede wszystkim na własnych doświadczeniach długoletniej pracy z Japończykami na różnych posadach, funkcjach i stażach badawczych, łącznie z czynnym zaangażowaniem w planowanie korporacyjne i inwestycje zagraniczne. Zapoznałem się również z najnowszymi metodami wytwórczymi, technologiami i organizacją pracy w zakładach produkcyjnych, np. w zakładach Fukuda Kinzoku (technologia metalowa) w pobliżu Kyoto, oraz Yamazaki Mazak (rewolucyjna metoda tzw. *flexible manufacturing*) w Inuyama (Nagoya). Dla bliższego zapoznania się z japońską „strategią sukcesu” polecam następujące pozycje anglojęzyczne: N. Sasaki: *Management and Industrial Structure of Japan* (Pergamon, 1981), K. Ohmae: *The Mind of a Strategist* (PBL, 1983), T.R. Zengage, C.T. Ratcliffe: *The Japanese Century: Challenges and Responses* (Longman, 1988), Yasunori Kuba: *The 70-years History of Mazak: Master of Manufacturing Technology* (ND Publ, Tokio, 1989).

nizmy rynkowe spełniają tylko pomocniczą, regulującą rolę, a nie mogą same przez się ustalić kierunku rozwoju gospodarczego. Jednym z ciągle powtarzających się błędów w zachodnich ocenach sukcesów gospodarczych Japonii jest trwanie przy klasycznych kategoriach wolnorynkowego kapitalizmu, bez uwzględnienia szerszego kontekstu gospodarczego. Sami Japończycy za jedną z głównych przyczyn swych sukcesów uważają szybką i sprawną reorganizację przedsiębiorstw, czyli stopniowe przekształcanie przestarzałych zakładów przemysłowych na prosperujące firmy z wielkim potencjałem międzynarodowym. Stało się to możliwe w sprzyjającym kontekście szybko postępującej rewolucji naukowo-technicznej, lecz głównie dzięki stworzeniu odpowiedniego klimatu inwestycyjnego ze strony państwa. To jest, wg ekspertów japońskich, kluczowym czynnikiem dla właściwego zrozumienia sukcesów gospodarczych Japonii, a ma swe początki już w pierwszej odbudowie gospodarczej po reformach Meiji r. 1868. Pierwsze próby stymulacji inwestycji prywatnych w owym okresie nie przyniosły spodziewanych rezultatów z powodu ogólnego braku kapitału prywatnego. W tej sytuacji kolejne rządy Meiji przystąpiły do tzw. kapitalizacji państwowej, tzn. tworzenia przedsiębiorstw rządowych, lecz z chwilą gdy zaczęły wykazywać zdrową żywotność gospodarczą w postaci zysków, były one stopniowo przekazywane, tzn. sprzedawane za bezcen, do rąk prywatnych. Polityka ta okazała się wielkim sukcesem i leży u podstaw nowoczesnego kapitalizmu japońskiego.

Po ostatniej wojnie światowej fenomenalny rozmach gospodarki japońskiej był znów wynikiem nadludzkiego wysiłku odradzających się przedsiębiorstw, jednak w zupełnie innych, dużo trudniejszych warunkach niż w czasie pierwszej odbudowy gospodarczej po Meiji. W sytuacji prawie kompletnego braku rezerw kapitałowych, rząd nie szczędził wysiłków w udzielaniu technicznego, a w miarę swych ograniczonych możliwości również finansowego wsparcia dla przedsiębiorczości prywatnej i rozwijania własnej, domowej bazy kapitałowej. Rząd długo pozostawał najważniejszym źródłem i dyspensorem kapitału, jednakowoż polityka rządowa wobec sektora prywatnego nigdy nie miała charakteru nakazowego, lecz doradczy i służebny, wykazując niebywałą elastyczność i pomysłowość w poszukiwaniu właściwych rozwiązań dla efektywnego rozwoju gospodarki. Z biegiem czasu doszło do kompletnego zaniku jakiegokolwiek kontroli ze strony państwa, niemniej bliska współpraca między administracją a światem biznesu pozostała. To, co stwarza w Japonii pozory „centralnego” planowania jest w rzeczywistości rodzajem długofalowego sterowania gospodarką w oparciu o wyznaczniki wolnorynkowe, uwzględniające konieczność okresowych zmian strukturalnych w przemyśle.

Japoński „cud gospodarczy” nie spadł z nieba, lecz przeszedł przez stopniowe, czasami bardzo trudne okresy. W następnej kolejności postaram się wyjaśnić elementarne składniki tego procesu, a więc podstawy *zarządzania gospodarczego* Japonii na płaszczyźnie mikro- i makrogospodarczej. Należyte zrozumienie mikro-bazy systemu japońskiego, a więc podstaw organizacji pracy i zarządzania, łączy się ściśle ze zrozumieniem makrogospodarczych mechanizmów zarządzania i funkcjonowania struktur przemysłowych Japonii. To z kolei pozwoli zrozumieć, dlaczego gospodarka japońska zawsze potrafiła z takim powodzeniem i obronną ręką wychodzić z cyklicznych kryzysów gospodarczych w świecie.

Mikro-podstawy sukcesu: organizacja pracy

Dzisiejszy, jedyny w swoim rodzaju system świata pracy w Japonii zrodził się z pragmatyzmu powojennego, chociaż w różnych jego przejawach można dostrzec pewne analogie historyczne z okresami poprzednimi. Cała gospodarka Japonii, podobnie jak w Niemczech i Polsce, legła w gruzach wojny, łącznie z całą infrastrukturą przemysłową. System przedwojennych korporacji, tzw. *zaibatsu*, został złamany, a nie było żadnego kapitału, na którym można było rozpocząć odbudowę przedsiębiorstw i działalności korporacyjnej. Przy ogólnym braku kapitału pierwsze przedsiębiorstwa japońskie we wczesnym okresie powojennym miały z natury rzeczy charakter wspólnot. W praktyce oznaczało to system wynagrodzeń w naturze dla wszystkich pracowników-członków przedsiębiorstwa, od warstw kierowniczych aż po robotnika w hali fabrycznej, a więc wspólne dzielenie się pracą i jej wynikami. Ogólna i powszechna bieda stworzyła klimat swoistego egalitaryzmu, poświęcenia i patriotycznej etyki pracy w psychice Japończyków, który to klimat trwa do dziś. Z takiej sytuacji zrodziła się również, gdy przedsiębiorstwa zaczęły działać normalnie, przysłowiowa już dziś oszczędność ludności japońskiej. Wpłaty oszczędnościowe stały się ważnym źródłem funduszy bankowych, z których korzystały przedsiębiorstwa dla dalszego rozwoju. Duża zależność przedsiębiorstw od finansów bankowych, jaka do dziś dnia cechuje Japonię, jest specyficznie japońskim zjawiskiem, nie spotykamy w innych krajach przemysłowych.

W oczach Japończyków korporacja jest w pierwszym rzędzie zrzeczeniem członków przedsiębiorstwa (jap. *sha-in*), a nie pracowników najemnych. O sukcesie rynkowym i rozwoju materialnym korporacji japońskiej decydują wysiłek pracownika, talenty przedsiębiorcze i kierownicze członków firmy, a nie spe-

kulacje giełdowe. Właściciele papierów wartościowych (ang. *shareholders*) w firmach japońskich są traktowani jako wierzyciele, pragnący zainwestować w zespołowe zdolności korporacji, na równi z bankami, a więc jako inne, dodatkowe źródło dochodu. Tzw. „akcjonariat instytucjonalny” jest więc raczej słabo rozwinięty w Japonii. Zasada zatrudnienia na całe życie w wielkich korporacjach japońskich, wiążąca losy pracowników z losami przedsiębiorstwa, stanowi do dziś o nadal zasadniczo wspólnym charakterze firmy japońskiej. Tym należy również m.in. wytłumaczyć zaciekle opór Japończyków wobec presji zachodnich na szersze otwarcie japońskich rynków finansowo-giełdowych dla kapitału zachodniego.

Formalna struktura organizacyjna wielkich korporacji japońskich przypomina wprawdzie model zachodni, lecz cały sposób zatrudniania i zarządzania opiera się na zupełnie innych kryteriach. W pierwszym rzędzie korporacja japońska istnieje jako mnogość ludzi, a nie funkcji. Firmy japońskie przyjmują więc nowych pracowników-członków nie dla obsadzenia wakujących stanowisk, lecz w ramach corocznych poborów ze szkół i uniwersytetów. Przyjmuje się nie specjalistów, lecz kandydatów, którzy oprócz zdobytych kwalifikacji posiadają zdolność do uogólnień i elastycznego myślenia. Typowa kariera absolwenta nawet najbardziej prestiżowych uczelni rozpoczyna się nie od pozycji eksperta, lecz zawsze od pozycji najniższych. Przyszły inżynier czy menadżer produkcyjny często startuje z pozycji zwykłego robotnika w hali fabrycznej. Rotacja zapewnia, iż przed objęciem rzeczywiście odpowiedzialnego stanowiska kandydat na pozycję kierowniczą zaznajomi się ze wszystkimi aspektami funkcjonowania firmy, a więc wsiąknie w rytm pracy danego przedsiębiorstwa.

Często tu przeze mnie podkreślany wspólnotowy charakter firmy japońskiej, przewijający się w zbiorowym poczuciu odpowiedzialności za losy przedsiębiorstwa, to tylko jedna strona medalu japońskiej etyki pracy. Jego druga strona to ogromny nacisk na jak najskuteczniejsze wykorzystanie indywidualnych zdolności i talentu poszczególnych pracowników. Zaufanie do potencjału twórczego jednostki zaczyna się od samego dołu, od pobudzania motywacji i rozwijania zdolności twórczych robotnika, którego zastrzeżenia, pomysły innowacyjne itp. są traktowane poważnie przez kierownictwo przedsiębiorstwa. Fakt, iż przeciętny menadżer produkcyjny zaczyna karierę od produkcji oznacza brak barier komunikacyjnych między robotnikami a kierownictwem, a więc podziałów klasowych na tle zatrudnienia. Każda praca ludzka, fizyczna czy umysłowa, cieszy się w Japonii powszechnym szacunkiem. Brak podziałów klasowych w japońskim świecie pracy powoduje, że nie ma tam tarć i konfliktów

przemysłowych, które są jeszcze dziś stosunkowo częstym zjawiskiem na Zachodzie.

Makro-podstawy sukcesu: ugrupowania przemysłowe

Centralnym punktem odniesienia oraz kluczem dla zrozumienia makro-gospodarczej koordynacji i funkcjonowania gospodarki japońskiej jest system tzw. „ugrupowań przemysłowych” (jap. *keiretsu*). Chodzi tu o specyficznie japońskie zjawisko koncentracji przemysłowej, gdzie ostra rywalizacja międzygrupowa współlistnieje z harmonijnym współdziałaniem i koordynacją doraźnych celów gospodarczych. Zrozumienie systemu *keiretsu* pomoże również zrozumieć wysoką odporność gospodarki japońskiej na cykliczne okresy recesji gospodarczej.

W Japonii istnieją dziś dwie kategorie ugrupowań przemysłowych. Do pierwszej należą ugrupowania bankowo-przemysłowe, a więc grupy koncernów ze ścisłymi powiązaniem finansowymi z jednym z wielkich banków Japonii. Druga kategoria obejmuje koncerny przemysłowe bez ścisłych powiązań bankowych, lecz skupione wokół jednego z wielkich gigantów przemysłowych. Jednakowoż filarem systemu *keiretsu* (ok. 75 % całości) pozostają nadal ugrupowania bankowo-przemysłowe, na czele z „wielką szóstką” grup skupionych wokół banków Mitsui, Mitsubishi, Sumitomo, Fuji (tzw. grupa Fuyo), Sanwa i Dai-ichi Kangyo Bank (DKB). Coraz silniejsze staje się dziś ugrupowanie siódme, skupione wokół Industrial Bank of Japan. Przeciętna ilość przedsiębiorstw, wchodzących w skład największych *keiretsu*, waha się w granicach 180-220. Dla dopełnienia obrazu gospodarczego potencjału ugrupowań przemysłowych w gospodarce narodowej Japonii dodam, iż na całość systemu *keiretsu* składa się dziś ok. 1.800 koncernów przemysłowo-handlowych, a więc ok. 80 % kapitalizacji rynkowej Japonii.

Formalna definicja *keiretsu* wywodzi się z pierwotnej racji ich powstania, a więc ochrony przed rywalizacją i penetracją do Japonii obcego kapitału. *Keiretsu* jest więc ugrupowaniem przedsiębiorstw, w którym partnerzy zobowiązują się do wzajemnego wykupu i permanentnego trzymania określonego procentu akcji. Specyficzny, wzajemnie ubezpieczający się system akcjonariatu w ramach *keiretsu* daje najbardziej zagrożonym przedsiębiorstwom gwarancję przetrwania w okresach recesyjnych.

Jedną z ubocznych, niemniej bardzo ważnych racji bytu ugrupowań przemysłowych jest koordynacja gospodarcza w okresach recesji; z tytułu znacznych możliwości relokacji nie tylko kapitału, lecz również siły roboczej. Np. w okresie przejściowego zastoju w połowie lat 70-tych elektroniczny gigant Mat-

sushita potrafił w ten sposób wchłonąć aż 15% nadmiaru siły roboczej, poprzez transfer z sektorów wytwórczych do sieci sprzedaży detalicznej. W podobny sposób na początku lat 80-tych przechodzące przez okres wzrostu koncerny samochodowe grupy Mitsubishi wchłonęły ok. 10% siły roboczej z recesyjnych, ciężko-przemysłowych sektorów tej samej grupy. Działo się tak nie na mocy dyktatu, lecz obopólnie korzystnych umów między kierownictwami a związkami zakładowymi przedsiębiorstw. Przykłady takiej współpracy i koordynacji gospodarczej, nie tylko w ramach, lecz również między rywalizującymi ugrupowaniami, można by wyliczać w nieskończoność. Jest to jedną z głównych przyczyn prawie *niestniejącego bezrobocia* w 80% gospodarki japońskiej oraz utrzymującego się, wysokiego stopnia koncentracji w przemyśle japońskim. Im trudniejszy klimat gospodarczy, tym bardziej podatny grunt dla *koordynacji gospodarczej*.

Dziś wzmagają się naciski na Japonię, aby rozwiązała system *keiretsu* jako poważną barierę dla większego otwarcia Japonii na kapitał zachodni. Są to jednak naciski dla Japonii nie do przyjęcia. Broniąc się przed penetracją obcych wpływów kapitałowych, gospodarka japońska broni się tym samym również przed szkodliwym, zakłócającym przyływem negatywnych zjawisk społeczno-gospodarczych, nieodłącznie związanych z zachodnimi modelami wolnorynkowymi. System ugrupowań przemysłowych w dużym stopniu przyczynia się do harmonijnego funkcjonowania gospodarki japońskiej, lecz byłoby wielkim uproszczeniem gdybyśmy nie dostrzegali pierwotnej funkcji tego systemu, tzn. wysokiego stopnia *rywalizacji* w przemyśle japońskim. Zdaniem ekspertów japońskich ostra konkurencja między poszczególnymi grupami koncernów przemysłowych jest, obok dynamicznego rozwoju samych przedsiębiorstw, najważniejszym czynnikiem w szybkiej odbudowie i rozmachu gospodarki japońskiej po ostatniej wojnie. Jest to najważniejszy aspekt systemu *keiretsu*, stanowiący i dziś główne źródło dynamicznego rozwoju gospodarczego, co dobrze rozumieją zachodni partnerzy handlowi Japonii i krytycy *keiretsu* w USA.

Rola państwa

Struktury i sposób funkcjonowania *keiretsu* stwarzają idealne warunki dla samorzutnej koordynacji gospodarczej w okresach kryzysowych, bez potrzeby interwencji rządowej. Istnieją jednak sytuacje, w których państwo zaczyna działać jako inicjator koordynacji gospodarczej. Pierwsza odnosi się do rozładowania kryzysu recesyjnego, gdy dane problemy nie mogą być rozwiązane

w ramach koordynacji grupowej. Druga dotyczy średnio- i długotrwałych przeobrażeń strukturalnych w przemyśle, a więc spraw polityki przemysłowej we właściwym tego słowa znaczeniu.

Dla przykładu podam tu kryzys nadprodukcji w japońskim przemyśle stalowym w połowie lat 70-tych, kiedy rządowe MITI (Ministerstwo Przemysłu i Handlu Zagranicznego) interweniowało w postaci kompromisowych wskazówek dla ograniczeń inwestycji kapitałowych poszczególnych koncernów. W podobny sposób MITI interweniowało w czasie recesji przemysłów stoczniowych pod koniec lat 70-tych, aby zapobiec bankructwu wielkich producentów stoczniowych. Był to typowy przypadek interwencji w sytuacji, gdy załamanie się znaczących przedsiębiorstw groziłoby poważnymi konsekwencjami społeczno-gospodarczymi. Tworzy się wówczas tzw. *kartele recesyjne*, tolerowane tylko jako rozwiązania przejściowe i tylko dla koncernów wykazujących zasadniczo zdrową bazę rynkową. Metoda ta nie jest stosowana wobec grup przemysłowych, wykazujących częste, cykliczne nawroty recesyjne. Sektory takie skazane są na kompletną restrukturyzację. W ten sposób przeprowadzono, z wielkim powodzeniem, kompletną modernizację japońskiego przemysłu tekstylnego, przywracając mu wysoki margines konkurencyjny na rynkach światowych. Przypadki takiej restrukturyzacji i modernizacji wchodzą już w zakres makro-gospodarczego sterowania, a więc polityki przemysłowej we właściwym tego słowa znaczeniu. Zwykle oznacza ona *racjonalizację przemysłów wytwórczych*, tzn. łączne uwzględnienie potrzeb ochrony środowiska, oszczędne zużywanie zasobów energetycznych oraz sprostanie innym potrzebom rozwoju gospodarki narodowej.

Naszkicowany tu przeze mnie obraz zarządzania gospodarczego Japonii dotyczy tej jakościowo znaczącej, istotnej dla japońskiej strategii sukcesu strefy aktywności gospodarczej. Konkretnie chodzi o grupę ok. 2.000 elitarnych przedsiębiorstw skupiających w swych rękach ok. 80% aktywności gospodarczej. Oprócz tego współistnieje w Japonii plejada dziesiątek tysięcy mniejszych firm, działających i walczących o przetrwanie w podobnych do zachodnich warunkach, z wysokim odsetkiem bankructw — które jednak w ogólnokrajowym wymiarze nie mają większego gospodarczego znaczenia. W przeciwieństwie do ustalonych mechanizmów koordynacji gospodarczej i antykryzysowej dla sprawnie funkcjonujących przedsiębiorstw i sektorów przemysłowych, nieefektywne przedsiębiorstwa w Japonii nie mają szansy na żadną pomoc. Droga do klubu wybranych jest wprawdzie otwarta dla wszystkich, lecz na taki przywilej trzeba wprawdzie otwarcie dla wszystkich, lecz na taki przywilej trzeba wprawdzie solidnie zapracować i wykazać się należytych wynikami.

Przymierzając doświadczenia gospodarcze Japonii do obecnych zmagañ Polski, nasuwa się tu mimo woli refleksja nad dwoma kluczowymi zagadnieniami, które wydają się w Polsce karygodnie zaniedbywane. Pierwsze dotyczy potrzeby stworzenia właściwych warunków dla odbudowy *domowej bazy kapitalowej*, co odegrało kluczową rolę w odbudowie gospodarczej Japonii. Pomimo odmiennej sytuacji oraz niekwestionowanej konieczności udziału obcego kapitału w dzisiejszych warunkach polskich, równoległa odbudowa domowego kapitału powinna być jednym z nadrzędnych priorytetów polskiej polityki gospodarczej.

Druga, ściśle z tym związana sprawa dotyczy *pomocy państwa* dla odradzającej się przedsiębiorczości prywatnej w przemyśle. Jak wykazał to najdobitniej przykład Japonii, rozwój przedsiębiorstw jest nieodzowny do odbudowy solidnej bazy przemysłowo-wytwórczej, a więc podstaw normalnego rozwoju gospodarczego kraju. To z kolei jest niemożliwe bez przynajmniej jakiejś formy pomocy ze strony państwa, w początkowym, trudnym okresie odbudowy i reformy gospodarczej.

Janusz MONDRY

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Obserwatorium

Polska „lekcja etyki”

Czołowy dziennik francuski *Le Monde* opublikował artykuł swojej warszawskiej korespondentki *Ordre moral polonais*. Lepszy chyba byłby nasz tytuł, nawiązujący do słynnych już „lekcji etyki”, które jako swoisty równoważnik mają towarzyszyć wprowadzonym w szkołach i na cenzurkach lekcjom religii. Zwłaszcza, że nie wiadomo wciąż, jaka to będzie „etyka” i kogo min. Stelmachowski upatry sobie na jej nauczycieli.

Francuska korespondentka zajmuje się aktualnym stanem problemu aborcji w naszym kraju. Nie będziemy powtarzać jej dość drobiazgowego opisu na użytek nieświadomych czytelników francuskich, bo Polacy znają problem aż za dobrze. Przejdziemy od razu *ad rem*, aby wnioski z inauguracyjnej polskiej „lekcji etyki” były dostatecznie jasne.

Od 3 maja „obowiązuje” Kodeks Etyki Lekarskiej, uchwalony w zeszłym roku na Nadzwyczajnym II Zjeździe Lekarzy; dopuszcza on przerywanie ciąży tylko wtedy, gdy zagrożone jest zdrowie i życie matki, lub gdy ciąża jest wynikiem gwałtu; datę 3 maja ustaliła Naczelna Rada Lekarska. Ujęliśmy w cudzysłów „obowiązuje”, gdyż z punktu widzenia prawa jest to nonsensem, obowiązuje chwilowo ustawa sejmowa z roku 1956, o szerszym wachlarzu wypadków podlegających aborcji. Dlatego „Wielki Inkwizytor” ZChN Stefan Niesiołowski piorunuje: „Lekarze dali lekcję (domyślnie etyki) politykom. Teraz do nas należy uzgodnienie prawa z Kodeksem Etyki Lekarskiej; musimy jak najszybciej przegłosować zakaz aborcji”. Chytrzejszy od niego jest Wiesław Chrzanowski, który w wywiadzie dla *Tygodnika Powszechnego* przymruża porozumiewawczo oko, pocieszając zainteresowanych i zainteresowane, że jeżeli dojdzie do uchwalenia ustawy antyaborcyjnej, procesów będzie minimalna ilość... jest bowiem wiele okoliczności, w których przepisy dopuszczają możliwość odstąpienia od kary. Ale prawo antyaborcyjne będzie pewną wytyczną, pełniącą ważną rolę wychowawczą”.

Wokół programu aborcji zapanowała atmosfera strachu, szantażów, nacisków. Doradca premiera powiada do francuskiej dziennikarki: „Niech Pani pyta o wszystko, ale nie o TO”. W sejmie 171 posłów jest za ustawą antyaborcyjną, 91 przeciw, proponując referendum. Ale zwolennicy ustawy antyaborcyjnej nie chcą słyszeć o żadnym referendum, wiedzą bowiem z sondaży, że od 60 do 67% społeczeństwa jest za aborcją. Taki sam procent społeczeństwa protestuje niedwuznacznie przeciw nadmiernym wpływom i naciskom Kościoła. Warto wymienić tytuły dwóch rozdziałów w artykule korespondentki francuskiej. *Panique et désespoir*, panika i rozpacz — to o reakcji kobiet na trzciomajowy Kodeks Etyki Lekarskiej. *Le poids de l'Eglise*, ciężar Kościoła — to o polityce Kościoła, której świeckim ramieniem jest ZChN. Znowu więc, jak za czasów sowietyzacji, mamy rząd, który jest czymś „ramieniem”...

Mówi się ostatnio i pisze dużo o „dekomunizacji”. Ale kto naprawdę, głęboko i z uczuciem troski myśli o przyszłości Kościoła, powinien obawiać się zjawisk, które prowadzą w jakiejś mierze do „dekatoizacji” Polski.

16 maja 1992

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Kraj

Wokół wodza

Publikacja *Gazety Wyborczej* pt. „Wódz — przedostatni rozdział”, w której byli urzędnicy Kancelarii Prezydenta poddali Belweder surowej krytyce, była testem na istnienie w Polsce tzw. czwartej władzy — wolnej prasy. Test wypadł negatywnie. W Polsce jest wprawdzie wolna prasa — lecz nie jest jeszcze czwartą władzą.

Pisać — nie pisać

Ani autor, ani redakcja *Gazety* nie bili się z myślami czy drukować „Wodza...”, czy też nie. Na decyzję o publikacji wpłynęły nie polityczne, lecz dziennikarskie kryteria oceny tekstu. Jednak wielu czytelników po lekturze pytało: „Dlaczego to drukujecie? Przecież to prezydent. Tak nie można. To obniża autorytet państwa. Kompromitujecie Polskę — to wywiera niekorzystne skutki międzynarodowe”. Lament był długi. Nie obejdzie się więc bez przypomnienia kilku truizmów.

Żaden rzetelny dziennikarz nie jest w stanie ani przydać, ani odebrać nikomu autorytetu, jeśli ten, o którym pisze, nie dostarczy mu tematu, faktów i argumentów. Jeśli natomiast dziennikarz nie jest rzetelny — łąduje w sądzie.

Dlatego to nie prasa dezawuuje prezydenta. To prezydent dezawuuje się sam. To oczywiście jak dwa razy dwa = cztery.

Dziennikarz opisuje rzeczywistość (w tym przypadku polityczną), którą tworzą politycy i oni sami odpowiadają przed opinią publiczną za to, jaka ona jest. Jeśli dla nich kompromitująca, to niedorzecznością jest obwinianie za ten stan rzeczy prasy.

Elementarnym dziennikarskim obowiązkiem jest ujawnienie wszystkich faktów, których prawdziwość nie budzi wątpliwości autora. To społeczeństwo powinno rozsądzić, co dobre, a co złe

— a nie dziennikarz, który kierując się tzw. racją stanu, odpowiedzialnością, instynktem państwowotwórczym — czy jak tam zwal — przebiera informacje, by oszczędzić czytelnikowi nerwowych wstrząsów.

Dziennikarz nie ma moralnego prawa decydowania za społeczeństwo. Z chwilą gdy dziennikarz zaczyna się zastanawiać nad tym, co ujawnić, a czego nie — sprzeniewierza się własnemu powołaniu. Zaprzecza idei swojego zawodu. Grzeszy pychą. Koszty społeczne kamuflowania nawet najgorszej prawdy są zawsze większe niż koszty jej ujawnienia.

Co innego polityk, który w swych poczynaniach winien kierować się właśnie kalkulacją — rachunkiem politycznych zysków i strat. On może cedzić informacje, wykręcać się półśłówkami i mydlić oczy w takim stopniu, na jaki pozwolą mu na to właśnie dziennikarze.

Kalanie autorytetów

Ludzie mają potrzebę, by istniały publiczne autorytety. Wówczas czują się spokojni i bezpieczni. Wiedzą, że ktoś za nich myśli o sprawach państwa. Takiemu komuś potrafią wiele wybaczyć — zwłaszcza osobie pochodzącej z powszechnego wyboru.

„Wódz — przedostatni rozdział” budzi niepokój. Dezauguuje autorytety, na których ludzie opierają swoje poczucie bezpieczeństwa. Oto bowiem okazuje się, że król jest nagi. Wówczas arogancję wynikającą z rozczarowania ludzie kierując często nie wobec osoby, która sprzeniewierzyła się wartościom, ale wobec tych, którzy ujawniają prawdę. To trochę tak, jakby zdradzona żona miała pretensje do swojej przyjaciółki o to, że ta ujawniła jej zdradę męża.

Niektórzy czytelnicy myślą wedle schematu, że nie ma przewinienia, dopóki nie zostanie ono wyciągnięte na światło dzienne. Grzech nieujawniony nie jest grzechem. To istny koncert hipokryzji. Według tej logiki, destrukcji autorytetu Wałęsy winni są byli współpracownicy Wałęsy, którzy teraz mówią o nim krytycznie, oraz autor, który pozbiierał ich opinie.

Nic się nie stało

Co w demokratycznym państwie robi prezydent, którego osobisty sekretarz — człowiek numer dwa w Belwederze — nie chce albo nie potrafi odpowiedzieć na publicznie postawiony zarzut działania na szkodę państwa, niekompetencji, intryganctwa,

wyłudzenia trzech tysięcy dolarów i próby wyłudzenia następnych pięćdziesięciu?

W okrzepłej demokracji, jeżeli delikwent sam nie poczuwa się do złożenia urzędu, powinien wyręczyć go szef. W Polsce po lekturze *Gazety Wyborczej* prezydent Lech Wałęsa oświadcza w Sejmie na konferencji prasowej, że „Wachowski to mój najlepszy człowiek. On wszystko bierze na siebie”.

Ludzie nie są aniołami. Na całym świecie panuje korupcja. Ale zasady gry są jasne. Wyznacza je państwo prawa. Skorumpowany urzędnik wie, iż z chwilą ujawnienia, że bierze łapówki, traci pracę i staje przed sądem. W Polsce jednak nie tylko pozostaje bezkarny, ale nadal w majestacie pierwszego urzędu w państwie zachowuje swoje stanowisko.

O czym świadczy postawa prezydenta, który na litanię faktów i uargumentowanych poważnych zarzutów ze strony ludzi, których polityczne kompetencje są nie do zakwestionowania, odpowiada ustami swojego rzecznika — atakiem *ad personam*, że „dobrze się stało, iż pozbył się ludzi małego formatu”?

Taka odpowiedź to w gruncie rzeczy potwierdzenie zasadności krytyki Belwederu. To przejaw bezradności wobec okropnej sytuacji, w której rzecznik prezydenta nie może przyznać, że to, co znalazło się w tekście *Gazety* jest prawdą. Nie może też temu zaprzeczyć. A coś przecież odpowiedzieć musi, mimo że doskonale wie, iż wszystko co napisano, jest prawdą.

Taka odpowiedź to także wyrachowana próba wymknięcia się sformułowanej przez wielu publicystów alternatywie. Aleksander Małachowski w *Życiu Warszawy* z 27 kwietnia pisał: „Jeżeli to wszystko, co teraz się nagle ujawnia przeciwko prezydentowi, jest prawdą, to trzeba się poważnie zastanowić nad zwołaniem Zgromadzenia Narodowego, które powinno się przyjąć sytuacji, w jakiej znalazł się ten urząd. Ale jeśli na te wszystkie zarzuty nie istnieją dowody, to wówczas ktoś musi się przyjrzeć oszczercom. Może jakaś komisja sejmowa? Może Prokurator Generalny?”

Jednak, jak się okazuje, w warunkach polskich takie „prześlizgnięcie” się Belwederu nad narzucającą się alternatywą (albo odpowiedzialność urzędu prezydenckiego, albo byłych współpracowników — „oszczerców”) jest w obliczu oportunistów Sejmu najbardziej skutecznym wyjściem z opresji.

Sejm nie powołał komisji, która zbadałaby zasadność zarzutów stawianych prezydentowi przez byłych urzędników Kancelarii. Na łamach kilku gazet i w innych miejscach publicznych twierdzono, że sprawy tak zostawić nie można i że musi ona mieć swój koniec. Nic się jednak nie stało i nic się już nie stanie.

Powraca więc ponura prawda wypowiedziana przez jednego

z moich rozmówców, że „dla ludzi Belwederu historia jest śmieciem, że można ją ujeżdżać jak starą kobyłę, opluwać, kopać, a ona pozostanie bierna. Fakt, że taki Wachowski może decydować o losach tak dumnego narodu jak Polacy, jest kpiną z historii wyrażaną w formie cynicznego, jadownego i pogardliwego żartu z interesu narodowego i instytucji państwa”.

Wszystko jest polityką

Język elit politycznych uległ tak daleko posuniętej degradacji, że ten ponury raport, który sam w sobie przerażającym świadectwem — przez ludzi polityki zrozumiany został opacznie jako przejaw doraźnej, koniunkturalnej gry, jako polityczne działanie obliczone na krótkotrwały efekt.

Przedmiotem publicznych dociekań i analiz stały się więc nie konkretne wypowiedzi ujawniające patologie Belwederu, nie treść — lecz sam fakt ukazania się takiego tekstu, czyli: kto za tym stoi? Czy to element w grze o ministra Parysa? W co gra Michnik? Czy to Kaczyńscy zmanipulowali *Gazetę Wyborczą* czy Michnik Kurskim?

Z uśmiechem niedowierzania przyjmowano zapewnienia, że materiały do tekstu zebrane były zanim wybuchła afera Parysa, a moment publikacji nie był specjalnie dobrany, lecz po prostu tekst ukazał się zaraz po ukończeniu go przez autora.

Kuriozalnym przejawem takiego stylu myślenia było oświadczenie rzecznika prezydenta, który stwierdził, że ukazanie się tekstu pozostaje w nieprzypadkowej zbieżności z wizytą Adama Michnika i Wojciecha Jaruzelskiego w Paryżu.

Wnioski

Nad publikacją *Gazety Wyborczej* polska klasa polityczna przeszła do porządku. Kierując się politycznym pragmatyzmem ani postowie, ani partie polityczne, ani instytucje powołane do przestrzegania prawa nie nadały żadnego biegu sprawie.

Nie zareagował także adresat tekstu — Belweder, choć z pewnością jest jeszcze za wcześnie, by o tym przesądzić. Wydaje się bowiem — choć, powtarzam, publikacji nie towarzyszyły żadne intencje polityczne — że tekst wywoła pewne skutki długofalowe. Urząd prezydenta z pewnością będzie bardziej obserwowany przez opinię publiczną. Wyrazem większego społecznego krytycyzmu wobec Belwederu były już zresztą okrzyki: „precz z Wachowskim” — w trakcie solidarnościowej manifestacji w Warszawie.

Być może w obliczu nieuchronnej weryfikacji dokonanej urzędu z oczekiwaniami wyborców prezydent zdecyduje się na takie posunięcia personalne we własnej Kancelarii, które wzmacnią fachowość, prestiż i znaczenie polityczne jego urzędu. Wydaje się, że nadszedł na to ostatni moment.

Jarosław KURSKI

Nie zginęła... jeszcze nie...

Francis Fukuyama podtrzymuje tezę o końcu historii. Jehowici liczą na koniec świata w roku 2000. Kościuszko wieścił ponoć „Finis Poloniae” i kto wie, czy to nie na jego polu zatrzyma się kulka kasandrycznej ruletki.

Widmo katastrofizmu krąży nad Polską. A raptem kilka lat temu daliśmy ludzkości tyle nadziei, epatując świat dobrą nowiną o pokojowym triumfie Dawida nad Goliatem. Jeszcze kilka lat wcześniej Mesjasz o łatwym we wszystkich językach imieniu „Valesa”, stał się sławny nawet za dalekimi morzami, zwiastując biedującym i sponiewieranym na kolorowych kontynentach, że dzięki „Solidarności” (też łatwe słowo, wystarczy zmienić końcówkę po swojemu) będzie Chleb i będzie Wolność.

Ponad tym parterem naiwnych, pięknych złudzeń istniało też piętro intelektualnej sublimacji polskiego fenomenu. W elitarnych czasopismach Wschodniego Wybrzeża drukowano eseje o nowej idei, która w XXI wieku ucieleśni ogólnoludzkie braterstwo, jak wiek XIX przyniósł tyłu ludom wolność, zaś wiek XX przybliżył równość. I oto — zapowiadali entuzjaści — dzięki „Solidarności” dopełni się triada ideałów Wielkiej Rewolucji.

My, tu nad Wisłą, też wielkimi haustami piliśmy nektar otuchy. Czuło się współczestnictwo w czymś wspaniałym, a przecież tak prostym. „Głównym zwycięstwem 'Solidarności' jest to, że ludzie się poznali” — powtarzał Andrzej Szomański, jeden z autorytetów podziemia, zarazem bojownik KPN. Andrzej umarł, nie doczekawszy chwili, w której ci sami ludzie przestali się poznawać na ulicy.

Ten wątek — uwiad solidarnościowego etosu — stanowi leitmotiv kunsztownych esejów-pamfletów „Smecza”; zuchwalstwem byłaby próba dorównania mu w malowaniu pejzażu pol-

skiej frustracji. A znowu prowadzenie Czytelników *Kultury* przez nadwiślański labirynt polityczny to specjalność — *chapeau bas!* — Krzysztofa Wolickiego. Pozostaje mi przeto wieszczenie. Ku czemu zdaje się mam pewne predylekcje, skoro mój szkic w *Kulturze* z kwietnia 1989 roku spełnił się akuratnie — a nosił on tytuł: „Trzecioświatyzacja, czyli o polsklim marszu wstecz”. Dziś wskaźniki ekonomiczne i cywilizacyjne sytuują Polskę w średniej grupie krajów niżej rozwiniętych, można to sprawdzić w statystykach Banku Światowego.

Nuże więc w prognozowanie: co wyniknie z tego naszego galimatiasu? A ściślej i ostrożniej: co wyniknąć może? — albowiem przewidywanie tylko wtedy ma (ograniczony) sens, gdy szkicuje się parę scenariuszy. Z nich któryś się prawdopodobnie spełni, choć niekoniecznie; z polskiej nieokreśloności może wyąblować coś absolutnie nieprzewidywalnego. I raczej niemiłego.

Scenariusze, jak to jest w zwyczaju, układam wedle kryterium malejącego prawdopodobieństwa. Przed tymi, co na początku, szansa jest największa.

Wariant silnej ręki

Mieczysław Niedziałkowski w książce „*Demokracja parlamentarna w Polsce*” (1930) dość przychylnie ocenił osiągnięcia Polski po zdobyciu niepodległości, a przed przewrotem majowym. „*Okres omawiany — napisał — dał Polsce bardzo dużo w dziedzinach polityki zagranicznej i polityki gospodarczej (reformy walutowa Grabskiego)*”, ale — mimo to — „*w tym to właśnie czasie narodziły się i rozwinęły nastroje antysejmowe*”. Ich źródłem były, wedle Niedziałkowskiego, A) ZAWIEDZIONE NADZIEJE (rozczarowanie do demokracji parlamentarnej), B) BRAK STAŁEJ WIĘKSZOŚCI (w Sejmie RP rywalizowały reprezentacje 13 partii i bloków wyborczych i żaden z wielkich kierunków społeczno-politycznych nie posiadał ustalonej przewagi” — gdyż „*naród polski nie potrafił wyłonić z siebie większości*”), a wreszcie C) ZŁE OBYCZAJE SEJMOWE. Tu Niedziałkowski dał obszerną egzemplifikację, zarzucając posłom chęć rozstrzygnięcia o nominacjach urzędniczych, np. wiceministrów i wojewodów, interwencje poselskie dyktowane nepotyzmem, liczne afery korupcyjne, częste przesilenia ministerialne. Ponadto trwała „*świadoma akcja antyparlamentarna*” i dawały o sobie znać „*niewyraźne, mgliste nastroje narodowo-bolszewizujące, rewolucyjno-dyktatorskie wśród części korpusu oficerskiego*”. A zarazem był kryzys gospodarczy, gra parlamentarna stawała się coraz bardziej zawiślana, w masach zaś oczekiwano „normalnych” (czyli przejrzystych i skutecznych) stosunków politycznych.

Wszystko to razem wzięte — skonstatował Niedziałkowski — „*przygotowywało grunt psychologiczny dla przewrotu majowego*”.

Gdyby wierzyć, że podobne przyczyny prowadzą do podobnych skutków, to wypadałoby tylko zapytać: KIEDY? Wszystkie opisane przez Niedziałkowskiego uwarunkowania przedmajowe występują wszak i dzisiaj — nawet ze wzmoczoną intensywnością. Tak samo w elitach, jak w masach dojrzeła fatalistyczne przekonanie, że jakiś wariant „rozwiązania autorytarnego” jest nieuchronny. Co prawda niektórzy dodają zaraz, że historia, jeśli się powtarza, to tylko jako groteska, lecz słaba to pociecha.

Czy jednak Lech Wałęsa doprawdy marzy, by Belweder, który już przecież objął w posiadanie, wyolbrzymić do rozmiarów Białego Domu lub nawet Kremla?

Ludzie, którzy go znają najlepiej z długoletniej współpracy, mają na ten temat rozbieżne mniemania. Wszyscy oczywiście znają to jego królewskie „JA”, powtarzane z częstotliwością, jakiej nie osiągnął żaden z francuskich Ludwików. Jego pomysł objęcia dodatkowo funkcji premiera celnie sparafrazowano wedle reklam szamponów firmy Vidal Sassoon: „Prezydent i premier w jednym”. Ciągłe obietnice, że zrobi porządek i „puści w skarpetkach” aferzystów stały się frazeologiczną normą jego przemówień. A to, że pozuje na Piłsudskiego, również należy do wiedzy potocznej i obiegowej, którą czasem wzbogaca nowymi powiedzonkami. Jego pogroźka, że odbierze mandaty posłom, którzy nie poprą kandydatury pani Gronkiewicz-Waltz na urząd prezesa NBP, była przecież plagiatem z Piłsudskiego, który (ale dopiero PO PRZEWROCIE) mówił o posłach: „...uchwałą, co zechcą, zatwierdzą, co nakażą, bo teraz tchórzą. A jeśli by nie, to będę łamał, łamał”. I jeszcze zaproponował Wałęsa, aby Sejm... w ogóle zaniechał plenarnych posiedzeń.

Niby więc wszystko jasne, intencje widoczne jak na dłoni, ale niektórzy z byłych zauszników Wałęsy twierdzą, iż więcej w tym bluffu niż rzeczywistych ambicji dyktatorskich. Wałęsa ma mimo wszystko niezawodny instykt polityczny — dowodzą — oraz instykt samozachowawczy. On wie, że jego charyzma już nie dociera do trzech czwartych Polaków (badania opinii publicznej są w tej kwestii jednoznaczne), a przede wszystkim rozumie, iż Polska nie ma innej drogi niż ku Europie — i jakiś „polski cezaryzm” skazałby ją na banicję z europejskiego grona, na całkowitą marginalizację.

Jeśli nawet to rozumie — kontruja inni z byłych dworzaków Wałęsy — to może ulec presji swych aktualnych zauszników, których wykreował z nicości. Oni świetnie zdają sobie sprawę, że tylko jako faworyci „Cezara” mogą utrzymać swą nieograni-

czoną, bo niekontrolowaną władzę — także nad nim, w istocie. Są potężni, bo są konieczni coraz samotniejszemu Prezydentowi. Stali się jeszcze potężniejsi, odkąd odparli desperacki kontratak ministra Parysa i tym samym obnizyli autorytet premiera. Premiera, którego Wałęsa nie darzy sympatią, gdyż każdego, kto jest samodzielnym, traktuje jako groźbę dla własnego autorytetu.

Znaczący jest zatem fakt, że z dwóch partii, uważanych za najbardziej „europejskie”, Kongres Liberalno-Demokratyczny stale i z wzajemnością sympatyzuje z Prezydentem (czy tylko dlatego, że też ma korzenie w Gdańsku?), zaś Unia Demokratyczna wyraźnie stonowała swój antywałęsowski krytycyzm. Być może jest to czymś więcej niż doraźną taktyką, zmierzającą do wzmocnienia swoich atutów w zawilej rozgrywce z rządzącym blokiem Olszewskiego. Może jest to dalekowzroczna strategia, zakładająca obronę rudymetów demokracji i szans reformy przez jakąś formę uczestniczenia w rządach silnej ręki, gdyby Wałęsie udało się je zaprowadzić? Byłaby to więc opcja „mniej-złego zła” — przez cywilizowanie autorytaryzmu, przez typowo polskie zmiękczenie systemu, aby nie utwardził się w dyktaturę. Po przewrocie majowym niektóre partie czyniły to samo dość skutecznie.

Jeśli tak odczytywać intencje KLD i UD, to byłyby one sensowne także — a raczej: tym bardziej — w takich wahaniach autorytaryzmu, które mogą wynikać wcale nie z ambicji czy frustracji Lecha Wałęsy, lecz z zupełnie innych zdarzeń politycznych.

Wariant populizmu

Przyspieszone wybory są opcją o zbliżonym prawdopodobieństwie do wariantu jakiegoś „przewrotu pałacowego”. Mogłyby się te wybory — wedle powszechnej opinii — odbyć już tej jesieni, oczywiście po przyjęciu przez sejm nowej ordynacji o charakterze większościowym. W przypadku bowiem ordynacji proporcjonalnej wybory dałyby znowu sejm rozdrobniony, może bardziej jeszcze niż obecny.

Zwolennicy przyspieszonych wyborów na zasadzie większościowej, jeśli nie są stronnikami KPN albo postkomunistami, są ludźmi niepoczytalnymi. Jest przecież najzupełniej pewne, że do jesieni nie poprawi się sytuacja gospodarcza, ludzie nie będą w lepszych nastrojach, nie ustąpią objawy politycznej apatii — a właściwie rosnącej wrogości do „nowych ONYCH”. Co z tego, że do nowego sejmu, przy ordynacji większościowej (albo przy pięcioprocentowym „progu”) weszłoby pewnie nie więcej niż siedem-osiem partii, skoro — wobec nieuchronnie niskiej frek-

wencji — dwie z tych partii, najlepiej zorganizowane i mające wierny, ustabilizowany elektorat, zgarnęłyby po 20 lub 30 procent mandatów?

Tymi partiami byłyby KPN, która w wielu regionach Polski (szczególnie na południu) ma poparcie masowe oraz SdRP, która — obok starej gwardii partyjnej — zaczyna zyskiwać nowych zwolenników, w miarę pauperyzacji warstw plebejskich. I ich radykalizacji.

Polska, z woli wyborców rządzona pod dyktando KPN (bo SdRP nie miałyby jednak szansy zmontowania koalicji), byłaby osobliwością Europy. Bodaj tylko Le Pen nadesłałby szczery list gratulacyjny do premiera Moczulskiego — a w dalszej przeszłości do prezydenta Moczulskiego. Wódz KPN zapowiada bez ogródek i bez zbędnego krygowania: „WYGRAM TĘ WOJNĘ” — w książeczce pod takim tytułem.

Oddajmy jednak cesarzowi co cesarskie... Otóż Moczulski zachowuje się ostatnio jakby powściągliwiej i dość pragmatycznie. Gra raczej w populizm z lewicowym posmaczkiem niżeli w prawicowe wodzostwo w stylu międzywojennym albo latyńskim. Niestety, gustu do militaryzmu ani *idée fixe* w kwestii Międzymorza nie zdoła chyba wypłenić z głębi swego jestestwa. A tego nie polubią w Moczulskim ani Zachód, ani tym bardziej nasi nowi wschodni sąsiedzi. Jako „silny człowiek w Warszawie” byłby dla świata jeszcze mniej strawny niż Wałęsa.

Ale co nam świat, gdy zbudujemy imperium od Odry po Don i od Bałtyku po Dunaj...

Wariant wszechchaosu

Tymiński odchodzi w niepamięć. Jawni faszyci Tejkowskiego to jeszcze folklor, bardziej chuligański niż polityczny. Ale motłoch raz po raz daje znać, że istnieje i umie stanąć murem — ostatnio w Józefowie przeciw dzieciom zarażonym HIV. A przecież będą się pojawiały następne bodźce motłochogenne. Kumuluje się strach przed biedą i bezrobociem. Ksenofobia buzuje. Rozprzestrzenia się uogólniona wrogość wszystkich wobec wszystkich oraz pokusa zrobienia „porządku” — skutecznie, czyli pałką.

A najgorsze, że zewsząd czyha na nas wróg!

Niemiec — bo bogaty. On nas wykupi, pójdziemy z torbami. Nie wpuszczaj Niemca!

Rusek — bo biedny. Oni nas oblażą, zalewają, oszukują, wkrótce nas zatrują, prowadzeni przez mafię z Odessy.

Rumun — bo Cygan. Pędzić Cyganów!

Litwin — bo chytry, na Polaka zajadły. Naszych w Wilnie gnębi.

Ukraińiec — bo rezun.

Czech — bo jak Niemiec.

Żyd — bo nami rządzi, wszędzie go pełno.

Mason — bo perfidnie skryty, nie wiadomo kto on i gdzie jest.

Polska wszechobejmująca niechęć, połączona z totalną pretensją do świata, iż nie jest dla nas należycie czuły i hojny (choć tyle przecież wycierpieliśmy i rozbiliśmy komunę w puch!) — to podglebie nader prawdopodobnej krucjaty zorganizowanego wstecznictwa politycznego. Zasilają je jady rozmaitego gatunku, lecz zawsze pod etykietą hasel szlacheckich. Najsurowsze kary dla tych, co zabijają życie poczęte! Nawróćmy na prawdziwe chrześcijaństwo zubożniały, zmateralizowany Zachód! Idźmy z wiarą ojców na zbłąkany Wschód, brońmy tam pamiątek polskości, naszego duchowego dziedzictwa! A z ziemi naszej zetrzyjmy relikty obce, wszystko co pozostało z niemieckiego ducha, z obcego polskiej duszy prawosławia, z żydostwa...

Co czwarty Polak głosował na Tymieńskiego. Oni raczej nie będą obrońcami demokracji. Endecka frakcja ZChN, która krok po kroku kleryzuje szkołę i wiele innych społecznych instytucji, ma możliwych protektorów wśród hierarchów Kościoła. Zyskuje poklask szarlataniński Korwin-Mikke, który nazywa „jedną wielką komuną” wszystkie partie rządowej koalicji, dopuszcza ewentualność by prawica „w sposób gwałtowny doszła do władzy” i ogłasza wprost: „ja nie jestem demokratą, więc popieram nie tylko zawieszenie, ale rozpędzenie demokracji” (z wywiadu dla dziennika *Nowy Świat*). Cóż zatem się dziwić, gdy tyłu faszyzujących mentorów, że wśród młodych skiny z ogolonymi łbami łomoczą obojętnych punków, rozprawiają się z „anarcholami”, przeganiają pacyfistów oraz obrońców przyrody. Czarna sotnia tężeje i zwycięża.

Żadne z tego nie wypływa dla nas pocieszenie, że i na Zachodzie odżywa ostatnio ekstremalna prawica. Tam istnieje potężne mieszczaństwo, które potrafi — gdy niebezpieczeństwo staje się realne — neutralizować skrajności. U nas klasa średnia ani rusz nie może się uformować, społeczeństwo rozłamuje się na rzesze biedoty, żadnej odwetu na kimkolwiek, na kilka procent bogaczy, wyłonionych z najsprytniejszych „komuchów” lub z bezwzględnych aferzystów i na tracącą orientację inteligencję, coraz mniej zdolną do samoorganizacji, zmuszoną jedynie do walki o przetrwanie.

Może więc, koniec końców, zatriumfować anarchia, której nie okiełzna nikt.

Chyba że jakiś geniusz demagogii.

Gdyby do tego doszło... No nie, faszyzm już chyba nie przejdzie w Europie.

Ale to tylko wyznanie wiary. Wiary, która nie opiera się na rzeczowych przesłankach.

Wariant realnego centryzmu

Kryzys elit, upadają wszelkie autorytety. Nie ma ani jednego socjologa czy publicysty, który by tych zjawisk nie potwierdzał.

A może wszyscy się mylą? Może, jak to w Polsce, zdarzy się jakiś cud, który nas zbawi w ostatnim momencie? Nasz naród spręży się przeciw, gdy jest źle — a gdy nawet jest już bardzo źle, to nie dochodzi do najgorszego i jakoś daje się przeżyć.

Może uda się reanimować z popiołów etos „Solidarności”?

Ja tego nie wykluczam, wbrew logice, która podpowiada wyłącznie wizje pesymistyczne. W końcu żyjemy w neuralgicznym punkcie Europy i nawet jesteśmy jej potrzebni (jako „bufor” strategiczny, jako „sfera niczyja” — na przykład); przeciw na Wschodzie nadal może dojść do restauracji Czerwonego, choć raczej Czarnego Imperium. Więc, gdy już nasz okręt będzie szedł pod fale, rzucą nam może koło ratunkowe, którego zdołamy się ucaścić?

Zakładam teraz, że Wałęsa (ani jego pretorianie) nie dokonają przewrotu; że nie dojdzie do przyspieszonych wyborów; że uda się jakoś zahamować degrengoladę ekonomiczną i cywilizacyjną, i najgorszą — moralną; że powściągniemy żulię. I że z tej materii, jaka jest, wytworzymy coś sensownego.

Jak by się do takiej operacji zabrać — nie mam pojęcia. Nagromadziło się w warstwie politycznej tyle waśni, ans i ostrych kantów, że już nic do niczego nie pasuje. Atoli w każdej z tych rachitycznych partii istnieje jakaś grupa, w której można pokładać — powiedzmy, że ograniczone nadzieje. Tyle tylko, że aby owe klocki poukładać, należałoby je wpieryć połamane jeszcze bardziej i inaczej sklejać, niżeli wedle obecnych podziałów partyjnych. Każda z partii bowiem stanowi całość przypadkową, nieautentyczną — czyli „jedność przeciwieństw”, jakby powiedzieli marksiści.

Budząca największą ufność Unia Demokratyczna składa się, jak wiadomo, z frakcji społeczno-liberalnej, z frakcji prawicy demokratycznej oraz z grona przyjaciół Tadeusza Mazowieckiego, które osobistą lojalnością lepi lewe z prawym. Jako całość Unia optuje za liberalizmem, ale to kamuflaż, wymuszony sytuacją, przynajmniej w zakresie liberalizmu gospodarczego. W istocie wielu bliska jest, w aspekcie ideowym, Solidarność Pracy — odznaczająca się klarownym programem centro-lewicowym i kom-

pełną niezbornością organizacyjną. Gdyby z tych elementów przyrządzić koktajl, zaprawić go ociupiną lewitującej (ku lewactwu) PPS oraz nieokielznanego RDS Bujaka, jeszcze dodać szczyptę szczerze nawróconych uciekinierów z SdRP — można by z tym koktajlem wnieść toast „na lewą nóżkę”, o której marzy Wałęsa. Byłaby centrolewica jak się patrzy, w dobrym europejskim stylu. Niewykluczone, że znalazłaby się w niej także „związkowa” cząstka Porozumienia Centrum, która wszak konstruowała się podziemie na robotniczej Woli i miała (choć nie na długo) socjalistyczne ciągoty. Z braci Kaczyńskich Lech by do tej konstrukcji pasował, zaś Jarosław może by się dał nakłonić, gdyby zapowiadała się na znaczącą siłę polityczną — przeciwstawną Mazowieckiemu, który z racji swych ideowych konotacji powinien wszak przewodzić centroprawicy...

Hall, który niewystawienie cierpi, że wraz z Unią zaliczany jest do lewicy, znalazłby na pewno swe przeznaczenie na prawym łączniku (odwołując się do terminologii futbolowej). Obok liberałów. Razem z republikanami (jeżeli takowi istnieją rzeczywiście). W sojuszu z „chadecką” częścią PC, która nie znosi Kaczyńskiego, a ma wielką wprawę w łączeniu się z kimkolwiek, byle iść do przodu. Niewykluczone, że takie usytuowanie na prawo od centrum, ale bez nacjonalizmu — odpowiadałoby znacznemu odłamowi ZChN oraz pomniejszonym partiom chadeckim, które samotnie są jakby niedostrzegalne. W sumie zebrałaby się centroprawica silna, ideowo koherentna, której jedynym kłopotem byłby nadmiar ambitnych liderów, utrudniający syntezę.

Ażeby tak sensownie zabudować centralną część sceny politycznej, nie trzeba by robić żadnych łamańców ideowych ani nawróceń programowych. I byłby ład, byłaby stabilizacja, gdyż w cywilizowanym świecie różnica między partiami centroprawicy i centrolewicy jest niewielka i czysto ilościowa: te pierwsze ograniczają interwencje państwa i zakres opieki społecznej, a te drugie dodają ich trochę więcej do wolnego rynku. Jan Olszewski, który byłby niewątpliwie znakomity w samiusieńkim centrum, mógłby zachować stanowisko „konciliacyjnego” premiera, szefa Wielkiej Koalicji, która by się przydała na najbliższe trudne lata.

Jedynym zatem autentycznym problemem byłoby towarzyskie pojednanie różnych zwaśnionych postaci politycznych, w duchu chrześcijańskiej pokory i solidarnościowego etosu; no, potrzebny byłby jeszcze taki rozdział państwowych stanowisk, aby każdy czuł się ambicjonalnie usatysfakcjonowany. Optymalnym rozwiązaniem byłoby ustanowienie ze sześciu, niechby i ośmiu wicepremierów; koszt umiarkowany, a jakżiż pożytek!

Cała reszta kilkuprocentowych partii mogłaby się wtedy zająć bardzo pożytecznym *lobbying*iem oraz teatralizacją życia politycznego, żeby nie było nudno. SdRP pełniłby rolę stracha

na cenrolewicę, gdyby ta zapominała o interesach ludzi pracy najemnej i zbyt ostentacyjnie kleiła się do sfer uprzywilejowanych. Ludowcy by dziarsko gardłowali, a w potrzebie nawet głodowali, broniąc interesów swej zadłużonej i zanikającej klasy, pod hasłem „Żywią y bronią”. Wtórowaliby im narodowcy, w duchu troski o pamiątki przeszłości, ze Szczercbem oraz dziełami Romana Dmowskiego na czele, co byłoby atrakcją dla zdezydeologizowanej Europy i dawało niewyczerpany temat zagranicznym korespondentom. Analogiczną funkcję spełniałby KPN, tyle, że względem innego patrona; ich Strzelcy turbowałiby czasem endeckich Sokołów — i *vice versa*. To też dodawałoby Polsce pikanterii, czyniło z niej coś w rodzaju skansenu przeżytych idei. Jeszcze Tymiński dawałby co jakiś czas głos znad rzeki Ukajali albo z Kanady pachnącej żywicą, jeszcze Tejkowski ryczałby efektownie „Bij Żyda i Niemca”, a z zamku w Kórniku dochodziłyby uczone frazy profesora Macieja Giertycha: „*Obce wzory nie są nam potrzebne... Prawdziwa tolerancja jest możliwa tylko tam, gdzie władza kieruje się etyką katolicką*”.

To byłaby ta polska egzotyka, przyciągająca turystów.

Realność polityczna natomiast, jak wszędzie w ustatkowanych demokracjach, polegałaby na przemienności rządów w obrębie „dwudzielnego centrum”. One by się przesuwwały czasem trochę na prawo, ażeby zdopingować inicjatywy gospodarcze — to znów ciut na lewo, ażeby w zarzewiu wygasić społeczne protesty.

I byłaby Polska krajem normalnym. To jest całkiem realne, logiczne, to jest do pomyślenia, to dałoby się skonstruować nawet z tej magmy, jaką jest aktualny układ partyjno-sejmowotowarzystki.

Niestety, jest to pomysł utopijny. Realizm się w Polsce nie przyjmie. Naszym środowiskiem naturalnym jest surrealizm, co odkrył Alfred Jarry, co udowodnili Witkacy, Gombrowicz, Mrozek.

Wszelki mozół i trud, aby zmienić to, co w Polsce niezmiennie i wiecznotrwale, spowoduje to jedynie, że pozostaniemy bosi — ale i bez ostróg na dodatek.

Wojciech GIEŁŻYŃSKI

Z ukosa

Przybywałem już do Polski powietrzem, żelazną drogą, a teraz po raz pierwszy morzem.

Kiedy na innej planecie wsiada się na polski prom, uderza ten prom swojskością, która nieco wzrusza, ale i trochę przygnębia. To jakby obiekt z innego czasu i odmiennej cywilizacji. Nawet jego skóra jest inna, przyciemniona brudem, który już nie jest zmywalny, i ten zapach snujący się wszędzie, zapach powiedzmy niedomytej publicznej toalety, w której ktoś zgasił papierosa. Kelnerzy jakby z pewną cielesną komplikacją od bioder w dół, a góra z kolei z jakąś wyraźną komplikacją duchową. Zwraca uwagę większa niż gdzie indziej liczba ludzi, którzy postanowili zmienić stan trzeźwy na nietrzeźwy, a w tym drugim stanie demonstrować czasami gwałtowną, ale nie krwiożerczą agresywność i wulgarność. No, ale czas podróży jest zawsze czasem szczególnym i znam nacje wielce pocziwe, które w czasie podróży wiele z tej pocziwości tracą.

Ojczysty brzeg jednak wzrusza, bo brzeg to jednak brzeg, nie jakaś tam betonowa płyta lotniska.

Po bezbolesnych stemplach granicznych ujawnia się wielki natłok taksówek, końca ich nie widać. Kierowcy zbici w gromadki z boku, jakby nie wierzyli, że kogokolwiek będą dzisiaj wieść. Podchodzę do pierwszego pojazdu. Taksówkarz odłącza się od ludzkiej kupy, ale jakoś nie śpieszy mu się. Mówię, że ja tylko na dworzec kolejowy. Roześmiał się.

— „A do Warszawy pan nie pojedzie?”. Ten żart okazał się zupełnie poważny i co gorsza wszyscy następni taksówkarze go pilnie powtarzali. Jechać mogą, ale w Polskę. Gdańsk i bliższe okolice ich nie interesują. Zziębnięci i z rosnącym węzłem gniewu na gardle dotaszczyłem się z bagażami w środek wielkiego samochodowego ogona, a im dalej szedłem, tym kierowcy ciszej szeptali, proponując za dojazd do Warszawy pół opłaty oferowanej z przodu kolejki. Było widać, że obniżając cenę robią wielkie świństwo innym, „ale jakoś przecież trzeba żyć, no nie”. Końcówka kolejki była już w stanie wyraźnego duchowego upadku i trudno się dziwić, skoro przód ustawił się podobno poprzedniego dnia i spędził tu całą noc. I właśnie tam na tym końcu znalazł się łaskawiec, co zechciał jechać na dworzec, ale za całe złotych sto tysięcy. No to pojechałem. Wyplułem gniew i postanowiłem agresję przekuć na czynność poznawczą. Od kierowcy dowiedziałem się, że interes nie opłaca się, że opłacają się tylko dalekie kursy. Przy okazji uzyskałem wiadomość, że „Polska

się rozpieprza, a ci co rządzą nie dorosli by nami rządzić”. Popatrzyłem. Może miał rację, ale przeoczył, że sam nie bardzo dorósł, by nim rządzić.

Instytucję żebraka pociągowego pamiętam z dzieciństwa, zdawali się oni być odziedziczeni po biedzie przedwojennej. To ten rodzaj żebractwa, który korzysta z faktu, że pociąg jest więzieniem, skąd uciec od żebraka nie ma jak.

I oto znowu widzę nędzarza pociągowego, nędzarza szczególnie wynędzniałego. I ciekawe, bo był niejako sępem sprząającym po pracy roznosiciela piwa. Ten roznosiciel, też jakby z innego czasu, przemieszczał się niezwykle pośpiesznie, rozrzucając wokół zupełnie wytarty okrzyk, w którym „piwo” straciło swoje brzegi i zlało się w jedno z „komu?” Nędzarz biegł jego śladem, zbierając puste butelki. Miał pecha, bo wpadł na konduktorkę. Konduktorzy w strefie panowania Imperium, teraz w strefie nadal skażonej, to szczególna kategoria ludzi. Konduktor w ZSSR był skrzyżowaniem policjanta, wysokiego rangą inspektora i strażnika więziennego, posiadał ich atrybuty oraz pysk niejako noszony przed twarzą, i ważność, która rozpieierała klatkę piersiową. U kobiet to szło w biust. Nasi konduktorzy oczywiście mniejsi i skromniejsi, jak skromniejszy był nasz komunizm, ale... ta konduktorka była groźna w swoim rynsztunku. I pojąłem nagle słabość wielu mężczyzn do takich mundurowych niewiast, posiąść taką kobietę, to posiąść groźny urząd i go przeczucić.

Bilet ma?! — krzyknęła konduktorka, patrząc w dół na nędzarza.

Ten jęknął i zanucił — „ja biedny, ciężkie życie...”

— „A poszedł!” — krzyknęła mundurowa i zafalowała biustem.

Nędzarz zaskowyczał i brzęcząc butelkami z podkulonym ogonem pocwałował korytarzem, zapominając w jakim strasznym jest stanie.

Siedział naprzeciw mój przyjaciel, człowiek zamieszkały na stałe w innej zupełnie cywilizacji. Usiadł jeszcze głębiej w sobie i rzekł: „a moja żona kupuje codziennie dla kota dwie puszki mięsne po dwa dolary sztuka i czasami piasek, żeby mu się przyjemnie srało, a taki piasek też kosztuje... świat jest bez sensu”.

Nic dodać nic ująć — pomyślałem.

Siedziało w tym przedziale dwóch mężczyzn, już podsztych wiekiem, znali się, ale nie na tyle, by się nie zdziwić gdy odkryli, że kiedyś obaj byli w AK. I snuli takie rozmowy, trochę kombatanckie, ale skromne, jakby obnażali w sobie solidny i zdrowy fundament. I pomyślałem, że Polska składa się z wielu

warstw i że gdzieś tam głęboko, coraz głębiej leży konspiracja drugiej wojny światowej jak wielka kamienna sieć. Czym teraz bylibyśmy bez niej?

Nie wypada psuć wzruszeń opisem toalet w pociągu, bez wody i zamknięcia, i jakiej sprawności od organizmu wymaga taka toaleta, by trzymać drzwi i...

Znowu na dworcu, tym razem Centralnym, taksówki, z syrenką z boku, i aż 1000 zł przelicznika, czyli ponad dwa razy droższe niż zwykle.

Gdyby potraktować nasze taksówki jako wcielenie pewnego ideału, to wnioski mogą być ciekawe. Otóż taksówki w RP są przykładem, jak chory może być ekonomiczny liberalizm. Ceny ustanawiają sami taksówkarze, biorąc pod uwagę własną kieszeń, popyt, podaż, ceny benzyny i eksploatacji wozu. I pewnie ten mechanizm mógłby być skuteczny, ale doszedł czynnik dodatkowy. Ujawnili się równi i równiejsi, ci drudzy stworzyli mafię, która narzuca wyższe ceny i okupuje lukratywne parkingi przed dworcami i hotelami. Skłócenie między samymi taksówkarzami doprowadziło do wielkiej wzajemnej wrogości. Pasażerowie są podkradani, ceny szeptem obniżane, dochodzi do bijatyk o klientów, co sam widziałem w biały dzień nieuzbrojonym okiem. Mają tego dosyć klienci, za każdym razem wsiadając do taksówki czułem obrzydzenie, mają dosyć sami taksówkarze, bo czują, że im sierść wyrasta na grzbietach. Nie jedyny to przykład, że u nas ekonomiczny liberalizm podlega od razu zwyrodnieniom, nie inaczej niż w krajach Trzeciego Świata.

Zanim zatrzasnę ostatnie drzwi warszawskiej taksówki, opiszę taksówkarza z ludu. Jest i taki gatunek taksówkarza. Siedzą oni w pojeździe niechlujnie, równie niechlujnie jeżdżą. Nie wiadomo, kierownicę trzymają czy lejce, biodrę i głowę pomagają pojazdowi, gdy nie chce przyspieszyć. Taksówkarz ludowy opisując stan upadku kraju używał jako przykład krowy i mleka, które ona daje. Wywiódł w ten sposób wszystkie błędy popełnione przez kolejne ekipy rządowe i poszło mu całkiem gładko. Jako że czułem wielkie przejęcie narzekaniem bez jakiegokolwiek konkluzji, zapytałem: „Ja za granicą... zagubiony jestem i chciałbym wiedzieć, co też z tego wszystkiego będzie?”

Nieprzygotowany i doprowadzony tym pytaniem do ostateczności taksówkarz wystękał: „Chyba wszyscy, panie, zajdą w wielką depresję, w depresję zajądą i koniec”.

Zapładnianie depresją i jej hodowanie w społecznym brzucho jest wizją wyraźną i groźną. Spotkałem kilka dni potem tego taksówkarza, jak czatował z grupką innych przy rządzie pojazdów na postoju zanurzonym w środku nocy, brakuje tylko ognisk przy postojach, gdzie grzałoby ręce, a widząc mnie krzyknął: „To jeszcze pan tu siedzisz, trzeba stąd spływać, kto może

niech ucieka!” A reszta nocnych taksówkarzy zaświeciła oczami i zawtórowała serdecznie: „niech spływa z tego kraju kto może”.

Byli mi przychylni, a jednak poczułem nóż w piersiach.

„Nawet w szpitalu potraktowaliby mnie lepiej, tam w łóżku miałbym naczynie do d..., a tu nie mam, bo nie mam czasu” — miał powiedzieć nasz prezydent RP w niemieckim Bundestagu. Wedle prawie całej krajowej prasy, radia i telewizji niczego takiego nie powiedział. Jedyne *Gazeta Wyborcza* i *Nowa Europa* zacytowały. Inne środki masowego przekazu tłumaczą się, że albo nie słyszały, albo uznały, że to nie jest ważne. Nikt nie przyznał, że się bał albo wstydził. Jak się przechodzień potknie, to może sobie stłuc kolano, jak się potknie Prezydent, w jakimś sensie rozbija sobie nos państwo, które reprezentuje. Głupia sprawa, ale przemilczać jeszcze głupiej. Nasza demokracja jeszcze niepewna siebie, nasza prasa zapomina, że jest wolna. Prezydent mnie nie zaskoczył, nasze środki masowego przekazu tak i jestem zmartwiony. U nas wszystko z bibułki, dmuchniesz — rozlatuje się. Więc jak nawet ktoś zacznie chuchać na zimne, może dojść do katastrofy.

Prezydent porusza się za granicą jak słoń w składzie z porcelaną, zdarza się, że nawet zatańczy na stole i niczego nie strąci, wtedy wszyscy klaszczą, jak stłucze — załamują ręce. A przecież w jakimś sensie my wszyscy teraz poruszamy się w nowym świecie niezręcznie, nowi ministrowie, szefowie, dyrektorzy... nawet ci z inteligenckich rodzin. Polaków poznaje się za granicą po zębach, po butach, po fryzurach... i po wielu jeszcze innych rzeczach, z których my z polskich miast śmiejemy się, obserwując przybywających do nas mieszkańców wsi i miasteczek. Nawet nasz hymn narodowy jest prowincjonalny, patrzy pełnymi uwielbienia oczyma w cyniczne oczy Napoleona. Przez 150 lat byliśmy zaledwie przedpokojem Europy, skąd zerkano na salony. Nie było nam nawet dane dostrzec, ile w tych salonach pod blichtrzem jest pustki i głupoty.

Gdyby zastosować proste ludowe miary ludzkiej sprawiedliwości, które jak się zdaje wyznaje Wałęsa, brzydząc się i słusznie fałszem polityki (co nie znaczy, że na własny użytek takiej polityki nie uprawia), to należało w tym szwabskim Bundestagu posunąć się o wiele dalej i przejść nawet do czynów. Wiem, że redaktor *Kultury* nie znosi rzeczy niesmacznych, więc domyślności czytelników zostawiam, co tak naprawdę powinien w tym Bundestagu Prezydent zrobić. Bo Europa na to serdecznie zasłużyła.

Skandale powodują prawie wszyscy nasi politycy, rzadko ze złej woli, najczęściej z powodu niezręczności. Oto np. minister

Obrony Narodowej Parys, dają głowę, że nie zdawał sobie sprawy, jaką wagę będą mieć jego słowa: „W ostatnich dniach pewni politycy zapraszają bez wiedzy ministra obrony, bez wiedzy szefa sztabu wybranych oficerów i obiecują im awanse za pewnego rodzaju poparcie wojska dla rozgrywek politycznych”.

Nagabywany, kto zapraszał, minister udał się w milczeniu na dwutygodniowy urlop. Prasa domyśla się, że chodziło o dawnego kierowcę Prezydenta, a obecnie ministra w jego kancelarii, Mieczysława Wachowskiego. Czy ktoś by się zdziwił?

Potwierdza się, jeśli nie co dzień to co tydzień, przejmujące poczucie, że Polska znajduje się w rękach amatorów, którzy na dodatek okrutnie się nie lubią i kłócą. Minister Parys, uniwersytecki intelektualista, minister Wachowski, dla którego jedynym uniwersytetem był Lech Wałęsa, obaj jednak pewni siebie, a przecież zagubieni.

I oto Prezydent zostaje zmuszony, by zapewnić naród, że nie zamierza wprowadzać stanu wojennego. Tak koło się prawie zamyka. Aż iskry idą po plecach.

Jedni krytykują ministra obrony za skandaliczną nieodpowiedzialność, inni uważają, że jest czystym rycerzem wolności, który broni nas przed hańbą zamachu stanu. I co za radość dla zbieraczy paradoksów, bo tak krzyczą wczorajsi sojusznicy Wałęsy. To wszystko ujawnia jakieś pokracczne wojny podjazdowe między rządem a Belwederem o wpływy w armii, o wpływy wszędzie tam, gdzie wpływy mieć można.

Rewelacje *Gazety Wyborczej* na temat Prezydenta i Belwederu — spowiadają się publicznie wczorajsi sojusznicy Prezydenta. Ten wielki, chociaż zarazem mały akt oskarżenia Wałęsy i jego dworu, w normalnym kraju zatrząsłby prezydenckim fotel. A u nas ten fotel nawet nie drgnie, bo on przecież i tak nie ma nóg. I jakieś wielkie obrzydzenie po tej lekturze, chociaż nie ma tam jednego zdania, jednej sceny, która budzi zdziwienie. Bo przecież tak naprawdę my to wszystko już wiedzieliśmy w roku pańskim 1981. Dzisiaj Wałęsę atakują ci, którzy go wczoraj zachęcali, by szedł w prezydenty i donosili amunicję na wojnę na górze. Oni też od dawna „wszystko” wiedzieli, ale Wałęsa był im potrzebny, a dzisiaj godzą się nawet gościć na łamach znieawidzonej *Gazety*. Poświęcają się dla racji stanu. Wczoraj ta sama racja wymagała, by rozpałać pożar, a potem iść w ogień z Wałęsą. Poczucie obrzydzenia po tej lekturze dotyczy całej naszej sfery politycznej. Bardzo jest gorzko.

W kilka zaledwie dni potem ta sama *Gazeta* drukuje wywiad przeprowadzony (!) przez generała Jaruzelskiego z redaktorem naczelnym pisma, Adamem Michnikiem. Wywiad nosi tytuł „Rozmawiać bez nienawiści”. Wysłuchałem tej lekcji moralności z rozdziawioną gębą i mam tylko jedno pytanie: „Roz-

mawiać, proszę bardzo, ale dlaczego od razu się kochać?” Wywiad ten kończy książkę, którą generał wydaje w Paryżu. Przyjemnie. No i proszę bardzo, taki porządny chłop z tego generała, kto by przypuszczał? A Wałęsa to po prostu świnia.

Cała ta figura... potem podróż Michnika i generała do Paryża gdzie wystąpili w telewizji jako światowy przykład miłosego pojednania, jak i co tam mówili... to wszystko już nie na moje siły intelektualne, niech ktoś mądrzejszy to opisz i wyjaśni tym, co jeszcze mają chęć się dziwić i oburzać. Boję się tylko, że ktoś mądrzejszy machnie po prostu ręką.

Znajomy, który był na zjeździe Solidarności regionu Mazowsze, opowiada cicho, jakby mówił o wstydlivej chorobie, że gdy na salę wszedł Zbyszek Bujak, ktoś krzyknął oburzony: „Kto tu właściwie zaprosił Bujaka?” i dostał oklaski. Ktoś odezwał się, że „Bujak mimo wszystko ma dla 'Solidarności' pewne w przeszłości zasługi, więc niech sobie posłucha” — teraz gwizdy mieszały się z cichą aprobata. Bujakowi w końcu, łaskawie chociaż niechętnie, pozwolono na obradach zostać. I mógł usłyszeć, jak potężny ciałem przewodniczący regionu Mazowsze Maciej Jankowski oświadcza, że „'Solidarność' powinna się skupić nie na tych, co nic nie mają, ale na tych co mają za dużo”.

Ciekawe, gdzie zadryfuje coraz mniejszy, ale coraz bardziej najezony wrak „Solidarności”. Napisałem...

A wkrótce potem 80-tysięczny tłum manifestantów pod sztandarami „Solidarności” ruszył na podbój Warszawy. Przed solidarnościowym Sejmem krzyczeli „chcemy posłów a nie osłów”. Marszałek Sejmu czekał na progu, którego nie chciała przekroczyć głowa pochodu. I tak zgodnie z polską tradycją „kto ważniejszy” obie strony zostały po obu stronach progu, o co jest teraz awantura. Tylko posłowie z KPNU przeszli na drugą stronę i też krzyczeli „posły, osły”. (Potem Sejm krzyczał na posłów KPNU, że są świnie, bo zdradzili. W naszym parlamencie nie było jeszcze mordobicia, ale w następnym Sejmie już na pewno będzie). Tłum ruszył na Urząd Rady Ministrów, a solidarnościowy premier Olszewski wyszedł dzielnie naprzeciw, chociaż szedł jak na śmierć. I słusznie, bo mu подарowano trumnę, a tłum krzyczał „aferzyści do więzienia”. Przed Belwederem tłum obrażał nawet księdza „higienistę” Prezydenta i świeżo ob smarowanego przez *Gazetę* ministra Wachowskiego. Słynny przywódca „Solidarności” po chwili dramatycznego wahania wyszedł do solidarnościowych manifestantów i powiedział: „Gdybym nie był Prezydentem, szedłbym na czele tego pochodu”. Potem dodał: „Tak jak wy, a może jeszcze bardziej jestem niezadowolony” — to wszystko jednak nie znalazło zrozumienia. Wałęsa cierpi na coraz większe rozdwojenie, jak być Preyden-

tem i być po stronie głodnych mas? Jeśli mogę radzić, to proponuję zostawić buty w Belwederze, a reszta niech się brata z ludem. Jak na razie jest odwrotnie.

Józefów, niewinna miejscowość pod Warszawą, dołącza do listy osad, które nasze *mass media* nazywają Ciemnogrodem. Co czynili mieszkańcy Józefowa dowodzeni przez piekarza? Nie chcieli wpuścić malutkich dzieci chorych na *Aids* do drewnianego baraku, który miał stać się dla nich domem. Na czele dziecięcej krucjaty stał słynny opiekun narkomanów Marek Kotański z nielicznymi włosami spiętymi w kok. Mieszkańcy pilnowali baraku za dnia i w nocy. Grozili, że złe przepędzą ogniem i żelazem. Zaraza wedle nich mogła się przedostać wodą i powietrzem i zakazać przyzwoitą miejscowość. Postawili na swoim, nie wpuścili, ale rzecz nie jest aż tak prosta.

Cały ten akt nawiedzenia Józefowa przez *Aids* był czyniony histerycznie, co Kotańskiemu przychodzi bez trudu. A przede wszystkim, skąd mieszkańcy Józefowa mają wiedzieć czym jest naprawdę *Aids*, skoro sternicy Polski są tak zajęci ważnymi sprawami, że nie mają czasu, by to wytłumaczyć swoim obywatelom? Ci ludzie są przerażeni, bo im się od dwóch lat wali świat. *Aids* jest jednym z piorunochronów, który skupia wyładowania przerażenia.

Wielka rzeka niepokoju, co płynie pod Polską, może wykarmić w wielkiej ciszy każde monstrum. Może, ale nie musi. Nasi faszyści też coraz głośniej krzyczą i mocniej biją. Czy przedtem ich nie było? Policyjne państwo ograniczyło ich równie skutecznie jak i liberałów. Dzisiaj wolność zburzyła ściany basenów, gdzie gromadziły odchody te postacie autorytaryzmu, które nie mieściły się w ramach sowsocjalizmu. Słońce wolności rozognia tę substancję. Pokrywa ona teraz cienką warstwą coraz większe przestrzenie. Grozi to rozszerzeniem infekcji oraz powoduje, że przykry zapach nigdy nie wietrzeje. Ale to jest wolność również.

Pamiętam różne chudziny, różnych nieśmiałych, wycofanych, a teraz! Figury odziane w garnitury i gabinety. Tacy sami, a zupełnie inni ludzie. Krzątają się nieco zakłopotani, bo właściwie nie wiedzą, gdzie ja się lokuje w tym świecie, który nagle uzyskał podział na „ważnych” i „nieważnych”. Albo takich co mają przyszłość lub jej nie mają. Trudno mnie wsadzić do jakiejś grupy, więc próbują mnie traktować środtkowo, ale to strasznie trudna pozycja, bo ja się im bezwiednie staczam w „ważny” albo „nieważny”.

Polska składa się dzisiaj z ludzi, którzy stracili grunt pod no-

gami i z ludzi, którym przewróciło się w głowie. Jedno i drugie jest trudne do zniesienia.

Odzwyczajony od naszej rodzimej nawierzchni nieustannie się potykam o czyjeś chamstwo. W banku stojąca przy kasie kobieta pozwoliła swemu małemu synkowi wspiąć się na kontuar i patrzeć, jak kasjerka liczy pieniądze — „proszę go zabrać, to nie jest kino” — burknęła kasjerka. Chłopiec został zabrany, a zdruzgotana matka wymieniła ze mną pełne zrozumienia spojrzenie. Tak Europa kulturalnym zdziwieniem wita dziwactwa dzikiej Azji. To spojrzenie odróżnia nas od miejsc położonych od Buga na wschód, tam kasjerka rugnęłaby podobnie, ale nikt by się nie zdziwił.

Chwilę potem wsiadam do autobusu, który stoi na pętli z wygaszonymi światłami. Kusi mnie, by zapytać kierowcy, za ile minut ruszamy, ale waham się. Po ciężkim dniu jak mi ów skończy do gardła, to kto wie, może przegryzę mu tętnicę szyjną. W czasie, gdy pasowałem się ze sobą, jakaś starsza niewiasta zajrzała do kabiny i wywręczyła czy raczej wysłowiła mnie.

— Gównno to panią obchodzi — odparł dyrektor autobusu.

I znowu miałem możliwość wymienić znaczące spojrzenie, a ktoś się nawet do nas odważnie przyłączył. (Proszę zauważyć, że kierowca nie potrafił swego „gówna” nie osłodzić, jednak i mimo wszystko, naszą wielkopańską formą „pani”).

O tak, każdy dzień przynosił mi potwierdzenie wielkiego chamstwa ale i zdziwienie, że to my i u nas. Ze u Nas i Nam to się przydarza, mimo wszystko Europejczykom! Tu bije źródło naszych wielkich cierpień. Jesteśmy dokładnie w środku w nieznośnym rozkroku między chamską Azją (przepraszam Azję kulturalną) a wykwintną Europą. Większość naszych słabości widzimy, wstydzimy się ich, ale one silniejsze. To przy interpretacji miękkiej. Można też twardo i szerzej...

Jesteśmy głęboko, do szpiku kości skorumpowani. Ale nigdy nie przyznamy, że oszustwo i kradzież w naszym wykonaniu mają takie imię. Nie mamy poczucia państwa i obowiązków wobec niego, ani poczucia wspólnego dobra. Manipulacje i machlojki, które już teraz obserwuję u swoich pocziwych znajomych w związku z wprowadzeniem powszechnego podatku dochodowego, dowodzą, że oszukiwać będą wszyscy, a zbiorowe sumienie wszystkich rozgrzeszy.

I pomyśleć, że cała ta niemoralność jest przykryta obrusem, na którym stoi monstrancja, i jest zagłuszana pianiem o narodzie jako najwyższej wartości.

Maria Dąbrowska, ta arcy-polska pisarka, zanotowała już w roku 1921, a więc „jak dzisiaj” w trzy lata po uzyskaniu niepodległości: „Jesteśmy naród nie z baśni, tylko z bajki, żywy te-

mat do satyry, i to jest miejsce z którego może się zacząć szerzyć śmierć na cały organizm. Naród tragikomiczny, groteskowy i patetyczny, naród bez prostoty”.

Dalsze lata dzienników Dąbrowskiej ujawniają, że i ona nie była wolna od pewnych przywar. Przeraza mnie nie tylko to, że okaleczenia spotykam u prawie wszystkich ludzi w Polsce, ale że je spotykam również u siebie, który się tak mądrzę i pouczam. Historia jest dla nas jakimś usprawiedliwieniem, ale przygnębia, że dzisiejszy bałagan kompromituje nowe państwo, utrwała a nawet o zgrozo pogłębia dawne grzechy i nie daje szansy choćby na zapoczątkowanie odbudowy sfery społecznej moralności.

Gdybym musiał powiedzieć, co (prawie) najbardziej lubię, winienem rzec — strzyżenie. Fryzjerzy są różni, delikatne ręce młodej dziewczyny wydają się narzędziem naturalnym, owłosione ręce zużytych mężczyzn to jakieś grube nieporozumienie, ale ono funkcjonuje o zgrozo i też jest przyjemnie. Strzyże mnie taki jeden i narzeka. Mówiąc o naszej wolności, konkluduje: „Z tego całego szumu to korzystają tylko cwaniacy”. — „Cały szum” — jako imię na odzyskanie przez Polskę niepodległości i budowanie zrębów demokracji. Boję się, że dzisiaj nie mniejszość a większość Polaków z takim określeniem się zgodzi. Fryzjer ciągnie: „Tu u nas nigdy ludzie rządowi nie wierzyli i wierzyć nie będą. I tak będzie dopóki pieniądze da się robić tylko na machlojkach, rząd nie będzie wierzył ludziom, ludzie rządowi, takie kiwanie się było, jest i będzie...”. Tu męska Kasandra wzięła brzytwę do ręki, więc przytaknąłem. Oj wielka bieda, jeśli tak naród myśli. A myśli tak, bo tak widzi. Czy widzi czego nie ma?

SMECZ

Symbol niemożności

Międzynarodowy konkurs na koncepcję rozwoju ścisłego centrum Warszawy dla wielu biorących w nim udział przekształcił się w konkurs na otoczenie Pałacu Kultury i Nauki. Hipnotyzujące działanie tego budynku jest nadal tak wielkie, że często przesłania jakiegokolwiek racjonalne myślenie. Istnieje mit, że jest to obiekt wykonywany niezwykle solidnie. A jednak trwająca od wielu miesięcy konserwacja iglicy uniemożliwia warszawiakom oglądanie programu

telewizji w godzinach porannych. Cała instalacja wodno-kanalizacyjna, elektryczna, telefoniczna, dźwiękowa nadaje się nie do konserwacji, lecz do wymiany. Niedługo ozdabiające pałac atyki trzeba będzie zdemontować nie z powodów estetycznych czy ideowych, lecz po prostu dla zapewnienia bezpieczeństwa przechodniom. Zmiana charakteru Pałacu Kultury i Nauki na Pałac Handlu i Przemysłu niewiele pomoże. W części wysokościowej przewaga korytarzy i schodów nad powierzchnią użytkową biur jest tak duża, że tylko horrendalnie wysokie czynsze mogą pokryć kosztą funkcjonowania tego gmachu, a co z kosztami konserwacji? W tej sytuacji śmiesznie brzmią wypowiedzi przedstawicieli władz gminy Śródmieście i władz miasta, że nie ma pieniędzy na rozbiórkę. Bowiem z rozbiórki można zrobić znakomity interes, a na podtrzymanie istnienia tego budynku potrzebne są wielkie pieniądze. Dlatego też Pałac Kultury i Nauki w Warszawie może istnieć wyłącznie jako symbol.* Vladimir Katelbach i Bénédicte Testad z Francji uznali ten symbol za martwy. Po to, aby miasto mogło żyć, musi on zniknąć, bowiem do miasta on nie należy. Zaproponowali sprzedaż elementów budowlanych z rozbiórki przedsiębiorcom prywatnym, a pozostałości architektoniczne zaadoptować do prawdziwie ludzkiej skali i wpisać w sieć odtworzonych w tym miejscu ulic.

Pojawiła się również koncepcja, by w martwy symbol tchnąć życie, by symbol podległości zmienić w symbol pokojowej rewolucji, symbol przemiany totalitaryzmu w demokrację bez użycia siły, symbol wyrastania przyszłości z przeszłości. Autorzy tej koncepcji, Czesław Bielecki, Jerzy Heymer i Andrzej Pazdej, są zdania że destrukcji powinna podlegać totalitarna przestrzeń wytworzona przez pałac, a nie sam pałac. Nie musi on zniknąć, ale musi przestać dominować nad miastem, musi zostać włączony w miasto, wrosnąć w nie nie tylko przez budowę obok niego innych budynków, lecz także poprzez rozbudowę.

Pomiędzy koncepcją całkowitego rozebrania pałacu a koncepcją przekształcenia go w nowy symbol zmieściło się prawie trzysta innych, nadesłanych niemal z całego świata. Międzynarodowe jury oceniało prace przez pięć dni, czyli jak łatwo obliczyć, by zapoznać się z każdą, musiało przejrzeć co najmniej siedemdziesiąt pięć dziennie, aby ostatni dzień pozostawić na końcowe rozstrzygnięcie. Na zapoznanie się z jednym projektem przypadało więc około dziesięciu minut przy założeniu, że praca trwała nieprzerwanie przez dwanaście godzin dziennie. Jeżeli koncepcja była dyskusyjna lub ciekawsza, należało poświęcić minut trochę więcej, a więc o tym, czy praca jest nieciekawa, decydowała jedna minuta lub najwyżej dwie. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach jury doznało zawrotu głowy i nagrodziło pracę opasującą najwyższy budynek w Warszawie największym w Warszawie rondem. Tworząc wokół pałacu święty krąg, panowie Wiesław Bartłomiej Bietylszew i Andrzej

* Ale kto zapłaci za podtrzymanie istnienia takiego symbolu?

Skopiński z Brukseli dokonali ostatecznej sakralizacji świątyni nieistniejącej wiary. O cześć wam, panowie z Brukseli! Chociaż bulwar spacerowy opasujący kołem świętą budowlę nawiązuje do tradycji moskiewskiej, gdzie *kolco* zamyka swym okręgiem śródmieście, niektórzy chętniej kojarzą to rozwiązanie z londyńską Regent Street czy wiedeńskim Ringiem. Ale gdzie Rzym, gdzie Krym! Pomysł, by iglicę zamienić w ostrze cyrkla zakreślającego kredowe koło, można by uznać za genialny, gdyby nie był po prostu infantylny. Jest to jednak kontynuacja drogi twórczej Andrzeja Skopińskiego, który jako współautor osiedla za Żelazną Bramą burzącego śródmieście Warszawy stosował tam równie proste pomysły, tyle że oparte na kacie prostym. I tak samo jak to osiedle, centrum Warszawy oparte na geometrii koła pozostawałoby oddzielnym obszarem wyciętym z tkanki miasta.

W niecały tydzień po ogłoszeniu wyników konkursu, w dniu 10 kwietnia, W Domu Kultury Rosyjskiej (dawniej radzieckiej) odbyła się dyskusja publiczna zorganizowana w dawnym stylu. Za czerwonym prezydialnym stołem zasiedli przedstawiciele władz miasta i członkowie jury z Polski. Jurorzy zza granicy nie mieli czasu, by przedyskutować wyniki swojej pracy. Publiczność była jednak niepokorna. Natychmiast zakwestionowano wybór I-jej nagrody, a także konieczność pozostawienia Pałacu Kultury i Nauki jako dominanty i drogowskazu Warszawy. Okazało się jednak, że jest to dyskusja z cieniem. Wbrew oficjalnemu aplauzowi i radości z pozostawienia PKiN na dawnym miejscu (ton ten dominował w relacjach od lewicy do prawicy) prezydium zrobiło unik i okazało się, że wyniki konkursu wcale nie są wiążące, że nawet w wypadku realizacji pierwszej nagrody przyszłe pokolenia będą mogły sobie rozebrać to, co pozostanie w środku ronda. I tak znów uwaga publiczności została zaabsorbowana i wszyscy kręcili się wokół pałacu. Jedynie znany historyk i krytyk sztuki Łukasz Heyman upomniał się o prawa właścicieli terenów będących przedmiotem opracowania konkursowego i przypomniał, że architektura demokratyczna w odróżnieniu od totalitarnej opierała się na prawie własności, że tylko poszanowanie tych praw może sprawić, by miasto żyło w normalny sposób. Zabrakło wizji, co dalej z Warszawą, jaką rolę ma ona pełnić w Europie, na świecie, w Polsce. Epatując się symbolem pokojowej rewolucji (co zresztą uwzględniono w pracy najwyższej nagrodzonej, wznoszącej dar nieistniejącego „narodu radzieckiego” na okrągłym stole) możemy nie zauważyć momentu, gdy w konsekwencji stosowania uników, niechęci do racjonalnego, całościowego, architektonicznego myślenia, stanie się on symbolem naszej niemożności. Niewątpliwie jest to najpiękniejszy z moskiewskich wieżowców i najlepsze dzieło jego twórcy, Lwa Rudniewa. Stoi wiele lat samotny i opuszczony na największym placu Europy. Kiedyś budził wzdrganie i przestraszony podziw, dziś coraz więcej litości. Piotr Paszkiewicz w zakończeniu swej znakomitej książki o rusyfikacji i derusyfikacji warszawskiej architektury i urbanistyki (*Pod ber-*

tem Romanowów, Warszawa 1991) zauważa, że pałacowi Kultury i Nauki nie zagraża dziś los Soboru na Placu Saskim, rozebranego po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Oczywiście niepodległość można manifestować nie tylko poprzez burzenie ale także, a może przede wszystkim, poprzez budowanie. A do tego jest potrzebna wola budowania z sensem. W tym miejscu powinien znaleźć się traktat o budowaniu, architekturze scalającej wymiary duchowe i symboliczne z oporną materią zastaną i wznoszoną. Ale kogo to dziś interesuje.

24.4.92

Jeremi T. KRÓLIKOWSKI

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.
Chicago, IL 60618

tel. (312) 489-2554

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czasopisma emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

Sprawy i troski

Cechy Polaków

Już od dawna nęciło mnie, aby spróbować zrobić spis tzw. typowych cech Polaków. Stale o nich mówimy w momentach radości i triumfu, częściej może jeszcze w chwilach klęsk i niepowodzeń. A mimo to nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział spis czy jakiś katalog tych naszych cech.

Bezpośrednio do napisania niniejszego artykułu zachęcił mnie wywiad z Edwardem Raczyńskim — byłym emigracyjnym prezydentem, opublikowany w grudniowym numerze *Kultury* z ubiegłego roku (12/531). Uzmysłowiłem sobie w szczególności, że wbrew pozorom, przebywanie poza Polską i możliwość oglądania Polaków z zewnątrz, wśród innych narodowości, daje może szczególniejszą, lepszą perspektywę. Gdyby bowiem tego rodzaju analiza czy badania prowadzone były wśród Polaków w kraju, obok „trwałych”, istniejących od długiego czasu „cech narodowych” ujawniłyby się inne, niewątpliwie prawdziwe, a więc autentyczne, ale będące wyraźnie wynikiem ponurego systemu, który zapanował w Polsce po II wojnie światowej. Typowym przykładem takich — powszechnych niestety w kraju — cech jest niesolidność lub brak szacunku dla dobra publicznego. Wśród Polaków, którzy osiedlają się na Zachodzie te dwie cechy z czasem zanikają — spowodowane to jest innymi warunkami, w jakich teraz żyją ci ludzie. Natomiast inne „narodowe cechy” zachowują się nadal, nieraz po kilkudziesięciu latach spędzonych poza krajem. Te właśnie cechy wydają się szczególnie interesujące, jako trwałe, a więc najbardziej typowe.

Przedmiot naszych rozważań jest o tyle skomplikowany i „delikatny”, że ich wynikiem może być stereotyp, a więc kategoria oceny, która używana w sposób nieodpowiedzialny potrafi być krzywdząca i uczynić wiele złego. Z drugiej strony jednak wiemy dobrze, że wspólnota kultury i doświadczeń z pewnością wytwarza cechy typowe, „narodowe”, i ich zidentyfikowanie ma

znaczną wartość poznawczą, a nawet praktyczną. Trzeba wszakże stale pamiętać, że poszczególne typowe cechy Polaków, oglądane pojedynczo nie muszą bynajmniej być — i nie są — wyłącznie polskie. Spotykane są one z pewnością także u innych narodowości. Dopiero ich zbiór, tj. występowanie razem, obok siebie, cech pozytywnych i negatywnych, a więc ich kombinacja, składa się na ewentualną sylwetkę „typowego Polaka”. Przy czym, jak we wszystkich uogólnieniach, istnieje tutaj zastrzeżenie, że do takiej sylwetki „typowego Polaka” nie będą pasować wszyscy Polacy, a tylko ich większość.

Zanim wreszcie przejdziemy do wyszczególnienia tych naszych cech — jeszcze dwie uwagi. Czy nie byłoby lepiej, aby zidentyfikowanie cech Polaków pozostawić innym, tj. obcym, którzy obserwują nas z zewnątrz? Widzą je oni chyba bardziej ostro i bardziej bezstronnie. Tak, może to i prawda, ale jednocześnie są bardziej z dala od nas, a więc znają nas mniej. Bariera naszego języka, który niestety nie stanie się nigdy *lingua franca*, odgrywa w tym niebagatelną rolę. Tak więc nasza ocena własna, a więc introspekcja wydaje się bardziej właściwa, może tym więcej jeśli jest dokonywana z pozycji emigranta, a więc Polaka żyjącego na stałe w innej kulturze. Druga uwaga — to zastrzeżenie, że prowadzona tu próba analizy nie jest żadnym opracowaniem naukowym. Oparta jest ona na własnych obserwacjach, z tym jednak, że powstały spis cech poddany był krytyce i modyfikacji szeregu osób — Polaków emigrantów i w tym sensie reprezentuje sumę poglądów i doświadczeń.

A więc *ad rem* — jakie są typowe cechy Polaków?

Zalety: uczuciowość; sentymentalizm; serdeczność; gościnność i wielkoduszność; gotowość do poświęceń; patriotyzm; przywiązanie do historii i tradycji; łagodność, brak mściwości i okrucieństwa; umiejętność przetrwania i rozpoczęcia od nowa; brak małostkowości i nadmiernego zmaterializowania; uczynność; kurtuazja wobec kobiet; szacunek dla kultury i wykształcenia.

Wady: zaściankowość (przesadny polonocentryzm); snobizm (społeczny i wobec niektórych narodów); brak pragmatyzmu i trzeźwości ocen (rzeczywistości), skłonność do budowy mitów; nieufność; pyszałkowatość i brak skromności — dokładne przeciwieństwo anglosaskiego *understatement* i ogólnej powściągliwości; skłonność do „robienia szumu” i „quasi-działania”; ksenofobia i kołtuństwo (jako cechy spotykane częściej niż u większości narodów europejskich); bałaganiarstwo i nieumiejętność organizacji; brak wytrwałości (przy zdolności do zrywu); brak dyscypliny społecznej; brak tolerancji i kultury współżycia społecznego; brak poczucia obywatelskiego (*civic spirit*); skłonność do rozwlekłości i braku ścisłości wypowiedzi.

Przy omawianiu naszych typowych cech z innymi rodakami uderzyło mnie, że co do kilku podstawowych cech od razu była zgoda. Natomiast zanim doszliśmy do zidentyfikowania innych, było początkowo sporo niepewności i różnicy zdań. Wynika z tego, że choć wydawałoby się, że „znamy się jak tyse konie”, może wcale tak nie jest? Prezydent Raczyński, który w ciągu swego długiego życia obserwował Polaków, doszedł np. do wniosku, że Polacy są leniwi. Dziwne. Nigdy bym tego o Polakach nie powiedział; żadna z konsultowanych przeze mnie osób również nie wymieniła tej cechy jako charakterystycznej dla Polaków.

Ciekawe, że czasami trudno jest w sposób jasny zakwalifikować jakąś cechę jako zaletę lub wadę. Na przykład sentymentalizm — wada to czy zaleta? Inne spostrzeżenie to fakt, że uzbierało się w tym spisie mniej więcej tyle wad, co i zalet, a więc jest jakaś „równowaga”. Zapewniam, że przy układaniu spisu był to zupełny przypadek. Inna uwaga — to fakt, że niektóre wady są wyraźnie odpowiednikiem, czy „drugą stroną” zalet. Jeśli więc prawdą jest, że „typowy Polak” jest uczuciowy i (w jakimś stopniu) sentymentalny, trudno się dziwić, iż wykazuje on brak pragmatyzmu i trzeźwości w ocenie rzeczywistości.

Na koniec trzeba podkreślić, że wszystkie te typowe polskie cechy mają oczywiście swoje kulturowe i historyczne wytłumaczenie czy „usprawiedliwienie”. Niemniej pozostają faktem, który w dużym stopniu charakteryzuje nasz naród.

Wielkanoc 1992

Jerzy BONIECKI

Sąsiedzi

Ukraina i sąsiedzi

Na skraju skweru przed parlamentem Krymscy Tatarzy rozbili namioty. Protestują przeciwko postponowaniu ich praw do półwyspu, który stał się przedmiotem konfliktu między Rosją i Ukrainą. Żądają zdecydowanej polityki Kijowa przeciwko apetytom Moskwy. Wymagają pomocy materialnej i prawnej w dziele repatriacji swych ziomków, zesłanych przez Stalina do Środkowej Azji. Rosja za czasów Gorbaczowa zobowiązała się do sfinansowania repatriacji. Dzisiaj demokracja Jelcyna nie chce o tym pamiętać. Przywódca Tatarów na Krymie, Dżemilew, widzi w tym zakulisową intrygę szowinistów rosyjskich. Borys Jelcyn nie chce najwidoczniej zadzierać z nimi. Ukraina zaś w okresie historycznych przemian jakby zrezygnowała z akcji na rzecz tatarskich sprzymierzeńców. Może Kijów nie chciał drażnić Rosjan, ludzając się perspektywą lojalności najsilniejszej grupy ludnościowej na półwyspie. Posiada ona wszystkie prawa organizacyjne i kulturalne. Dominacja Rosjan odbywa się kosztem Ukraińców i Tatarów, którzy nie mają nawet ułamka szkół i prasy obsadzonych Rosjanami. Finezja sytuacji polega na tym, że Rosjanie nie mogą zgłaszać do Krymu innych pretensji jak tylko i wyłącznie kolonialnych. Niedawno parlament rosyjski uchwalił rezolucję, że przekazanie Krymu Ukrainie przez Chruszczowa odbyło się w 1955 roku „nielegalnie”, bo zostało zatwierdzone tylko przez prezydium Rady Najwyższej, a nie na sesji plenarnej. Jest to chwyt wysoce nieuczciwy, gdyż wszystkie międzynarodowe układy w Związku Sowieckim w okresie stalinowskim i w latach następnych aż po *pieriestrojkę* podlegały takiej procedurze, włącznie z zaborem Wysp Kurylskich, Karelii i Prus Wschodnich. Orędownikom „legalności” według selektywnej miarki post-imperialnej w Moskwie wypomniał te grzechy profesor Harvardu, Roman Szporluk, lecz jak zwykle przy podobnych okolicznościach bez skutku.

Krawczuk przed wyborami prezydenta i plebiscytem w sprawie niepodległości przekonał większość przedstawicieli Rosjan na Krymie o celowości zachowania ścisłych związków z Ukrainą. Było to jednak w okresie politycznego trzęsienia ziemi w Rosji. Elita rosyjska na Krymie to stara nomenklatura komunistyczna. Prym wiodą dawni partyjni aparatczycy jak Bagrow, rosyjscy oficerowie marynarki, dawni kagebiści. Jest tam też swego rodzaju rezerwat najwyższej kolonialnej warstwy rozmaitych okresów. Emerytowani generałowie, sekretarze, dyrektorzy państwowych koncernów, zasłużeni członkowie Akademii Nauk, ich żony i konkubiny — wszystko to co roku prze na Krym, a wielu z tej „wierchuszki” posiada fuksem zdobyte dacje. Oficjalnie reżym bolszewicko-komunistyczny nikomu nie nadawał praw własności, utrzymując w ten sposób wszystkie słoje biurokracji w stałym strachu o utratę przywilejów.

Pod wpływem wzmagających się prądów wielkomocarstwowych w Moskwie ożywiły się antyukraińskie nastroje separatystyczne. Kijów próbował z początku załatwić sprawę polubownie drogą rozgraniczenia kompetencji między „kontynentem” i półwyspem. Jednak przywódcy separatystów grożą plebiscytem i secesją. Ukraina zaoferowała daleko idącą autonomię w ramach wspólnego państwa, oświadczając że secesja byłaby pogwałceniem konstytucji ukraińskiej. Kijów przypominał też o ogromnych inwestycjach, dokonanych z budżetu ukraińskiego od 1955 roku, które musiałyby być w wypadku secesji jakoś spłacone. Prawie jednocześnie władze ukraińskie porozumiały się z rządem Uzbekistanu w kwestii przyspieszenia repatriacji Tatarów Krymskich na ich rdzenne ziemie. Sprawę tę poparła mocno Turcja podczas niedawnej wizyty prezydenta Krawczuka w Ankarze.

Ale separatyści rosyjscy działają w przeciwnym kierunku. Utworzyli towarzystwo sprzedaży gruntów „Kondor”, które w ramach prywatyzacji oferuje za psie pieniądze działki wyłącznie dla klientów z Rosji. Konflikt trwa i jeśli dojdzie do secesji, to następnym aktem będzie chyba rozbiór półwyspu. Cała północ odejdzie prawdopodobnie do Ukrainy. Pozostały Krym będzie jednak zdany na łaskę i niełaskę Ukrainy, bo stamtąd otrzymuje wodę i elektryczność. A jak zareagują Tatarzy? Co powie cały świat muzułmański?

Niezupełnie, ale poważnie z kryzysem krymskim związany jest też spór o flotę czarnomorską. Ukraina postanowiła przejść do aktywnej polityki w basenie Morza Czarnego jako współgospodarz tego regionu i wspólnie z Turcją, Bułgarią i jeśli można z Gruzją i Rumunią położyć kres wojowniczej polityce rosyjskiej. W ten sposób skrzyżowały się dwie odmienne koncepcje odnośnie roli i funkcji floty czarnomorskiej. Rosja pragnie kontynuować swą odwieczną doktrynę imperialną, Ukraina tworzy

koncepcję współpracy pokojowej. Ale jest to tylko jeden element kontrowersji. Moskwa nie jest w stanie pogodzić się z myślą, że wraz z upadkiem imperium sowieckiego kończy się era hegemonii nad wybrzeżem ukraińskim. Przez dwieście lat urósł mit i dziś trudno znaleźć Rosjanina, który byłby wolny od kolonialnej utopii. Najgorzej ma się rzecz wśród całego korpusu oficerskiego w dowództwie marynarki wojennej na wybrzeżu Ukrainy. Jest to chyba najbardziej szowinistyczna grupa Rosjan, broniąca się przed uznaniem realiów postkolonialnych. Do żywego przypomina to postawę generałów francuskich w Algierze w okresie upadku kolonializmu Francji. Kijów nie wymaga natychmiastowego przejścia całej floty czarnomorskiej. Żąda tylko polubownego rozliczenia się i przemieszczenia kadry oficerskiej i marynarskiej według zasad narodowościowych. Większość wszystkich okrętów wojennych została zbudowana w stoczniach ukraińskich, za ukraińskie pieniądze i ukraińskimi rękami. Moskwa tego nie chce uznać, tak jak nie chce też oddać żadnemu z państw Wspólnoty nieruchomości za granicą. Dyplomacja ukraińska nie ma się gdzie usadowić, a Rosja uzurpuje sobie prawo do wszystkich budynków ambasad i przedstawicielstw handlowych dawnego Związku Sowieckiego. W samym Budapeszcie jest około trzydziestu takich domostw, a Ukraina musiała dla ambasad znaleźć przytułek w domu wydzierżawionym przez jakieś przedsiębiorstwo ukraińsko-węgierskie. A tak samo jest na całym świecie. W Kijowie na naradzie Wspólnoty ktoś z delegacji Turkiestanu rzucił Jelcynowi w twarz oskarżenie: „Byliście i jesteście największymi złodziejami na świecie”.

Nielepiej wygląda sprawa podziału zapasów złota, diamentów, walut. Nowy Kreml rosyjski wzdraga się nawet przed udzieleniem informacji na ten temat, podobnie jak w kwestii złóż i eksploatacji ropy. Wszystkie republiki łożyły na rozwój gospodarki naftowej ogromne fundusze, Ukraina chyba najwięcej. Szyby naftowe na północy to dzieło fachowców ukraińskich wyszkolonych w Borysławiu i Drohobyczu. Około pół miliona inżynierów i robotników sprawujących pieczę nad przemysłem naftowym w Rosji — to obywatele Ukrainy, głównie z Podkarpacia. To oni zawarli porozumienie z rządem ukraińskim w kwestii tworzenia spółek prywatnych. Teraz partnerzy czekają co z tego wyjdzie. Jeśli będzie kłapa i dojdzie do wojny celnej między Rosją a Ukrainą, Kijów będzie chyba musiał zaapelować do swych obywateli, aby opuścili miejsca pracy w rosyjskim przemyśle naftowym.

Na razie Ukraina próbuje się zabezpieczyć na wypadek rosyjskiego embargo naftowego. Cel ten przysięcał dwukrotnym wizytom ukraińskim w Teheranie. Iran jest tradycyjnym partnerem handlowym Ukrainy i stamtąd ma popłynąć nafta —

najpierw przy pomocy statków-cystern, potem przez rurociągi. W ogóle otwarcie Ukrainy najpierw nastąpiło na Wschód, do Indii, Iranu i Turcji.

Otwarcie na Zachód nastąpiło w trzech kierunkach: na Niemcy, Włochy i Amerykę. Z początku Kijów zagrał na fortepianie bawarskim, a to ze względu na partnerstwo z Monachium, rozpoczęte jeszcze przed niepodległością. Ale wnet się okazało, że bawarskimi szlakami trudno dotrzeć do Bonn, a sprawa była o tyle poważna, iż Niemcy zerkwały na Rosję. Były to następstwa starych ciągotek i nowszych prądów, związanych z wybujałym kultem Gorbaczowa i kompleksem wdzięczności za przyzwolenie Moskwy na zjednoczenie Niemiec. Ukrainie groziło, że pomoc niemiecka skupi się na Rosji. Tendencja ta zakrawała na okrutny paradoks historii, bo Ukraina poniosła wraz z Białorusią cały ciężar skutków inwazji Niemiec hitlerowskich. Jeśli Francja była salonem, Polska więzieniem, to Ukraina pod batem Ericha Kocho stała się piekłem okupacji. Za wyniszczenie milionów istnień ludzkich i za dwukrotne spalenie całego kraju podczas inwazji i odwrotu Ukraina nie otrzymała ani grosza odszkodowania. Dziś prawdopodobnie już za późno, aby choć symbolicznie wypłacić jakieś zasiłki dla niewielu żyjących ofiar bestialstwa. Krawczukowi, który dwukrotnie nieoficjalnie przebywał nad Renem, obiecano kredyty i pomoc w dziele usuwania skutków katastrofy czarnobylskiej, ale realizacja tych projektów bardzo się ślimaczy.

Oficjalna wizyta Krawczuka w Stanach Zjednoczonych miała bardziej globalny charakter, zwłaszcza w dziedzinie rozbrojenia nuklearnego. Ale i tam chodziło o konkurencję z Rosją, bo do niedawna wyglądało na to, że Bush wyraźnie stawia na Jelcyna. Rosja nie ma co prawda swojego etnicznego lobby w Waszyngtonie, ale ma mimo szalejącego w miastach rosyjskich antysemityzmu większość wpływowych Żydów amerykańskich po swojej stronie. Zresztą na rzecz Rosji działają dawne uproszczenia historyczne i geograficzne, wrzucające wszystkie narody do tego samego worka z napisem *Russia*. A ponieważ opanowane przez nacjonalistów ukraińskie elity polityczne nie mają najmniejszych kontaktów z wpływowymi politykami w Waszyngtonie i w poszczególnych Stanach, funkcję tę zastępczo wykonują naukowcy, na przykład z Harvardu tak wpływowe osobistości jak Zbigniew Brzeziński, Henry Kissinger czy Richard Pipes. W Kijowie nie ma w tej sprawie jasnego rozeznania, a w niektórych kołach, zwłaszcza w „Ruchu”, grasuje wciąż jeszcze mit wszechpotężnej emigracji.

Najważniejszą dziedziną akcji zagranicznej winny być stosunki z sąsiadami: z Polską, Białorusią, Węgrami, Czechosłowacją. Niestety sprawa ta kuleje. Początkowo były szumne deklaracje,

śmiecie zapowiedzi, a potem wszystko gdzieś utonęło. Tylko z Węgrami współpraca potoczyła się naprzód, natomiast z Mińskiem, Warszawą i Pragą niewiele dotychczas zdziałano. Ukraina wciąż jeszcze dreczcze w kółko i nie może znaleźć godnej współczesnych potrzeb i zadań koncepcji. Wiadomo, że jest to rzecz bardzo skomplikowana, bo z jednej strony istnieje — choć od początku kulejące — partnerstwo z byłymi republikami Związku Sowieckiego, z drugiej konieczność wyjścia z zaczarowanego kręgu tego pstrokatego towarzystwa bez zatrząskiwania furtki za sobą. Pod tym względem ubóstwo myśli politycznej, brak dalszego spojrzenia na przyszłość, odwagi w poszukiwaniu nowych dróg i horyzontów celem powołania nowych sojuszków bez czekania w kolejce na przyjęcie do grona bogatych w Brukseli na prawach ubogich i niechętnie widzianych krewnych przypomina do żywego ugory warszawskie. Boję się, że od dawna przygotowywany i dziś już gotowy do podpisania traktat polsko-ukraiński po krótkotrwałej euforii nad Dnieprem a może i nad Wisłą nie wpłynie na pokonanie obecnej gnuśności i braku wszelkiej wizji dla dwóch państw, które tylko razem mogłyby sobie zapewnić bezpieczeństwo wobec zagrożeń ze strony tradycyjnych przeciwników naszej niezawisłości.

Septycy — zwłaszcza po stronie polskiej — zwykli na takie pomysły patrzeć z przekąsem i machać ręką. Tak ongiś patrzono na plany Piłsudskiego, co po zwycięstwie doprowadziło do Pokoju Ryskiego, który w aspekcie historycznym niczego nie załatwił, a tylko odsunął kolejną katastrofę. Jeśli w naszym regionie między Bałtykiem a Morzem Czarnym nie znajdą się myśliciele na miarę Mieroszewskiego i nie natchną polityków do praktycznego działania, Polska, Białoruś, Ukraina i państwa bałtyckie mogą w przeciągu jednej generacji znaleźć się znowu w obliczu zagrożenia dzisiejszej niepodległości. Nie trzeba zapominać, że demokracja w nowej Rosji stoi na kruchych nogach, a idea rewanzu za utracone imperium zdobywa coraz więcej zwolenników. Jeśli więc tych sześć państw nie znajdzie wspólnej idei sojuszu gospodarczego i wojskowego, żadne trójkąty wyszehradzkie ani wspólnoty czarnomorskie im nie pomogą. Gdyby do takiej konfiguracji doszłusowały Węgry i Czechosłowacja, byłaby to poważna konfiguracja pomiędzy Niemcami i Rosją. A ponieważ Rosja będzie nadal mocarstwem nuklearnym, taka strefa bezatomowa obejmująca również Niemcy musiałaby otrzymać gwarancje nietykalności ze strony NATO.

Kijów, 10 maja

Bohdan OSADCZUK

„U nas tyle anarchii i rozgardiaszu”

WYWIAD Z IWANEM DRACZEM,
PRZEWODNICZĄCYM „RUCHU”

BOHDAN OSADCZUK: — *Niektórzy działacze polityczni i publicyści wyrażają obawy odnośnie silnej władzy prezydenckiej. Jak Pan się na to zapatruje?*

IWAN DRACZ: — U nas tyle anarchii i rozgardiaszu, że powstanie silnej władzy prezydenckiej na przykład w postaci przedstawicieli prezydenta jako personifikacji władzy wykonawczej jest po prostu nieodzowne. Szczególnie ważne jest to obecnie, na pierwszym etapie tworzenia naszej państwowości. Należy opanować zamęt i dokonać dzieła konsolidacji. Powtarzam: obecnie jest to dla nas konieczne.

B. O.: — *Gdyby porównać procesy destabilizacji i rozkładu pomiędzy Rosją i Ukrainą, jak by takie porównanie wypadło? Czy w ogóle te procesy są porównywalne?*

I. D.: — Myślę, że są to procesy niewspółmierne. Po pierwsze Rosja, to ogromny kraj, to imperium z różnymi etnicznymi krajami. A Ukraina mimo wszystko jest ograniczoną strukturą. Prawda, że Charkowszczyzna różni się od Bukowiny, a Zagłębie Donieckie od Wołynia, ale istnieje wspólnota. Dochodzi do tego jeszcze kwestia mentalności, a mentalność Ukraińca należy do typologii ludzi zorganizowanych, lubiących porządek, ład, którzy okresy bezładu przeżywają bardzo tragicznie. Osnową tej mentalności jest pojęcie dobra. Niedawno odwiedził mnie dawny kolega szkolny, który mieszka na wsi. Jest zatroskany sprawą zasiewów, pragnie uporządkowania prac rolnych. Albo niech Pan weźmie naszych robotników na polach naftowych na północy w Tjumeni. Oni naprawdę się troszczą o dobrą robotę i dojeżdżają systematycznie w tamte okolice. Ten generalny typ naszego obywatela buduje teraz państwo i wie, że tylko w ten sposób może sobie i innym zapewnić bezpieczeństwo. Otóż wydaje mi się, że jest to poważny sukces demokracji.

B. O.: — *We wszystkich postkomunistycznych krajach kultura, nauka i sztuka znajdują się w trudnej sytuacji. Jak i co Pana zdaniem należy czynić, aby tutaj, na Ukrainie, zapewnić materialną bazę rozwoju życia umysłowego?*

I. D.: — Oczywiście, że jesteśmy zaniepokojeni krytycznym stanem tej bazy. Wielu pisarzom, którzy byli prekursorami odrodzenia narodowego i demokratycznego, wiedzie się bardzo źle. Mimo wszystkich zbrodni, które popełniał system komunistyczny umiał on zorganizować materialną stronę działalności kulturalnej. Obecnie państwo tego nie wykonuje i nie może. Należy przede wszystkim odbiurokratyzować wszelkie związki twórcze. Nasz prezydent obiecał zrobić wszystko co będzie mógł, ale sytuacja budżetowa jest taka, że niewiele można oczekiwać. Dojdzie do redukcji na przykład w Związku Pisarzy, który był czymś w rodzaju ministerstwa literatury. Tam nie wszystko było złe. Jakby nie było, to właśnie w łonie tego Związku mogły powstawać i rozwijać się ruchy protestacyjne, jak „Ruch”, czy „Memoriał”.

B. O.: — *Jeszcze jedno pytanie, a mianowicie o stosunek do niedawnej przeszłości, kwestia odpowiedzialności za zbrodnie i represje, na przykład w sprawie poety Wasyla Stusa?*

I. D.: — Siedzimy z Panem w pomieszczeniach towarzystwa „Ukraina”. Kiedyś ta instytucja negocjowała fakt masowego głodu w 1933. Teraz tutaj gromadzi się materiały na ten temat w ramach przygotowań do Kongresu poświęconego rocznicy tej zbrodni. Kongres odbędzie się w przyszłym roku. Należałoby jednak stworzyć trybunał w tej sprawie. My o tym nie zapominamy. Wasyl Stus jest symbolem zniszczenia całego pokolenia. Prześladowany pisarz Iwan Switłyucznyj dogorywa teraz w strasznych mękach. Właściwie to było zadaniem takiej organizacji jak „Memoriał”, ale tam, jak gdzie indziej są tarcia, animozje, rozmaite tendencje. Z drugiej strony należy sobie powiedzieć całą prawdę. Kiedyśmy zbliżali się do referendum i wyborów pierwszego grudnia, postanowiliśmy zachować na jakiś czas zawieszenie broni. Nie chcieliśmy rozkręcania emocji w kwestii pociągnięcia do odpowiedzialności. Dobre wyniki referendum były głównym celem, a to wymagało spokoju społecznego. Cel ten został osiągnięty. Ale kwestii winy i kary nie wolno zapomnieć. A więc musimy się zabrać i do tego dzieła. Tylko, że sił nie wystarczy na wszystko.

Iwan Dracz, poeta, autor zbiorów „Soniasznyk”, „Smert Szewczenki”, „Talińskie lito”, „Protuberencji serca”, „Czarnobylska madonna”; działacz polityczny, przewodniczący „Ruchu”.

Musimy budować demokrację od początku

ROZMOWA Z KIJOWSKIM FILOZOFEM
MYROŚLAWEM POPOWYCZEM

BOHDAN OSADCZUK: — *Jak Pan ocenia aktualną sytuację polityczną na Ukrainie?*

MYROŚLAW POPOWYCZ: — Zaczę od spraw gospodarczych, bo właśnie gospodarka ciąży nad polityką. Myślę, że sytuacja jest bardzo niepokojąca. Ukraina nie ma bankowości. Nie uchwalono dotychczas budżetu. Nie ma też jasnej koncepcji ekonomicznej. Stwarza to bardzo niebezpieczne stosunki. Prawdę mówiąc, to my nie wiemy jaką koncepcję ma prezydent państwa. A to rzutuje na całokształt zagadnień i świadczy o naszych słabościach. Jeśli porównamy platformy wszystkich politycznych sił, to one wszystkie nieomalże niczym się nie różnią między sobą. Programy politycznych partii są niejasne. Nie wiadomo, co te partie pragną oferować społeczeństwu, co za nimi stoi jako konkretna społeczna baza, jaki reprezentują potencjał intelektualny, który byłby w stanie sformułować koncepcje dla rozwiązań węzłowych kwestii gospodarczych. Na pewno sytuacja na Ukrainie jest lepsza niż w Rosji, ale w rosyjskiej gospodarce coś się dzieje, ona dość energicznie i zdaje się, że prawidłowo realizuje ekonomiczne reformy, a my drepczemy wciąż na tym samym miejscu. Euforia, która ogarnęła umysły społeczeństwa ukraińskiego powinna była już dawno rozplynąć się, ustępując miejsca nie sprawie niepodległości, bo niepodległość już istnieje, ale zastanowieniu się co z nią począć.

To co obecnie robi prezydent Krawczuk wydaje mi się korzystne i ja, mimo że jestem demokratą i liberałem, nie osądzam jego reformy administracyjnej. System namiestników jest z punktu widzenia demokracji zachodnio-europejskiej niemożliwy, ale na Zachodzie nie orientują się, że my nie mamy żadnego systemu politycznego. Władza sowiecka była czystą dekoracją, a prawdziwa władza opierała się na strachu przed utratą komunistycznej legitymacji partyjnej wśród większości tych, którzy pracowali dla systemu i na strachu tych, którzy bali się, że ktoś po nich przyjdzie o czwartej nad ranem i nikt ich już nigdy nie zobaczy. A kiedy ten strach pęka, wówczas cały system się rozpa-

da. Ten system absolutnie nie jest w stanie dalej pracować. Wszystko przemienia się w bazar lub w pseudo-parlament w najgorszym wydaniu tej instytucji.

Dlatego musimy budować demokrację od początków. Można to robić według takiej czy innej recepty. Można zrobić jeszcze jeden krok i zrujnować władzę kompletnie, ponieważ nosi ona na sobie piętno komunizmu. Ale można to zadanie rozwiązać drogą reformy z góry, jak to usiłuje zrobić prezydent przy pomocy instytucji namiestników. Ale będąc osobą ostrożną, a może też w obliczu trudności na wyższych piętach hierarchii, prezydent Krawczuk dotychczas nie przedstawił w sposób jasny swojej platformy ekonomicznej. Możemy jedynie snuć domysły w którym kierunku te reformy pójść na podstawie podejmowanych przez prezydenta decyzji personalnych. Wiemy, że osoba Łanowego — to kurs na gospodarkę rynkową, a osoba Jemeljanowa — to raczej kurs na autarkiczną politykę gospodarczą. I stąd wynikają te wszystkie akcje polityczne, które obecnie obserwujemy. A do tego należy przede wszystkim rozkład narodowego ruchu — zjawisko w pełni normalne po zdobyciu niepodległości.

B.O.: — *No właśnie, na 3-cim Kongresie „Ruchu” zawisła groźba rozłamu. Wprowadzono triumwirat. Jak Pan widzi ewolucję w tej organizacji?*

M.P.: — „Ruch” pozostaje nadal jedną z najbardziej wpływowych sił politycznych. I nie zważając, że popularność jego maleje, tych 25% głosów, które otrzymał Władysław Czornowił, kandydat „Ruchu” w wyborach prezydenckich, to nie były wyłącznie głosy zwolenników tej organizacji. Dużo ludzi głosowało przeciwko kandydaturze Krawczuka. I ci głosowali na Czornowoła, ale ich przynależność grupowa była bardzo pstra. Ilość zwolenników „Ruchu” w społeczeństwie oscyluje gdzieś pomiędzy 13 a 15% a nie jak to mylnie twierdzą niektórzy, że ankiety wykazały 36% zwolenników. W rzeczywistości chodziło w danym wypadku o ilość tych obywateli, którzy dali pozytywną ocenę skutków działalności „Ruchu”. Zresztą tyle samo ankietowanych ocenia tę działalność negatywnie, i prawie trzecia część zajmuje pozycję nieokreśloną. Tak w przybliżeniu wyglądają obecnie wpływy „Ruchu”. Jego frakcja w parlamencie nie jest najsilniejsza. Miejsce to zajęła frakcja „Nowej Ukrainy”. Ale „Ruch” może zorganizować masową demonstrację uliczną, czego inne organizacje zrobić nie potrafią.

B.O.: — *Wydaje się, że prezydent Krawczuk chciałby się oprzeć właśnie na „Ruchu”... Jakie przesłanki istnieją ku temu?*

M. P.: — Myślę, że taki zamysł polega nie na tym — jak niektórzy przypuszczają — iż „Ruch” mógłby zastąpić jako sterująca i kierująca siła miejsce dawnej partii komunistycznej, a raczej chodzi o to, aby organizację jako niebezpieczną siłę opozycyjną zneutralizować. Tylko „Ruch” mógłby w pewnej mierze pokrzyżować plany prezydenta — jeden z obecnych przywódców organizacji, Czornowił, był przecież jego konkurentem w wyborach na prezydenta. Czornowił mógłby wypłynąć znowu jako kandydat w następnych wyborach, a życie polityczne toczy się wartkim trybem i w przyszłości mogą się wydarzyć rozmaite niespodzianki. Obecnie wylania się problem, jaki program może przedstawić opozycja. Dzisiejsze układy to raczej psychologiczne zjawiska a nie polityczne realia. Moim zdaniem „Ruch” znajduje się w stanie głębokiego kryzysu, bo w normalnym państwie z samodzielną gospodarką nacjonalizm — to nonsens. Nacjonalizm jako element życia politycznego jest zazwyczaj przejawem konserwatyzmu. Jest to jakiś apel do wartości czerpanych z przeszłości. Konserwatyzm — to arystokracja ducha, a my tego nie mamy. Mamy lewicowych konserwatystów w postaci Socjalistycznej Partii Ukrainy z byłych komunistów. To dziwoląg polityczny, jak wszędzie pośród dawnych komunistów na świecie. Partia Republikańska — to pravicowi radykałowie. U nas jest dzika sytuacja. My dopiero zaczynamy się organizować w sensie europejskiej politycznej scenografii. Ale do celu jeszcze daleka droga. Polityczny środek już istnieje, składa się on z Partii Demokratycznego Odrodzenia Ukrainy i Nowej Ukrainy. To Centrum pewnego dnia rozbije się na socjaldemokratów i liberałów, ale na razie jest to obóz centrowy. A gdzie lewica i prawica — to kwestia przyszłości.

Myrośław Popowycz, prezydent Ukraińskiego Towarzystwa Filozoficznego, autor pracy *Nacjonalna kultura i kultura nacji*.

Idźmy razem

OŚWIADCZENIE

Wszystko co nas w historii łączyło — nie tylko idee Piłsudskiego i Petlury, ale i działalność dawniejszych polityków jak na przykład Adama Kisiela — winno nam przyświecać dzisiaj. Wiemy, że dawna Rzeczpospolita popełniła wiele pomyłek nie do-

ceniając wartości Ukrainy jako sojusznika. Ale mimo tego co jakiś czas powraca u nas przekonanie, że winniśmy iść razem z Polską, bo Polska dla nas — to Europa. Orientacja na Wschód była zgubna dla Ukrainy. Musimy się uczyć na naszych błędach, wyciągać je na powierzchnię, bo chcemy iść z Polską i poprzez Polskę do Europy. Musimy wytworzyć w naszych społeczeństwach świadomość tego, że tylko wspólny kurs naszych państw może zapewnić nam bezpieczeństwo. A jeśli taki kurs stracimy z pola widzenia, wówczas utracimy razem i każdy z osobna bardzo wiele. Kiedyś Szewczenko przestrzegał aby się nie chwalić że i myśmy się przyczynili do upadku Polski, bo Polska upadła, ale i nas przygniotła. I gdyby pewnego dnia upadła niepodległa Ukraina, to i wolna Polska długo by się nie ostała. A gdyby upadła Polska, wówczas Ukraina byłaby śmiertelnie zagrożona. Dlatego weźmy się wspólnie za ręce i idźmy razem ku Europie.

Kijów, w maju 1992

Dymytro PAWŁYCZKO
przewodniczący komisji zagranicznej parlamentu

W sowieckiej prasie

W pewnej starej sztuce o rewolucji i wojnie domowej odeski bandyta trafnie zauważa, że każdy chciałby być Napoleonem. On sam — dodaje — gotów jest zostać Muratem. Patrząc na rewolucyjne wstrząsy naszych czasów, i ja stwierdzam, że nikt nie chce być Muratem, natomiast chętnych do roli Napoleona jest mrowie. W ubiegłym miesiącu opisywałem, jak prezydent Rosji walczy o władzę ze zjazdem deputowanych ludowych (niedorzecznym zbiorem 1060-ciu posłów, wybranych jeszcze za czasów komunizmu). Zjazd wówczas jeszcze trwał. Zakończył się pozornym kompromisem. Borys Jelcyn nie rozpisał referendum, które mogłoby rozwiązać parlament, ale deputowani nie przestali buntować się przeciwko reformom rządu. Na początku maja prezydent udał się w podróż po miastach północnej Rosji, gdzie zapowiedział, że zorganizuje referendum, ponieważ na całym świecie nie ma niczego takiego, jak rosyjski zjazd deputowanych. Nie mogą publicznie użyć epitetu, na jaki zasługuje ten zjazd — rzekł do robotników, którzy odpowiedzieli pełnym aprobaty śmiechem.

Prezydent pragnie być Napoleonem, to nie ulega kwestii. Jego koledzy — w Polsce, a nawet w Czechosłowacji — też domagają się

nieograniczonych uprawnień. Tron cesarski marzy się przewodniczącemu Rady Najwyższej Rosji i burmistrzom Moskwy i Petersburga. Tradycyjnych pretendentów do władzy — z szeregów biurokratów — jest z dnia na dzień więcej. Na samym szczycie plasują się aparaty prezydenta i rządowy. Ponadto istnieje kancelaria prezydenckiej Rady Konsultacyjnej i grupa doradców prezydenta. Pretendują rzecz jasna ministrowie. Akademik Stanisław Szatalin, prezes fundacji pod nazwą „Reforma” oraz pierwszy wiceprezes fundacji Stanisław Assekitow napisali niedawno artykuł, w którym ubolewali nad tym, że z braku decentralizacji i rozwoju stosunków rynkowych liczba pracowników ministerstwa bezustannie rośnie. W rosyjskich ministerstwach, których funkcje bardzo ograniczono, pracuje dziś więcej urzędników aniżeli w ministerstwach ZSSR przed reformami. Autorzy artykułu zapomnieli najwidoczniej o Parkinsonie, którego prawo wspaniale potwierdza się w Rosji. Prawie pół wieku temu Parkinson sporządził wykres, z którego niezłomie wynikało, że liczba urzędników w brytyjskim ministerstwie kolonii wzrasta lawinowo w miarę dekolonizacji. Im mniej kolonii, tym więcej urzędników.

Wszystko to są tradycyjne ogniwa władzy, które pragną ją poszerzyć, bo wiadomo, że jeśli władza nie wzrasta, to maleje. Rośnie jednak również liczba nie-tradycyjnych pretendentów do rządzenia. W ubiegłym miesiącu pisałem o grupach nacisku. Dziś mogę dorzucić do nich organizację, której zasięg i rozmach każą traktować ją poważnie. Wszystko zaczęło się 4 lutego 1992 r. W jednej z moskiewskich fabryk zebrała się grupa dyrektorów przedsiębiorstw i przewodniczących tzw. kolektywów roboczych. Ostro potępili obecną politykę rządu i postanowili przejść do opozycji. Ludzie byli rzeczowi: co postanowili, to uczynili. Uczestnicy zebrania ukonstytuowali się w stały organ, a do kierowania jego codzienną pracą wybrali radę koordynacyjną. Opozycjoniści zabrali się do tworzenia gęstej sieci terenowych organów w krajach, obwodach i miastach Rosji, m.in. w Moskwie i Petersburgu. Każda taka organizacja ma własną radę koordynacyjną, której prezes należy do nadrzędnej, tzn. republikańskiej instancji. W ten sposób powstaje potężna organizacja, która zamierza — taki jest jej program — ująć w swe ręce całą gospodarkę kraju.

W tej historii jest niemało dziwnych elementów. Można zrozumieć, że producenci chcą zarządzać gospodarką. Można zrozumieć, że organizatorem lutowego zebrania był były dyrektor jednej z największych „fabryk obronnych”, tzn. fabryki zbrojeniowej, Jurij Skokow. Trudniej zrozumieć fakt, że jest on zarazem bezspornym przywódcą antyrynkowego *lobby* i sekretarzem Rady Bezpieczeństwa przy Borysie Jelcynie. Wśród organizatorów zebrania figurują i inne osoby z najwyższych kręgów władzy, w tym przewodniczący Najwyższej Rady Ekonomicznej przy Radzie Najwyższej Rosji, Władimir Isprawnikow, oraz doradca do spraw konwersji ekonomicznej, Michaił Malej.

Latem 1991 r. Jurij Skokow uczestniczył w kampanii wyborczej

Jelcyna. Przemawiając do dyrektorów fabryk w Tule powiedział: dla zwykłych ludzi Borys Nikołajewicz jest ostatnią nadzieją, dlatego „nieważne, co rzeczywiście potrafi zrobić”. Bieda w tym, że otoczony jest „tymi ludźmi, którymi jest otoczony” (*Komsomolskaja prawda* z 29.4.92). To zrozumiałe. Jurij Skokow walczył o władzę, tzn. o to, by znaleźć się w pobliżu prezydenta. Dopiął swego i jest dziś jednym z kandydatów na premiera. Pozostaje pytanie, dlaczego prezydent nie sprzeciwia się — a może sprzyja — powstaniu alternatywnej instancji władzy państwowej lub też gabinetu cieni, którego poglądy różnią się zasadniczo od programu rządowego.

Ale to nie wszystko. Dopóki trwa na szczytach walka o władzę, prawdziwa, potężna władza wyrosła jeśli nie w „dołach”, to na pewno „z boku”. W Moskwie istnieje, jak wiadomo, wiele organów władzy: burmistrz, przewodniczący rady miejskiej, prefekci, rady rejonowe, przedstawiciele burmistrza itd. Najbardziej jednak boją się w Moskwie czeczeńskiej mafii. Wielkiemu artykułowi na ten temat w *Komsomolskiej prawdzie* (25.4.92) towarzyszy mapa miasta, na której zaznaczone są punkty, które kontrolują Czeczeńcy. Jest ich siedemnaście: hotele, restauracje, kawiarnie itp. Eksperci naliczyli 140 przedsiębiorstw, spółdzielni i małych stołecznych fabryk, które pracują dla czeczeńskiej mafii. Kontroluje ona w ten sposób wielomiliardowe majątki. Jedną z właściwości tej mafii jest fakt, że związana jest ona z niezależną Republiką Czeczeńską, do której posyła pieniądze i z której rekrutuje ludzi. Przy niedawnym kryzysie między prezydentem Czeczenii Dżoharem Dudajewem a Moskwą (Czeczenia formalnie należy do Federacji Rosyjskiej) z Groźnego nadesłano do Moskwy ostrzeżenie: albo nas zostawicie w spokoju, albo my obrócimy Moskwę w strefę nędzy. Sądząc po komentarzu przedstawiciela ministerstwa bezpieczeństwa Rosji — nie jest to czcza pogroźka. Komentarz podkreśla zalety bojowe mafii czeczeńskiej: „świetna organizacja dobrze uzbrojonych formacji wojskowych... które zajmują szczególną pozycję w moskiewskim świecie przestępczym dzięki dyscyplinie, solidarności, surowej hierarchii...” Ze słów tych bije głęboka tęsknota za „dyscypliną, solidarnością, organizacją...”

Równoległe ośrodki władzy rozkwitają i krzepną w miarę jak słabną tradycyjne jej instancje. Zresztą o ich osłabieniu należy mówić ostrożnie, bo może to być zewnętrzny objaw głębokich przekształceń wewnętrznych. Mam na myśli przede wszystkim polityczną i wojsko. KGB przeszło niemal całkowicie pod skrzydła KGB Rosji, zwanego KGBR. Organy, których morderczy żywot zaczął się w 1917 roku, przeszły już wiele przemian: z WCzK w GPU, z GPU w NKWD, z NKWD w KGB. Czy litera „R” zmieni coś w charakterze Komitetu Bezpieczeństwa, pokaże najbliższa przyszłość.

Na początek mają Borys Jelcyn wydał dekret o utworzeniu armii rosyjskiej. Znaczy to, że wszystkie inne republiki też zechcą mieć własne wojsko. Na razie jednak istnieje jeszcze armia WNP, która stanie się armią rosyjską. To w każdym razie zapowiada gene-

rał-pułkownik Jewgienij Timochin, naczelnik GRU, w wywiadzie dla *Krasnoj zwiezdy* (29.4.1992). Jest to bodaj pierwszy wywiad szefa wywiadu wojskowego WNP. Generał przyznaje, że musi rozmawiać z dziennikarzami, bo wszyscy i tak wiedzą o istnieniu GRU, odkąd w jednym z kwartalników ukazała się powieść Wiktora Suworowa „Akwarium”. Znaczna część wywiadu poświęcona jest zresztą Suworowowi, o którym generał „wie wszystko”: zna jego prawdziwe nazwisko (Władimir Bogdanowicz Rezun) i jego życiorys. Nazywa go co prawda majorem, gdy sam pisarz twierdzi, że osiągnął stopień kapitana. Być może nie wie, że awansował? Najciekawszy element wywiadu stanowi jednak co innego. Generał-pułkownik Timochin jest przekonany, że GRU przetrwa w obecnej postaci nawet jeśli Wspólnota Niezależnych Państw skaże go na długi żywot. Nie widzi np. żadnej możliwości, aby część środków przeszła we władanie Ukrainy: „Wówczas rozpadłby się cały system, a przekazana byłej republice część sama w sobie, wyrwana z całości, niczego nie da... Natomiast zachowane w całości GRU może dostarczyć informacji suwerennym państwom i kształcić dla nich specjalistów”. Idąc w ślad za rozumowaniem generała, GRU mogłoby przygotowywać informacje i specjalistów dla wszystkich suwerennych państw świata, a nie tylko dla byłych sowieckich republik. Jeżeli nawet Timochin nie ma takich planów, artykuł nosi tytuł „GRU: z tego gmachu widać cały świat...”

Generał wspomina o WNP, bo Wspólnota istnieje. Wszyscy potrzebują rubli, a ruble drukuje Moskwa. Działają — coraz gorzej, ale działają — kanały ekonomiczne, koleje itd. Muszą więc też istnieć wspólne kłopoty. Niepokoją one ludzi oczywiście mniej aniżeli własne, bliskie ciała zmartwienia — ale przecież niepokoją. Wśród pytań, które zadają sobie niektórzy eks-komunistyczni politolodzy, poczesne miejsce zajmuje zagadnienie, czy krajom WNP grozi islamizacja. Innymi słowy: jaka przyszłość czeka byłe sowieckie republiki muzułmańskie? Niedawne zdarzenia w Tadżykistanie spowodowały, że kwestia ta trafiła na pierwsze strony gazet.

Jeszcze niadawno modna była koncepcja, że imperium sowieckie rozpadnie się pod naporem muzułmanów. Specjaliści analizowali rosnące wpływy islamu, demografii itd. Stało się inaczej: bractwa sufickie, gwałtowny przyrost ludności i bezrobocie nie zmieniły faktu, że republiki muzułmańskie po zdobyciu niepodległości utrzymały poprzednie rządy. Mówiąc ściślej, byli władcy przemalowali się lekko na zielony kolor Proroka i pozostali u steru. Tylko w Tadżykistanie uformowała się wpływowa partia muzułmańska. Na początku maja próbowała obalić prezydenta republiki, Rachmona Nabijewa.

Przez wiele lat złotej ery breżniewowskiego „woluntaryzmu” Nabijew był pierwszym sekretarzem KC tadżyckiej partii komunistycznej, czyli panem republiki. Kiedy zaczęły się gorbaczowowskie rozgrywki w aparacie, Nabijewa usunięto. Ale nadszedł czas demokracji i Nabijewowi udało się wygrać powszechne wybory i zostać

prezydentem republiki. Zarzucano mu, że sfałszował wyniki, ale o którym ze zwycięzców tego nie mówiono? Tak czy owak trzeba przyznać, że Rachmon Nabijew pozostał wierny sobie i zalegalizował ponownie partię komunistyczną, zdelegalizowaną po puczu. Tadżykistan był jedyną byłą republiką sowiecką, w której partia komunistyczna była legalna.

Ruch przeciwko Nabijewowi — demonstracje i zbrojne starcia w stolicy Duszanbe (dawniej Stalinabad) — zmusiły prezydenta do opuszczenia miasta. Szybko jednak zawarł pakt z opozycją i wrócił. Główną rolę w negocjacjach — kształt stołu nieznanego — odegrał duchowy przywódca Tadżyków, Achbar Turandżonzadze. Utworzono rząd koalicyjny; prezydent — ze znacznie zmniejszonymi prerogatywami — pozostał na stanowisku. Wydarzenia w Tadżykistanie są ciekawe dlatego, że w odróżnieniu od przeważającej większości innych muzułmańskich republik żyją tam szyici, mówiący po persku. Republika ta ma długą granicę z Afganistanem, gdzie mieszka niemało Tadżyków (Ahmed szach Masud jest Tadżykiem). Mimo to rewolucji muzułmańskiej nie było.

Wiadomo dobrze, z czego czerpie soki muzułmański fundamentalizm: z pustki duchowej po rozpadzie imperium i porażki ideologii komunistycznej, z kryzysu ekonomicznego, z aktywnej propagandy Iranu. Mimo to do dzisiejszego dnia ważniejsze okazują się inne elementy: owoce ateistycznego wychowania, świecki styl życia (oczywiście głównie w miastach), istnienie elity, która sprawuje władzę i rozumie, że zwycięstwo fundamentalistów stanie się jej klęską, oraz szczególnie charakter społeczeństwa muzułmańskiego, w którym więzy klanowe mają pierwszorzędne znaczenie. Np. Nabijew jest bardzo popularny w Chodżencie (północny obwód Tadżykistanu), z którego pochodzi. W czasie rozruchów w Duszanbe Chodżent zagroził secesją. Wreszcie owocna okazuje się genialna polityka Stalina: we wszystkich środkowoazjatyckich republikach (kaukaskich i innych) żyją narody, które nie należą do panującej nacji. Dlatego też wszędzie władzy zależy na stabilności. Wyobraźmy sobie sytuację w Polsce, gdyby na domiar wszystkiego miała jeszcze martwić się o Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Niemców i Czechów, żyjących na jej terytorium.

Wreszcie odgrywają rolę czynniki zewnętrzne. O wpływy w Azji środkowej i na Kaukazie walczą dwa państwa: muzułmański Iran i świecka Turcja. Prezydenci Armenii i Azerbejdżanu podpisali układ w Teheranie, w obecności prezydenta Rafsandżaniego. Układ natychmiast złamano, ale wybór miejsca spotkania dwóch przeciwników był znamienity. Prezydent Turcji Sulejman Demirel odbył w maju podróż po muzułmańskich republikach Uzbekistanie, Kirgistanie, Turkmenistanie, Kazachstanie i Azerbejdżanie. Nie zajeżdżał do Tadżykistanu, bo tam właśnie zaczęły się zamieszki. Gość mówił o „tureckim świecie od Adriatyku do muru chińskiego”. Jego słowa wiernie odzwierciedlają rzeczywistość. 95% ludności muzułmańskich republik WNP mówi językami grupy tureckiej i nawzajem się rozu-

mie. Demirel zaliczył do nich też Bośniaków, co pozwoliło mu mówić o Adriatyku.

Sieć telefoniczna Azerbejdżanu związana jest dziś z siecią turecką. Sześć tysięcy studentów dostanie w przyszłym roku tureckie stypendia. W każdej szkole uczniowie będą uczyć się tureckiego. I to w Azerbejdżanie, w którym żyją szyci (ogromną większość byłych sowieckich muzułmanów stanowią sunnici oraz Turcy). Pokrewieństwo narodowe i językowe okazuje się ważniejsze od religijnego.

Na samym początku lat 20-tych narodziła się idea panturecka, która wzywała do zjednoczenia wszystkich turekojęzycznych narodów. Jeden z piewców panturkizmu, Enver Pasza, w swoim czasie przywódca młodoturków, wygnany przez Atatürka, znalazł schronienie w sowieckiej republice. W 1920 r. wystąpił w Baku na zjeździe narodów Wschodu, gdzie wezwał do świętej wojny przeciwko imperialistom brytyjskim w sojuszu z komunistami. Później rozczarował się do Moskwy, uczestniczył w ruchu basmaczów i zginął w walce. Wydawało się, że idea pan-turkizmu upadła. Dziś wypływa znów na powierzchnię, podobnie jak wiele innych starych idei.

Stare idee — nie po raz pierwszy to widać — nie umierają. 1-go maja na Placu Czerwonym demonstrowali — niezbyt licznie — starzy komuniści. Nad głowami nieśli portrety Stalina. Przedefilowali jednak nie przed portretami członków Biura Politycznego, lecz przed ogromnym plakatem, zachęcającym mieszkańców WNP do spędzenia urlopu na Wyspach Kanaryjskich. Czyż myśl, aby uciec od rzeczywistości (niegdyś sowieckiej, dziś eks-sowieckiej) na Wyspy Kanaryjskie albo do innego rajskiego zakątka nie jest również starą ideą?

10.5.1992

Adam KRUCZEK

Kronika kulturalna

Nieznany fragment z Dziennika*

Sobota

Nagle, we wtorek o 1-ej po północy, wywaliłem z szafy stopy listów z dwunastu ubiegłych lat. Zacząłem porządkować. Cała noc na tym mi zeszła.

Listy i listy. Nazwiska zapomniane, fakty zamglone, osoby zwietrzałe, sytuacje przebrzmiałe — korespondencja — grzebię się w tej materii, która wciąż żywa, ale umierająca, oddalająca się, z każdą chwilą bardziej przeszła, zaprzeszła. Nic tak nie oszałamia mnie, nie upija, jak moje życie, ta otchłań która mnie stwarza. Popeliłem wielki błąd, nie zapisując mego życia godzina za godziną, minuta za minutą. Czyż jednak można ogarnąć ten bezmiar chwil? Przyszłość jest tajemnicą, przeszłość jest chaosem.

Kupiłem segregatory i nadziewałem je listami, w porządku alfabetycznym. Abel, Accion Bancaria, Alvarez, Angelini, Arciszewski... Cztery wieczory zajęła mi ta robota. Nie raz, nie dwa, wyczerpany, chciałem to rzucić — po co, na co, tyle pilniejszych spraw! Wychodziłem z mieszkania, żeby coś zjeść — i jadłem, udreńczony nagłym zmartwychwstaniem pana Casanovas, który pisał do mnie w r. 1944 w związku z moją wizytą u B. Kirssena... która to wizyta, który to Kirssen, zatarły się, utończyły, szczyły...

* Zamieszczamy fragment „Dziennika” Witolda Gombrowicza odnaleziony w naszym archiwum. Był on napisany w 1956 r. i po wydrukowaniu go w *Kulturze* miał być włączony do 1-go tomu „Dziennika” (1953–1956). Ponieważ w owym czasie w *Kulturze* się nie ukazał, Gombrowicz go z tomu I wycofał i najwidoczniej o nim zapomniał.

Niedziela

Opowiedziałem wam kiedyś moje lata wojenne w Argentynie i ich objawienia. Przypominacie sobie — to było moje wtajemniczenie w Retiro i zawalenie się moje w młodość, która stała mi się jedyną wartością życia... destrukcyjną. Te wspomnienia doprowadziłem do roku 1947-go, kiedy to ukazała się po hiszpańsku „Ferdurdurke” — data rzeczywiście przełomowa, gdyż oznacza powrót mój z otchłani w normalny wymiar świata.

Teraz chciałbym przekazać sens lat następnych — pragnąłbym, aby stopniowo cała historia mojego życia stała się znana. W mojej interpretacji. Gdyby historia mogła obyć się bez interpretacji, dałbym ją *in crudo* — same gołe fakty. Ale przecież trzeba dokonać wyboru, odróżnić co ważne, twórcze, od tego co nieważne i jałowe — i to tym bardziej, że jeszcze nie umarłem, że żyję i przyszłość przede mną, że muszę skonstruować sobie przeszłość, aby ona mi przyszłość wyznaczyła. „Cóż kogo obchodzą pańskie przygody?” — ach, to mi już powiedziano i nie raz. Ubolewam. Nic na to nie mogę poradzić. Cóż byście powiedzieli, gdybym, przebywając w Buenos Aires, przysyłał wam korespondencje na przykład z Pekinu? Powiedzielibyście, że to nabieranie gości. Więc — najmocniej przepraszam — mieszkam w sobie i tylko stąd, z siebie, mogę do was się odzywać.

A zatem — przypominam — w kwietniu 1947-go ukazała się w Argentynie „Ferdurdurke”, my zaś — mam na myśli grono literatów, którzy wiele wysiłku włożyli w jej przekład i których ta praca zespoliła — przystąpiliśmy do organizowania batalii w prasie. „Niewątpliwie — pisał z przekąsem popularny dziennik tutejszy *Critica* — grupa pisarzy, która z hukiem lansowała 'Ferdurdurke' dąży do wywołaniu skandalu”. Tak, niewątpliwie. Żywiliśmy złudzenia, że książka rozjuszy południowoamerykańską krowę, przemieniając ją we wspaniałego byka. Daliśmy się uwieść pozorom, zapomnieliśmy, że za miastem, które ogromem nie ustępuje Paryżowi, zaczyna się bezkresna senność pampy, spokój nieruchomy, vegetacja... Ja czułem się dziwnie, jakbym brał udział w przedstawieniu. Wygłosiłem *speech* przez radio, udzieliłem wywiadów, organizowałem dla siebie bankiet — ale wszystko było niepoważne, zatrute kpiącym duchem książki, zabawa wciąż wchodziła nam w paradę, byliśmy jak dzieci. A moje finanse stawały się coraz bardziej dziurawe, trochę tych pezów, które kapaniną spływały z książki, natychmiast wsiąkało gdzieś bez śladu.

Byłem wtedy podzielony równo między literaturę a Panbłażeństwo. Znowu byłem pisarzem. Nie dlatego, że organizowałem

bankiet, lecz dlatego że, podniecony „Ferdurdurką”, ślecząłem po nocach nad nowym utworem, dramatem „Ślub”, który był pierwszym moim dziełem powojennym — w którym jednakże powaga i niepowaga znowu splatały się nierozdzielnie. Gdyż byłem dość niepoważny, aby zaproponować sobie napisanie dramatu w najwyższym stylu, „genialnego”, metafizycznego, epokowego, jakbym co najmniej był Goethem. Ale byłem dość poważny, aby zrozumieć, że niepowaga moja może być wyzyskana aby przekroczyć granice, których inaczej nie ośmieliłbym się pogwałcić. Dziecko nieraz bywa śmielsze od dorosłego... Znowu ta moja *idée fixe*, że, będąc związany z Retiro, będąc w młodości poza kulturą, mogę zdziałać w kulturze więcej niż tamci... dorośli; że na dzień każdej śmiałości, a zatem każdej wielkości, ukrywa się nie-dojrzałość i nieodpowiedzialność, że sztuka, że kultura są bardziej zabawą niżby się mogło zdawać. I myślałem, że przerzucając sedno mojego dramatu ze starcia osób na starcie człowieka z jego formą, zdołam wyzwolić siły potężne i stuprocentowo teatralne. Pisząc „Ślub”, byłem więc w dalszym ciągu nihilistą, zupełnie jakbym nadal błąkał się po Retiro; ale nie byłem już nihilistą o tyle, że (jak niegdyś przy pisaniu „Ferdurdurke”) usiłowałem zagospodarować moją niepowagę i podchodziłem do mej anarchii z zimną premedytacją producenta.

Więc jednak, powoli, wracałem do cywilizacji. Mniej dziki byłem, mniej zdziaczały tamtą nieustępliwą obecnością Retiro. Ale ten rok tak bogaty, 1947, zaznaczył się także tym, iż wtedy zaczęły się krystalizować moje uczucia wobec ojczyzny — i o tym zamierzam nieco się rozpisać, żeby mnie lepiej rozumiano. Wtedy — byłem anarchią. Dziś — jestem o wiele bliższy Polsce, już prawie jestem w niej, jako jej część składowa, i prawie na pewno z wiekiem złączę się z nią coraz ściślej, zobaczycie, że umrę jako prawy obywatel, pogodzony z narodem. Wtedy nie umiałem się zdobyć na żaden stosunek do Polski, nie wiedziałem po prostu jak się do niej zabrać. Dziś — mam to już mniej więcej uładzone. O tym procesie powolnego osvajania się z Polską pobieżnie opowiem.

Wtorek

W roku 1947-ym Argentyna uznała rząd warszawski i przybyło nowe poselstwo.

Jak wyglądało dotychczasowe moje obcowanie z narodem? Ja, póki żyłem w Polsce, tzn. do wojny, prawie jej nie dostrzegałem — z lekka tylko, mgliście, jak atmosferę, którą się oddycha. A słowa „naród”, „ojczyzna” wydawały mi się nadmierne zużyte, instynkt mi szeptał, że ich okolica zanadto wyjałowiona

uprawą — wolałem więc kierować mój rozwój w inną stronę. W momencie, kiedy Polska zatrzęszczała i runęła, poczułem ją stąd, z Ameryki, tak konkretnie, jakbym widział walący się dom. Ale zaraz potem dostałem się w tryby antynomii młodość-dojrzałość i to wessało mnie boleśniej — aż narody, państwa straciły dla mnie sens. Byłem poza granicami mego narodu i państwa nie tylko geograficznie; byłem poza granicami, ponieważ ludzkość rozpadła mi się na młodzież i dorosłych, dwie niepokodzone biologiczne ojczyzny. W gwałcie, który zawisł nad Europą, widziałem piękność która była z młodości i potworność, której na imię wiek męski. Nic, żadna racja moralna, żaden heroizm, nie mogły zbawić dla mnie ludzi, których życie nie było wstępem do życia — skażone ohydą dojrzałości. I nic, żadna podłość, nie mogło pozbawić czaru życia wstępującego, jeszcze nieokreślonego, młodego życia po obu stronach barykady.

Moja ówczesna niechęć do narodu? Ależ przede wszystkim stąd się brała, że naród był związkiem starych, dorosłych i młodych — jak rodzina — związkiem, w którym zacierają się odrębności, stanowiące dla mnie poezję życia. Ja ludzkość ujmowałem inaczej. Jednakże istniała też inna przyczyna mej niechęci; nienawidziłem narodu, ponieważ nie mogłem mu sprostać. Nie należałem, niestety, do odważnych. Wrodzone tchórzostwo nie pozwalało mi walczyć za naród i umierać. Niezdolny do służby wojskowej bardziej psychicznie, niż fizycznie, bo niezdolny do odwagi, bez której jest nie do spełnienia akt najwyższy afirmacji bytu narodowego — wojna. Jakże mogłem pogodzić się z narodem, gdy mnie zmuszał do czynów niemożliwych dla mnie, wykraczających poza mą pojemność? Nie mogłem sprostać mu, więc nie mogłem go znieść — musiałem zaliczyć go do zjawisk w świecie wrogich memu człowieczeństwu, jak rozpalone żelazo, lub tygrys. Był mi wrogi właśnie dlatego, że mój — ponieważ rościł sobie do mnie prawo, był bardziej zaborny niż jakikolwiek inny, cudzoziemski, naród.

Ale nie umiałem od niego się oderwać. Dopiero na obczyźnie człowiek widzi, jak bardzo jest się skazanym na rodaków. Przykuwał mnie do Polski Polak... ci Polacy, jak ja, z którymi byłem w dziwnym spisku, jakbyśmy byli niewolnikami jednego pana, uczniami w tej samej szkole. Do kogóż miałem się zwrócić w owych finansowych tarapatkach, jeśli nie do nich, koleżków moich i kompanów w narodzie? Napisałem do Słonimskiego, który, wówczas jeszcze „neutralny”, zajmował dość duże stanowisko w Unesco, w Paryżu, zapytując, czy nie znalazłoby się tam coś i dla mnie — i nadmienając, że nie zamierzam wracać do Kraju. Nadeszła odpowiedź i natychmiast znalazłem się oko w oko z Polską.

„Nie bardzo widzę możliwości jakiejś pracy w Unesco — od-

piisał Słonimski — ale myślę, że sporo dałoby się zrobić przez Kraj. Tam o Panu bynajmniej nie zapomnieli. Myślę, że byłby Pan doskonale do wyzyskania jako *attaché* kulturalny w Argentynie przy naszym poselstwie”.

Ten pomysł zaskoczył mnie, Ja, *attaché*? No, nie... przecież to było poselstwo rządu już prawie opanowanego przez komunizm — a ja nie mogłem sprzeniewierzyć się sobie, oddając się na służbę tej ideologii, ponieważ taki kompromis był zbyt niszczący dla mej osobowości — ta zaś osobowość stawała się moim najcenniejszym skarbem i musiałem pilnować jej, jak oka w głowie, gdyż bez niej w literaturze zmalałbym do zera. Ale były to jeszcze czasy Mikołajczyka. Jeszcze sprawa demokracji w Polsce nie była przegrana i wiele mówiło się o tym, że nie trzeba odsuwać się od państwa, że, owszem, trzeba przenikać w aparat państwowy stwarzając zaporę czerwonej zachłanności. Wydawało się, przynajmniej stąd, z Argentyny, i na podstawie skąpych wiadomości do nas docierających, że polityka Mikołajczyka ma za sobą pełne poparcie mocarstw demokratycznych. Co do mnie, wiedziałem tylko jedno — że chcę pisać i muszę zdobyć na to środki. Niełatwo wytłumaczyć ludziom innych fachów, jak bardzo powołanie pisarskie z biegiem lat staje się pożerającą dominantą życia: ja musiałem być pisarzem, nie mogłem nie być pisarzem, już nic, oprócz literatury, nie mogło mnie zbawić, poza nią byłem tylko godnym pogardy dziwakiem, cherlakiem, kimś zwichniętym i upokorzonym. Zważywszy więc, że cały mój los zawierał się w literaturze, było dość podrzędne gdzie i dla kogo pracuję, aby zdobyć środki utrzymania, zapewniające niezależność duchową, *conditio sine qua non* twórczości. Troska o zachowanie tej niezależności wzbraniała mi wracać do Kraju. Poselstwo mogło umożliwić mi dalszy pobyt w Argentynie. Czyż więc nie dałoby się znaleźć w poselstwie obrony przed szczerwieniałymi ramionami ojczyzny, które już się do mnie przyjaźnie wyciągały? Postanowiłem jednak rozmówić się z posłem, Stefanem Szumowskim, zupełnie szczerze.

— Nie jestem komunistą, ani sympatykiem komunizmu. Nie widzę więc możliwości żadnej współpracy politycznej. Gdyby jednak chodziło o doraźne zatrudnienie w sprawach technicznych, np. w dziedzinie wymiany kulturalnej czy artystycznej, polsko-argentyńskiej to, znając tutejszy teren, mógłbym się przydać. Mógłbym np. zająć się sprawą przekładów z literatury polskiej, rozpowszechnianiem w Argentynie wiedzy o historii i kulturze polskiej...

Szumowski pokręcił nosem na ten wywód. Miałem z nim bardzo mało do czynienia, tylko dwa lub trzy razy z nim rozmawiałem. Obawiam się, że nasze wrażenia były identyczne: uznał mnie za hetkę-pętelkę, ja zaś, przyjrzawszy mu się, nie ocze-

kiwałem innej opinii... dość na tym, że moja współpraca zdechła zaraz przy urodzeniu. Znalazłem się znowu na łodzi. Co robić? Ja, Ferdurdurke, straszliwie bezradny w życiu praktycznym. Zagrożony głodem. A zza oceanu wyciągały się przyjaźnie ramiona ojczyzny, aby mnie zadławić, już mnie dopadała, unosiła się nade mną i cień tego sępa już kreślił się wokół mnie na mojej pustyni.

Przeżony, szukałem jakiegoś zajęcia, zahaczenia się, czegoś... Pewnego dnia prezes Banco Polaco, Nowiński, wezwał mnie telefonicznie i zaproponował posadę w sekretariacie banku. Przyjąłem.

Tragiczna decyzja. Nie, wcale nie dlatego, że był to bank związany z „reżimem”. Ale z człowieka wolnego, z osoby, stać się urzędnikiem? Przeobrazić się w siłę roboczą. Zapaść się w anonim, w funkcję. Zatracić boski pierwiastek swobodnie kształtującego się istnienia i już nie „żyć”, a tylko „pracować na życie”. Być podwładnym. Mieć zamurwane wszystkie perspektywy tworzenia artystycznego na szerszą skalę siedmiogodzinnym, wyczerpującym dniem urzędowania. I to na długą przyszłość. Czuję się tak upokorzony, że jednego z tych dni, poprzedzających moje uwięzienie, wsiałem w pierwszy lepszy tramwaj i jechałem gdzieś aż za Avellanedę, byle dalej... Oto co mnie przerażało, a nie rzekoma czerwoność banku, o której wiedziałem, że w Argentynie nie może być agresywna. Kilka lat temu ktoś w tutejszym *Głosie Polskim* wystrzelił we mnie pompatyczno-ordynarnym paszkwilem, w którym stało, że jestem komunistycznym sługą i parobkiem, ponieważ pracuję w Banco Polaco. Bzdura — bo ja pracowałem w nim, żeby nie iść na służbę komunistów. Urzędnicy banku (który nie był, jak powszechnie się mniema, filią krajowej P.K.O., ale samodzielnym bankiem — większość akcji należała do banków warszawskich) byli w myśl prawa argentyńskiego nieusuwalni, bank podlegał ścisłej kontroli Banku Centralnego Argentyny, tyleż finansowej co politycznej — ten maleńki banczek siedział więc jak mysz pod miotłą, nie mogło być mowy o żadnej akcji politycznej ani o wywieraniu presji na kogokolwiek. I podczas gdy ów gębacz w *Głosie* załamywał ręce, że „pisarz polski” (w takich razach bywam „pisarzem polskim”) szarga swoją godność, zaprzeda się i hańbi, ja w banku, w godzinach wolnych od zajęć i przy zastosowaniu odpowiednich środków ostrożności, fabrykowałem mój „Dziennik” dla *Kultury*. Cóż chcecie żeby robili tacy, jak ja, pisarze? Przecież mnie złamanego grosza nikt by z was nie dał, nie jestem z tych uznanych, popieranych przez wasze komitety i z moją sztuką, z moją naturą, znalazłem się zupełnie sam... więc w tych warunkach powinnibyście wielbić wspaniałość paradoksu, mocą którego ja przez siedem lat żyłem z banku po

to, aby urzeczywistnić się jako pisarz na emigracji. To oszczędziło wam kosztów, a przysporzyło nieco literatury, nie będącej odgrzewanym kotлетem wczorajszym ani ciepłymi kluskami.

Siedem lat! Jeśli p. Nowiński przyjął mnie na urzędnika, to głównie, jak sądzę, ze względu na moich przyjaciół-literatów na wpływowym stanowiskach w Kraju — albowiem bardzo zależało mu na podreperowaniu swojego kredytu u rozmaitych tamtejszych „czynników”. Wkrótce okazało się, że nie mogę mu w tym być przydatny, a wtedy w duszy jego rozpoczęła się walka. Osobiście miał dla mnie chyba nieco poważania — ale Prezes w nim nie mógł znieść urzędnika, nie będącego w pełni urzędnikiem, nie dającego się właściwie użytkować, wyłazającego mu z normy i z rutyny. I stopniowo Prezes brał górę, odebrano mi pewne skromne przywileje, zabroniono kategorycznie oddawać się „robocie pozabankowej” czyli pisaniu, a restrykcje, gniewy, szykany sypały się *crescendo*. Używano mnie do zadań intelektualnych, jak korespondencja, sprawozdania finansowe, statystyka, ale takiej pracy było za mało, aby zapłacić moje siedem godzin. Ja, uważając że ta robota, czasem dosyć trudna i nie bez znaczenia dla banku, jest wystarczającą kompensatą mego arcyskromnego wynagrodzenia, które zaledwie wystarczyło mi na liche utrzymanie, błagałem aby uszanowano mój czas, czas człowieka, który chciał czegoś dokonać... i miałem potężnego poplecznika w osobie pani Nowińskiej, zbuntowanej przeciw rutynie, niechętniej wobec pieniądza, domagającej się od życia treści, sensu, celu. Lecz takie moje pretensje nie mieściły się w „urzędowaniu”. Wobec czego, przyszedłszy do biura kwadrans przed dwunastą, starałem się jak najdłużej nakręcać zegar sekretariatu, aby zapłacić czas; jak najpowniej wyjmowałem i segregowałem papiery; rozwlekałem przepisywanie listu, aż czynność ta pękała prawie od tak straszliwego rozděcia; i tak siedem godzin spędzałem dmąc w drobiazgi, przyprowadzając je o elefantiasis, wyolbrzymiając nicość — zapelniając sobie czas, ja, nie mający czasu, ja, który musiałem się śpieszyć, ja, z takim programem do wykonania! Tortura! A sekretarka, pani Zawadzka, robiła mi skandale ponieważ woźny znalazł płwocinę w koszu, więc to zapewne ja naplułem (na Boga, to nie ja naplułem!). Wdzięczny jestem p. Zawadzkiej, że do ostateczności obrzydziła mi (chyba nie mnie jednemu) pobyt w banku, kto wie czy odważyłbym się wyskoczyć z tej bądź co bądź solidnej instytucji ot tak, na ulicę, gdyby sztyłem z tyłu nie dodawała mi odwagi.

Naprawdę, nie mam pretensji ani do p. Zawadzkiej, ani do p. Nowińskiego. Ta para również wycierpiała swoje... Ja w banku byłem absurdem, oto wszystko.

Obawiam się... te perypetie moje z bankiem, czy z poselstwem, może nie są zbyt ciekawe. Musiałem opowiedzieć o mojej egzystencji ówczesnej, aby móc osadzić w niej moje problemy. Nie jestem filozofem, mnie nie przystoi wywód abstrakcyjny — związek mej teorii z moim życiem musi być zawsze utrzymany.

W owych latach stawało się coraz wyraźniejsze, że nie będę mógł *ad infinitum* unikać wyjaśnienia moich stosunków z ojczyzną. Perspektywa ta była dla mnie dosyć kłopotliwa. Ja w tej materii nie miałem wyrobionego stylu, więc nawet myśleć o tym było mi trudno; i niechętnie, jak już wspomniałem, zapuszczałem się w tę okolicę, wyjeżdżoną przez całą polską sztukę — wszak tego narodowego konia dosiadł każdy!

Ale byłem na rozdrożu i miałem do wyboru dwie drogi: albo zerwać z Polską i żyć w świecie na własny rachunek, być tylko Gombrowiczem w ludzkości; albo urzeczywistnić się jako pisarz polski. Najchętniej wybrałbym pierwsze rozwiązanie. Być Gombrowiczem w ludzkości — piękna rola! Ta formuła była najczystsza i zarazem podstawowa, sprowadzała moją sytuację do jej zasadniczych elementów: jednostka — zbiorowość, pozwalała zmobilizować moją pełnię. I dawała swobodę ruchu. Ileż razy zdarzyło mi się oglądać znakomite talenty polskie w stanie żaloso-ego skrępowania, ponieważ były „przywiązane” do ojczyzny.

Jednakże nie mogłem wyzbyć się uczucia, że tak radykalne wyzbycie się Polski byłoby jakąś zdradą mojego życia. Dlaczego? Ja z Polakami żyłem najintensywniej, z nimi egzystencja moja była najbardziej napięta, wzmożona wspólnością rozwoju, języka, historii, a, zapuszczając się w bezmiary świata, stawałem się mglisty i nieokreślony. Po tej stronie polskiej rzeczywistość moja była konkretniejsza i zresztą wszystkie sprawy moje ciągle mnie z Polakami łączyły.

Bynajmniej nie chciałem naginać sobie istnienia do jakiegoś wyrozumowanego programu. Wolałem, aby życie podyktowało mi program. Ale jaki?

Wszak, gdybym związał się z narodem, musiałbym go uznać jako nadrzędne istnienie. A ja nie mogłem mu sprostać, więc nie mogłem go znieść. Byłem zbuntowany. Dość miałem tej modlitwy. I co innego stało się moją pasją i zachwytem. Pisać dla Polaków i po polsku, pozostawiając to trwożliwe niedomówienie, że jestem w głębi ducha renegatem?

Wybór nie był łatwy. Mogłem wybierać między blachą egzystencją kosmopolity a polskim istnieniem, które byłoby osłabione i skażone fałszem. Co lepiej? Być kłamliwym Polakiem, czy anemicznym obywatelem świata?

Wydanie „Ferdydurki”, bank — tak, zaczynałem powoli się cywilizować. Mimo to absurd nie chciał rozstawać się ze mną i wszystko było nim dotknięte. Bank i „Ferdydurke”. I wykańczanie „Ślubu”, dzieła ciemnego i szalonego, wyłonionego ze snu. Bóg raczy wiedzieć, po co to pisałem, na jakiz teatr mógł liczyć ten dramat, na jakiego czytelnika? Moja konsolidacja była pozorna, była konsolidacją w absurdzie. A czar bijący z tamtej niziny, z Retira, kazał mi uwielbiać niedojrzałość wszystkich moich poczyniń.

Byłem podówczas potrójnym, czy też poczwórnym cudzoziemcem. Wyzuty z Polski, do której nie chciałem wracać. Poza emigracją, oddalony od niej i niezależniony — usadowiony w Banco Polaco. Poza Argentyną. I poza światem wartości, który pożarło Retiro. Wisiałem w próżni z anarchią w sercu. Grywałem w szachy.

Dramat już skończyłem. Teraz tłumaczyłem go na hiszpański przy pomocy mego przyjaciela, Aleksandra Russovicha, i kilku innych Argentyńczyków. Po co? Przecież był trudniejszy jeszcze niż „Ferdydurke”, i nie miał w Argentynie najmniejszych szans.

Pozbawiony Boga, filozofii, narodu, jakiegokolwiek ideologii społecznej, z bankiem, z moją nieprzytomną sztuką i z Retiro.

W tym czasie Jarosław Iwaszkiewicz mimowolnie oświetlił moje horyzonty nagłą błyskawicą — i wtedy bodaj po raz pierwszy zarysowała mi się możliwość powrotu do Polski — nie fizycznego, duchowego. Było to tak. Iwaszkiewicz przybył do Argentyny na jakiś kongres literacki. Ja dotąd nikomu nie dawałem do czytania mego dramatu, bo i komuż miałem go dać? Do nikogo z Polaków nie miałem zaufania. Znali dramat Argentyńczycy, pracujący nad przekładem, ale z nich tylko Russovich przejawiał, wzrastający w miarę posuwania się roboty, zapał. Inni pozostali chłodni, a nawet sceptyczni — czyżby utwór niewiele był wart? Czy też ich łacińskość były niezdolne jego męty i odmęty? Drżałem o ten dramat, który był pierwszym moim dziełem po tyloletniej przerwie — a jeśli to szmira i ja już nie zdołam nigdy nic z siebie wycisnąć? Kiedy wręczałem maszynopis Iwaszkiewiczowi bałem się, jak debiutant, i byłem przygotowany na najgorsze. Po kilku dniach oddał mi tekst. Powiedział, że to wielkie osiągnięcie, mówił o „Ślubie” jak o utworze najwyższej miary.

Ja? No, przecież nie byłem już młodzieńcem. Było mi aż za dobrze wiadome, że taki pojedynczy głos o niczym nie przesądza — mógł dotknąć mój dramat jakiejś struny w nim i to

wystarczyło, aby mu się zakłóciły proporcje — a może z natury był skłonny do entuzjazmu? A mimo to uczulem, w dziecinnej rozkoszy, smak dostojęstwa spływający mi na ramiona.

W blasku tej chwilowej glorii dojrzałem pewien mój sekret, coś ważnego odkryłem. Odkryłem mianowicie, że tylko w jeden jedyny sposób mogę zostać przywrócony światu wartości, ja, człowiek, którego prawdziwą ojczyzną była młodość i niższość. Sam, o własnych siłach, nie mogłem dokazać aby takie sprawy, jak sztuka, kultura, ludzkość, naród stały mi się cenne. To było mi niedostępne. Lecz, gdyby ów świat dojrzały pierwszy mnie uznał? Wtedy i ja nie mógłbym już go nie uznać. Na przykład: byłem poza narodem. Ale gdyby naród mnie pokochał i wywyższył, musiałbym się z nim pogodzić i na nim się oprzeć.

Myśl akurat odwrotna tej, którą Goethe przekazał Schopenhauerowi: — Jeśli chcesz poczuć własną wartość, musisz w pierw odkryć wartość świata. U mnie to brzmiało: — Odkryjesz wartość świata, gdy sam staniesz się wartością dla świata. Nader lodowata myśl: bo wynikało z tego, że ja wbrew sobie muszę zabiegać o „ich” łaskę po to, żeby „oni” stali się dla mnie rzeczywistością. Musiałem miotać się w mojej próżni tak długo, póki mi się nie zapelni, stwarzać siebie jakimś „pustym”, prawie bezsensownym skokiem na innych ludzi — abym zaistniał dla nich, aby oni dla mnie zaistnieli. Byłem jak ten niechętny narzeczony, któremu tłumaczą rodzice: ożeń się najprzód, potem pokochasz. Być tylko propozycją, tylko gestem ściśle formalnym, pozbawionym treści — aby urodziła się treść?

W tym czasie zaszedłem przypadkowo z Russo do opuszczonego domu Pueyrredonów w San Isidro i odtąd ten pusty dom zaczął mi towarzyszyć; wciąż czuję jego obecność. Dom biały, z kolumnami, w ogrodzie o wielkich drzewach, na wyniosłym brzegu rzeki. Człowiek wybiera sobie miejsca i rzeczy. Związałem się z nim arbitralnie, bez żadnej racji — on związał się ze mną — i ciągle wiem, że tam bieli się między drzewami.

Kubańcy wyjechali. Rozpadł się klan „Ferdydurke”. Skończyły się zebrania u Grazieli. Najbliższym moim przyjacielem stał się Russo, a w Rexie utworzyła się nowa *barra*.

Wiele zdarzyło mi się w owym czasie przygód niezgłębionych,

o których mógłbym rozpowiadać godzinami. Ale pora już rozpocząć historię „Trans-Atlantyku”, która będzie historią mego nawiązania z ojczyzną.

Zauważyliście już: ja życie moje ujmuję z patosem. Farsą niech to będzie dla kogoś, kto tego nie przeżył.

Jak mogę gardzić falą, z której się wyłoniłem w całej wibracji mojej, w grze moich iluzji, ambicji, oczarowań, lęków?

Witold GOMBROWICZ

Ribera — Hiszpańczyk Partenopejski

Na ogół, przez wiele lat, moje dłuższe spacery prowadziły do portu rybackiego Mergellina. Od czasów zawału stały się obowiązkowymi spacerami zdrowotnymi, przepisany mi przez lekarza. Istnieje w nich punkt zwrotny. Najpierw idzie się bulwarem nadmorskim, mając po prawej park miejski (w którym niegdyś ograbiono bohatera noweli Conrada *Il Conte* czyli hrabiego Szembeka), po lewej ogromne głązy przy brzegu, falochron przeciw morskim nawałnicom, i Zatokę z zarysami (w pogodny dzień) Capri i Półwyspu Sorrentyńskiego. Potem otwiera się Mergellina, a raczej otwierają ją stada mew na skalnych łachach i na pomarszczonej tafli morza. Zaczyna się rejon przystani dla statków i łódek, rybnych targów, kramów z muszlami i głębinowymi krzewami.

Zawsze wiedziałem, że tutaj, w pierwszej połowie XVII stulecia, gdy Mergellina występowała w dokumentach i w potocznej mowie jako Mergoglio lub Mergogliano, ostatnie lata swego życia spędził Mistrz Jusepe de Ribera, malarz rodem z Walencji, tak z Neapolem, z grodem partenopejskim, zrosnięty rodzinny i warsztatowymi więzami, że nazywano go powszechnie *Spagnoletto*, Hiszpańczyk. Nie z uwagi na wzrost, bo wzrostu był słusznego. Z czułości, dla podkreślenia sympatii do przybranego syna, do „naszego Hiszpana” w mieście, rządzonym surowo przez „nich”, przez jego rodaków, władców Królestwa Neapolu z hiszpańskim garnizonem na ulicach i hiszpańskim wicekrólem w Pałacu. (Jakkolwiek nie brakowało również głosów, które niechętny nacisk kładły na jego „obcość” w Neapolu, piętnowały „bru-

talność gwałtownika” faworyzowanego na dworze wicekrólewskim, oskarżały go o łatwe sięganie po sztylet lub truciznę jako ostateczny argument w kłótniach i sporach; nie ma dowodów na te popisy sławetnej neapolitańskiej szkoły obmowy). W Neapolu poślubił Caterinę Azzolino, która urodziła mu troje dzieci, Margheritę, Antonia i Francesca. W Mergellinie umarł we wrześniu 1652, namaszczony świętymi olejami przez proboszcza kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, w Mergellinie został pochowany w podziemiach kościoła Matki Boskiej Położnej. Ledwie nakryto go płytą grobową, spadkobiercy — wdowa i troje dzieci — wytoczyli proces kartuzjańskim mnichom od Świętego Marcina w górnym Neapolu — *Certosa di san Martino*, — obwiniając ich o spowodowanie śmierci męża i ojca, który mimo nie tak znowu podeszłego wieku (60 lat) postarzał się gwałtownie nękanym sknerstwem i niesumiennością zleceniodawców podczas malowania dla *Certosy Komunii Apostołów*. Spadkobiercy Hiszpańczyka wygrali proces po trzech latach. Chodziło o dopłacenie trzystu dukatów do sumy tysiąca dukatów. (Zwyczaj kazał płacić sto dukatów od postaci, nie trzeba było aż trzech lat, żeby policzyć Chrystusa i dwunastu Apostołów). Nie przelewało się więc wówczas w domu Mistrza Ribery, w domu słynącym niegdyś ze splendorów bogactwa.

Stare sztychy Mergelliny pokazują naturalnie dzielnicę, której szczątki nawet nie dotrwały do naszych czasów. Nie wiem, czy historycy miasta potrafiliby ustalić miejsce zamieszkania Hiszpańczyka. A jeśli, to w śmieszny trochę sposób, w jaki Croce ustalił miejsce gospody Goethego podczas jego postoju w Neapolu: opiewa je mała tabliczka na ścianie tak zwanej *Galleria*, czyli pasażu skoliigaconego epoką, wyglądem i funkcją z pasażami rzymskim i mediolańskim.

Mergellina Ribery ocalała zatem w trzech elementach: w morzu, w niebie i w łagodnych wzgórzach u wlotu drogi na Posillipo. Ale Ribera nie był pejzażystą, więcej — kroplomierzem dozwalał „tło”. Mając codziennie przed oczami Zatokę i jej błękitnospopielatą Kopułę, wołał nie nadużywać krajobrazowej oprawy. W *Komunii Apostołów*, która zgrzytem zamknęła jego dorobek malarzki, tło jest zdawkowe, niebo służy jedynie grupie aniołków spoglądających w dół z płataniny żółtych obłoczków. Może dlatego zyskuje na intensywności prawdziwy temat obrazu (a mógłby zyskać więcej bez anielskiej ozdoby). Pasją Ribery były ludzkie twarze.

Do niczego nie prowadziłyby krącenie po Mergellinie w poszukiwaniu śladów Ribery. Tylko na przystanku autobusowym, gdzie muszę niekiedy długo czekać na autobus pod górę, do domu, zdarza mi się widywać twarze, które nie raz posiadają rysy utrwalone trzy i pół wieku temu przez hiszpańskiego mieszkańca Mergelliny.

Urodzony w Walencji w roku 1591 jako syn szewca i córki szewca, terminował prawdopodobnie (bo nie ma ścisłych danych) za młodu u jakiegoś miejscowego malarza. Niebawem rozwinął skrzydła do lotu. Zaczął od Lombardii, dominium hiszpańskiego od stu lat, po czym wyprawił się do Parmy i tam zatrzymał się dłużej. Malował sporo po kościołach, ale do Parmy przykuł go przede wszystkim „boski” (według Stendhala) Correggio. Nauka nie poszła w las. Następnym etapem był Rzym. W rejestrach Wiecznego Miasta zapisano go wśród grupy malarzy hiszpańskich, którzy założyli „kolonię” na Via Margutta. Może tam, gdzie w roku 1945 Józef Jarema proklamował uroczyste narodziny międzynarodowego Art-Klubu? Margutta była zawsze i pozostała do dziś ulicą malarzy, postronni zachodzili tam by obrazy oglądać lub kupować. Z kronik widać, że Ribera prowadził w Rzymie życie „dość rozwiałe”, „wydawał więcej niż zarabiał”, bywał zadłużony po uszy i usiłował spłacać długi pędzlem. W końcu salwował się ucieczką do Neapolu. Przed ucieczką zdążył jeszcze otrzymać tytuł członka Akademii Świętego Łukasza. Odtąd podpisywał się czasem *Josephus de Ribera, Hispanus, Accademicus Romanus*.

Co dla niego było ucieczką, dla świata było zaszczytnym zaproszeniem. Zaprosił go do Neapolu wicekról, książę Osuna. Od progu powitał go łaskawy zónę, ofiarowując mu natychmiast po przyjeździe szesnastoletnią żonę, córkę malarza sycylijskiego, u którego znalazł dom i pracownię. Zastąpił szybko, w coraz wyższej cenie były jego malowidła i dzieła sztuki rytowniczej (zachwycał się nimi Rembrandt). Zbogaciwszy się, syn szewca wszedł między neapolitańskich i hiszpańskich karmazynów. Zasmakował w Neapolu, nie ukrywał tego przed przyjezdnymi malarzami hiszpańskimi, którzy go namawiali do powrotu. Rzym pokłonił się przed jego triumfami: w Bazylice Świętego Piotra udekorowano go krzyżem kawalerskim Zakonu Chrystusowego. Na cały rok osiadł w stolicy wicekrólestwa Diego Velazquez, według licznych świadectw w gościnie u Ribery. W roku 1630 włączono Ribere — honor wyjątkowy! — do orszaku, który siostrze Filipa IV, przyszłej królowej Węgier, towarzyszył w drodze na zaślubiny z Ferdynandem III. W latach 1637-38 powstało najwięcej obrazów Ribery. Był wtedy u szczytu sławy i bogactwa. W roku 1647, podczas rewolty plebejskiej Masaniella, schronił się w pałacu wicekrólewskim. Na rok następny przypadł początek jego przewlekłej choroby, związanej z zaburzeniami mózgowymi. Malował coraz mniej i z coraz większym wysiłkiem, znajdując ukojenie w częstych teraz wizytach Velazqueza w Neapolu. W roku 1651 zabrał się do malowania *Komunii Apostołów*, zamówionej przez kartuzjanów. Ciągłe „finansowe” listy do przeora dowodziły, że śmierć nadchodziła wraz z zubożeniem. Pozostawił jednak po sobie, na pożegnanie, arcydzieło.

Znawcy stawiają Ribera wśród największych malarzy XVII stulecia, niektórzy nawet przebakują o jego wpływie na Velazqueza, Rembrandta, Zurbarana. Sam, rzecz jasna, był prawowitym potomkiem Caravaggia. Potomkiem, ale nie spadkobiercą; spadek stopniowo odrzucał, szukając własnych dróg. Początkową „mroczność” (*tenebrismo*), wykarmioną światłocieniem Caravaggia, jak też hiszpańskimi tradycjami malarstwa „suchego” i „ciemnego”, ascetycznego w swoim mistycznym realizmie (Zurbaran), przez całe życie usiłował wysublimować i nasycić nowymi walorami: ciepłem i bogatszą tonacją kolorów. Byron w *Don Juanie* nazwał jego pędzel „prześiękniętym krwią wszystkich świętych”. Trudno o jaskrawszą niedorzeczność. Ribera stronił programowo od gwałtownych i mocnych efektów, wpatrzony był w ideał harmonii spokojnej, wyzutej z dramatyczności na pokaz, wielowarstwowej i wielokierunkowej. Nie „krwią wszystkich świętych” przeięknięty był jego pędzel, lecz łagodną, zamysloną wizją świętości na pograniczu ziemi i nieba.

„Szczyt przed odejściem”, tak określił ktoś *Komunię Apostołów*. Dodałbym: i z pełną świadomością rychłego odejścia. Ribera wiedział, że maluje swój ostatni obraz. I dlatego napisałem, że *Komunię Apostołów* pozostawił światu „na pożegnanie”. Była to jego malarska *summa*, a równocześnie *summa* jego wiary. Wszelkie próby opisywania obrazów są daremne, tutaj daremności towarzyszy bezradność. Jak oddać skrzyżowanie majestatu z prostotą? Chrystus w czerwonej szacie z niebieską chustą zwisającą z pasa jest postawny, silny, wyjątkowo dorodny i jakby nieobecny. Podaje komunię klęczącemu Apostołowi, nie patrząc nań, nie wiadomo gdzie i na co patrząc. Wśród dwunastu twarzy nie ma dwóch podobnych do siebie w wyrazie. Wśród dwunastu postaci nie ma dwóch zbliżonych do siebie pozycją. Czerwona, podwiązana kotara odsłania fragment architektury: czego? świątyni? pałacu? Jeden z Apostołów, już po komunii, siedzi przy stoliku pogrążony we śnie. We śnie, czy w zadumie? Może jego myśl przemyka się, nad otchłanią snu, wąskim grzbietem jawy? Malarzowi udała się rzecz na pozór niemożliwa: pokazanie komunii podwójnej, z Bogiem i między dwunastoma Głosicielami Wiary. Ach, gdyby Ribera zrezygnował był z konwencjonalnego akcentu aniołków na obłóczkach w prawym górnym rogu obrazu! *Komunia Apostołów* byłaby wtedy arcydziełem bez skazy.

Wspaniała wystawa Ribery w *Castel Sant'Elmo*, której afisz rozlepiony na murach miasta nazywa artystę *Il Grande Spagnolo di Napoli*, Wielkim Hiszpanem Neapolitańskim a nie Hiszpańczykiem Partenopejskim, nie obejmuje *Komunii Apostołów*. Mój niepokój (będę wiecznie skazany na dobrą zresztą reprodukcję?)

rozwiła urzędniczka w sekretariacie wystawy. Suplement wystawy antologicznej w *Sant'Elmo* znajduje się w kościele mnichów kartuzjańskich. Kilkaset metrów dzieli Zamek od Certosy. I tam widziałem nareszcie *Komunię Apostołów* (mogłem przecież zrobić to wcześniej, nie czekając na wystawę; przypuszczałem po prostu, że nie uchował się obraz w miejscu swego powstania po zesłowiecznej zmianie Certosy na więzienie). Oraz nieznanne mi dotąd *Zdjęcie z Krzyża*.

Światło w kościele, przyćmione i przygaszone dzisiejszą mżawką, nie sprzyja *Komunii Apostołów*, dobrze widoczny jest tylko Chrystus, Apostołowie po obu Jego stronach toną w półmroku. Natomiast zyskuje w półmroku *Zdjęcie z Krzyża*. Widziałem wiele trupich kolorów zwłok w „depozycjach”, ale nigdy Chrystusa tak jeszcze przenikniętego ostatnim oddechem życia; albo tak już ożywionego myślą artysty o Zmartwychwstaniu.

Zdumiewa i zachwyca Ribera, który nie chce lub nie potrafi być okrutnikiem, na przekór scenom narzucającym — zdawałoby się — maksimum okrucieństwa. Wszystkie męczęstwa, na przykład; skręt ciała, akrobatyczny nieomal, nie połączony jednak z bolesnym grymasem twarzy, wystarcza mu jako środek ekspresji. Z wyjątkiem *Męczeństwa Świętego Filipa* i dwóch wersji (neapolitańskiej i brukselskiej) *Apolla i Marsjasza*. Marsjasz obdzierany ze skóry krzyczy, strasznie krzyczy, ale niebiańska i olimpijska jest twarz jego oprawcy. Jakąż okrutną torturę zadawano Świętemu Filipowi, lecz wiemy o tym my a nie torturowany. Ribera szukał zawsze tonów przyciszonych, wyważonych; starał się tłumić i łagodzić zbyt rozzwierającą wymowę tematu. Święty Sebastian zdaje się nie odczuwać strzał w swoim ciele, gdy opatrują go miłosierne niewiasty. *Ecce Homo*, gdyby nie pasemko krwi pod cierniową koroną, byłby zwykłym portretem Chrystusa, przewyższającym nawet „obiektywizm” Mistrza Antonella z Messyny. Także Ribera, jak Caravaggio, namalował Dawida z uciętą głową Goliata. Caravaggio sportretował swoją wściekłość w głowie pokonanego, w jedyny autoportret tchnął własną, dziką i niepohamowaną, pasję. Ribera do tego stopnia wyolbrzymił głowę olbrzyma, że słabnie efekt dramatyczności. Kto jest mi bliższy? Caravaggio zapewne (okrutnik z nadmiarem miłości), choć podziwem napelnia mnie świat Ribery tęskniący skrycie do uładowanej równowagi.

Czego nauczył się Ribera od Correggia? Co, z takim zapale i cierpliwością, podglądał w Parmie u „boskiego” malarza? Najprościej byłoby odpowiedzieć: sekret jego „boskości”. Lecz „boskość” w rozumieniu Stendhala była zanadto przywiązana do ziemi, miała wyrażać zachwyty, zakochanie, nie wznosiła się w rejony, gdzie z nadziemską swobodą poruszał się Correggio. I

gdzie ten nieziemski wzlot, naznaczony zawsze piętnem odbicia od ziemi, obserwował Ribera.

Spójrzmy na *Koronację Dziewicy* Correggia w parmeńskiej Galerii Narodowej. Wstydliwym gestem zasłania piersi założonymi na krzyż rękami. Jej twarz, cudowna!, jest połączeniem kobiecości zmysłowej i egzaltacji duchowej. Stendhalowi podobaly się takie kobiety, mówił o nich zapewne „boska uroda”, nie to jednak oszalałoby Ribera u Correggia. Dla Ribery ważne było połączenie przeciwieństw. Jak gdyby zadawał sobie pytanie o możliwości przekroczenia ziemskiej kondycji ku czemuś od niej wyższemu. Po *Koronacji Dziewicy* spójrzmy na dwa obrazy Ribery: *Adorację pasterzy* i *Zasłubiny mistyczne Świętej Katarzyny*. W obu słodycz kobieca, niewysłowiona na podobieństwo Parmeńczyka, łamie zwyczajowe kanony piękna (jak zwyczajowe kanony brzydoty łamie słynna *Brodąta kobieta* Ribery). Tego piękna spotęgowanego o inny wymiar Ribera nie rezerwował tylko dla Madonny i dla mistycznych, świętych oblubienic. Wątpię, czy jego *Rozmodłonej Magdaleny* dorównuje jakkolwiek Magdalena wielkich mistrzów malarstwa religijnego.

Jakiż to inny wymiar? Odnaleźć go i w miarę możliwości zafiksować, to dotrzeć do istoty sztuki Ribery. Wspięcie się Ribery ponad realizm trzeba oczywiście zacząć od jego realizmu.

W książkach i szkicach o malarstwie Hiszpańczyka Partenopejskiego panuje istny jarmark próżności krytyków i historyków sztuki, którzy przekrzykują się nawzajem skłóconymi między sobą sądami. Realista radykalny, malarz „mroczości”. Nie dotarł nigdy do „mroczości” będącej wówczas w modzie, lubił posługiwać się złocistym światłem, które poprzez wyrafinowaną tonalność popychało jego obrazy w stronę baroku (?). Malarstwo Ribery było naturalistyczną reakcją przeciw idealizmowi Renesansu, w swoim okrucieństwie malarz ocierał się o jatkę, bywał czasem katem albo pomocnikiem kata. Mistrz ziemskiego realizmu hiszpańskiego, natchnienie czerpał po równi z życia codziennego i z malarstwa Caravaggia. U Ribery natura wdziera się do sztuki bez żadnych ograniczeń, brzydota zasługuje na uwagę podobnie jak piękno; Kaliban wart jest podziwu jak Ariel, potworność sąsiaduje z boskością. I wreszcie sąd najtrafniejszy i najrozsądniejszy (A.L. Mayera), który zacytować należy dosłownie: „Ribera jest równocześnie trzeźwym realistą i poetą. Tylko jemu mogła się udać mieszanina nadwrażliwości i ziemskość, tylko przed nim otwiera się szeroko magiczne niebo hiszpańskie i oczy chłoną zarazem bez ustanku to co szorstkie i ludowe; przed nim, rodakiem Ignacego Loyoli, jezuitę w którym nadziemskie stopiło się w jedną całość ze wzrokiem przenikającym do głębi naszą ludzką ziemię”.

Taka uwaga może się wydać zaskakująca, a nawet szokująca, ale i ja jestem zdania, że tkwi coś z jezuickiej przenikliwości w realizmie Ribery. Zaczął, bez najmniejszej żenady, od rudymentów. Namalował obrazy *Powonienie*, *Dotyk*, *Wzrok*, *Smak*, które były studiami zmysłów człowieka. Potem stworzył serię portretów anonimowych, chodziło mu w nich przede wszystkim o znajomość ludzkiej typologii; były owocem niezmiernie uważnej obserwacji modeli zaczerpniętych z bliskiego sąsiedztwa, z ulicy, z szynków, z morskiego wybrzeża (w Neapolu), ze wsi (pod Walencją). Oko malarza trafiło w sedno, widziało twarz pospolitą, zwykłą, i jednocześnie niepowtarzalną: *Pijak*, *Dziewczyna z bębenkiem*, *Chłopiec z wazonem kwiatów*, *Lichwiarka* (genialna!), *Misjonarz jezuicki*, *Nauczyciel muzyki*. O stopień wyżej wchodzimy, oglądając małego *Kalekę* (z Luwru; istnieje też niezbyt udana imitacja Matisse'a). Ribera pokazuje uśmiechniętego szczęśliwie malca, z wykrzywioną kalectwem ręką i nogą, bosego i w łachmanach, zadowolonego z nędznego życia *na przekór* losowi. Tym obrazem, jak małą kładką, malarz przechodzi od trzeźwego realizmu do poetyckiej, nadziemskiej wrażliwości autora płócien religijnych. Miałbym nawet ochotę powiedzieć „mistycznych”, pamiętając zdanie Péreza Sáncheza o „epoce Ribery, która pragnęła zawładnąć transcendentnym poprzez zadomowienie, zapuszczenie korzeni w potocznej codzienności”.

Stojąc przed *Komunią Apostołów* w kościele Certosy, myślałem o Hiszpańczyku Partenopejskim u kresu życia, o krok od śmierci. Prawdopodobnie bał się z każdym dniem bardziej wchodzenia na wysoką drabinę, przystawioną do górnej części ściany: okresowe bóle i zawroty głowy, niekiedy prowadzące do nagłego zamroczenia, nadały temu lękowi cechy nieodłącznego cienia. Ale gdy opierał się o szeroką platformę na szczycie drabiny, tak zbudowaną by można było siedzieć na niej wygodnie a nawet wyciągnąć się czasem, odsunawszy na bok palety i słoiki z farbami, gdy przyglądał się obrazowi w trakcie dojrzwania kształtów i kolorów, to z bardzo bliska to na pewien dystans, ogarniało go więcej niż uczucie dumy artysty zadowolonego ze swego dzieła. Miewał chwilami pewność, że nie na zwyczajną drabinę wchodził codziennie, ale na drogę wzwyż, która i jego zbliżała do malowanej sceny. Wiedział wtedy, że niosło go wysoko jego malarstwo; niosło go tam, gdzie nie sięgały modlitwy w których siła nawyku tak często go drażniła. Modlitwą, prawdziwym pochodem ku rejonom niewidzialnym dla wzroku utkwionego w samej tylko rzeczywistości, była sztuka. Modłę się tą *Komunią Apostołów* (myślał), modłę się żarliwiej od księdza odprowadzającego właśnie mszę przy ołtarzu blisko mojej drabiny

do nieba. Zamykał oczy i kładł rozbolełą głowę na ścierce wetkniętej między deski platformy. Chciał na krótki bodaj moment usnąć, jak ów Apostoł przy stoliku za plecami Chrystusa.

O zmierzchu z trudem i ostrożnie zstępował po szczeblach drabiny na ziemię; ryglowano wrota kościelne wcześniej, w obawie przed złodziejami. Nie wracał do domu natychmiast. Miał zwyczaj, obok muru na placu, długo wpatrywać się w panoramę Neapolu, tak dokładnie stąd widoczną, jak gdyby sporządzono na użytek widza mapę plastyczną miasta. Rozpoznawał poszczególne budynki i pałace, błąkał się wzrokiem po cienkich wstążkach ulic, przystawał na krążkach placów. Kochał to miasto po tylu spędzonych w nim latach, kochał miejsce urodzenia swojej żony i swoich dzieci? Czy też tęsknił po cichu do ojczyzny Walencji? Nie potrafiłby odpowiedzieć jednoznacznie na te pytania. Zdarzało mu się i jedno i drugie. Ale raz, kiedy letni wieczór nappełniał Neapol z lotu ptaka kłębami osiadającego po upale powietrza, i kiedy Ribera przeczuwał już wyraźnie że jego miesiące są policzone, zrozumiał że Walencja stała się dla niego półsenną zjawą, a pojednania i miłości bez wahań i oporów domagało się miasto jego malarskich modlitw i jego bliskiej już śmierci.

Marzec 1992

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Poezja ukraińskich „nieobecnych”

WASYL STUS — IGOR KAŁYNEC

Trafnie odczytując spore zainteresowanie ukraińską poezją lat 70-tych i 80-tych (nazwijmy to tak) „pokolenia nieobecnych”, oficyna wydawnicza Związku Ukraińców w Polsce opublikowała w ostatnich czasach dwa wartościowe zbiory wierszy: Wasyla Stusa *Wesetyj cwyntar (Wesoły cmentarz)* oraz Igora Ka-

łyncia *Probudżena Muza (Muza przebudzona)*¹. Znajomość poezji akurat tych twórców jest w Polsce wciąż znikoma², stąd też jej obecne edycje, mimo że w języku rodzimym, co ogranicza krąg czytelników, należy uznać za wydarzenie, zwłaszcza iż ponadto uświadamiają one istnienie aspiracji kulturalnych ukraińskiej mniejszości, w Polsce do niedawna wręcz nie dostrzeganych.

Wesoły cmentarz był trzecią poetycką książką Wasyla Stusa nie mającą szans na oficjalną publikację, po wcześniej odrzuconych tomach wierszy *Kruchowert* i *Zymowi derewa*. Nie licząc się z możliwością druku, Stus sporządził w 1970 roku dwanaście egzemplarzy *Wesołego cmentarza* i rozdał je wśród znajomych. Jedenaście z nich przepało na początku 1972, w okresie wzmożonych represji, jakie spadły na ukraińską inteligencję. Prawdopodobnie zniszczyli je sami obdarowani w obawie przed oskarżeniem o posiadanie i rozpowszechnianie nielegalnych druków. W styczniu 1972 roku Stus został aresztowany i po dziewięciu miesiącach śledztwa sądzony oraz skazany na pięć lat łagru i trzy lata zesłania. Poeta był przekonany, że *Wesoły cmentarz* przepało całkowicie i nawet nie próbował go odtworzyć. Szczęśliwym trafem, jak to nieraz bywa w takich przypadkach, ocalał jeden egzemplarz tomu wierszy i on stał się podstawą późniejszych, pośmiertnych wydań.

Wesoły cmentarz uświadamia dramaty i dylematy w okresie tzw. deukrainizacji, czy jak kto woli, internacjonalizacji kultury ukraińskiej. Stus odwołuje się w nim do dwóch tradycji poezji ukraińskiej — klasycyzmu i awangardy — z których pierwsza została sprowadzona przez komunistów do wymiaru liryki heroiczno-folklorystycznej i socrealistycznej, a drugą zniszczono niemal całkowicie już w latach dwudziestych. Odradzaniu się tych tradycji w literaturze ukraińskiej lat 60-tych towarzyszyły równorzędne zjawiska w innych sferach kultury i rezygnacja wielu twórców z odgórnie narzucanej estetyki. To odrodzenie zostało brutalnie zdławione przez władze, a ofiarami represji padli artyści oraz ukraińska inteligencja, kultywująca narodowe

1. Wasyl Stus, *Wesetyj cwyntar*, Zakład Wydawniczy Związku Ukraińców w Polsce, Warszawa 1990; Igor Kałyneć, *Probudżena Muza. Poezje*. Związek Ukraińców w Polsce, Wydawnictwo Kanadyjskiego Instytutu Ukrainoznawstwa, Warszawa 1991.

2. Na temat Stusa pisali u nas m.in.: W. Odojewski, „Wasyl Stus — polityczny mord”, *Archipelag* 1985, nr 11; B. Bakula, „Poezja jako przetrwanie”, *Kultura*, 1990, nr 11; A. Korniejenko, „Wstęp do przekładów”, *Dekada Literacka* 1992, 1.01-15.01, nr 37. Ostatnie przekłady zob. m.in. B. Bakula, *Czas Kultury* 1989, nr 9-10; B. Bakula, Katarzyna Turczyk, *Kultura Niezależna* styczeń 1991, nr 66; W. Woroszyłski *Więź* 1991, 11-12; A. Korniejenko *Dekada Literacka* 1992, nr 37. Ihor Kałyneć jest poetą w Polsce prawie nieznanym, wyjąwszy nieliczne dowody zainteresowania w prasie ukraińskiej (*Nasze Słowo*, *Zastriczi*).

tradycje. Odejściu Stusa od oficjalnie uznanych kanonów towarzyszy więc zamiar odbudowania aktywnego związku tych tradycji, a także radykalizacja światopoglądowa, wyostrenie świadomości egzystencjalnej i artystycznej. Wierszami wchodzącymi w skład *Wesołego cmentarza* rozpoczął poeta swoją dramatyczną wędrówkę pod prąd oficjalnie akceptowanego nurtu poezji przełomu lat 60/70 i równocześnie rozpoczął się jego dramat życiowy zakończony przedwczesną śmiercią w roku 1985. Niewątpliwie jest więc *Wesoły cmentarz* zbiorem o charakterze przełomowym dla twórczości i życia poety, mającym również znaczenie jako dowód nieustających wysiłków wyrwania nowoczesnej poezji ukraińskiej spod paraliżującego ciężaru estetyki sentymentalno-heroicznej, przesiąkniętej egzaltacją i patosem. Patos poezji niewolników, poezji gęstej od aluzji, symboli, o charakterze najczęściej historycznym, jakże typowy dla wielu pokoleń ukraińskich twórców, jest częściowo obcy Stusowi. Ale nie tylko jemu. Wolna jest od niego także poezja innych *sztisdiesiatnykiw* — Igora Kałyńcia, Iwana Dracza, Liny Kostenko, Iwana Switłyckiego, a z młodszych twórczość Wasyla Hołobord'ki. Stus próbuje nowych dla siebie środków wyrazu, eksperymentuje ze słowem, ale także nie odwraca się całkowicie od poezji, którą zaprezentował nielicznym czytelnikom w tomie *Zymowi derewa*, a więc zbliżonej do tradycyjnych form liryki. „*Tomik z 1970 roku — to swoisty początek wolnego od rymowanych starokanów lirycznego słowa poety. Nie mając możliwości drukowania swoich utworów, poeta zrezygnował z wewnętrznej i zewnętrznej cenzury, dużo eksperymentował, tworzył neologizmy, próbował zintensyfikować znaczenie każdego poetyckiego słowa*”.

Odniesieniem dla lirycznego świata *Wesołego cmentarza* była rzeczywistość otaczająca poetę. Pełna paradoksalnych emocji, emanująca przecuciem zagrożenia, śmierci, a jednocześnie porażająca absurdem, groteskowością. W świecie *Wesołego cmentarza* typowe jest przenikanie się życia i śmierci, groteski i powagi, pozoru i autentyczności — „*nie poznasz, gdzie ludzie, a gdzie ich cienie*”. Poecie najbardziej doskwiera świadomość pozorności własnego życia; forma odgórnie sterowanej egzystencji, otaczające go nakazy i zakazy, niezgłębione oceany hipokryzji i okrucieństwa w stosunkach międzyludzkich: „*Zdaje mi się, że nie ja żyję, a ktoś inny żyje za mnie na świecie, do mnie podobny*” — notuje w jednym ze swoich wierszy. Te ponure tonacje przełamuje Stus sarkastycznym tonem, ironią, deformacją obrazu. Kluczowy wśród nich jest obraz zdruzgotanego cmentarza-pobojowiska, gdzie pośród krążących bezradnie ludzkich cieni tańczy rehotliwy czort, szczydzący z tego, co jeszcze zdawało się mieć jakąś

3. Ze wstępu do *Wesołego cmentarza* pióra Dymytra Stusa, syna poety.

wartość w świecie żywych. Stus nie stroni także od groteski i akcentów publicystycznych. W jednym z wierszy znajdziemy opis wystawy psów w jakimś prowincjonalnym mieście. Pobrukujące medalami, zadolowane z siebie pyski psów i nie mniej wniebowzięte twarze ich właścicieli. A naprzeciw — widownia: poborowi, emeryci — bohaterowie wojny, zeki z pobliskiego obozu, wynędzniali, szary tłumek prawdziwych niewolników z syberyjskiej prowincji, smętnie wspominający swoje odznaczenia. Ileż tych orderów zebrał człowiek sowiecki zanim trafił do obozu, na zesłanie czy do karnej jednostki wojskowej. „*I bezmierny żal wypełniał moją głodną duszę, że nie jestem psem. Wyorderowanym psem*” — rozmyśla podmiot. Groteska, ironia, „świat na opak”, depoetyzacja. Językowo-obrazowa wielostylowość poezji Stusa jest efektem łączenia tradycji romantycznego klasycyzmu (Szewczenko, Rilke, Kipling), awangardy (poezja lingwistyczna) i tzw. poezji zaangażowania, co daje oryginalną, choć nie zawsze artystycznie wyczelowaną, indywidualną poetykę. Zwłaszcza w późniejszym czasie, złe warunki, uwięzienie, pośpiech, ciężka praca w kopalni, w sumie dwa wyroki (łącznie 23 lata, w tym 13 spędzonych w obozie i na zesłce) nie dały najmniejszych szans na szlifowanie wierszy, a skądinąd wiadomo, że ogromna ich ilość przepadła zniszczona przez więzienne służby i nadzór śledczy. Momentami Stus jest może zbyt egzaltowany i nadużywa semantycznej ekspresji („*grymasy podłości, podłość podłości, podłość podłości podłości*”) — tam gdzie doskonały efekt dałaby skromność środków, wyciszenie. Są to jednak mankamenty należące do osobliwości stylu i wrażliwości autora, poddanego szczególnie ciężkim doświadczeniom już na przełomie lat 60/70. Z reguły Stus wystrzega się tego, co sam nazwał kiedyś „obłudną poetyką”. Rzadko zbliża się do rozlewnego liryzmu, a jeśli już to czyni, natychmiast po tym wprowadza odmienny nastrój, depoetyzuje liryczny obraz.

Wesoły cmentarz jest w dużej mierze zbiorem autobiograficznym. Poeta pisze o sobie, o żonie, dziecku, dedykuje wiersze przyjaciółom. Dominująca w późniejszych wierszach nuta rozpacz, wyobcowania, poczucia osobistej i narodowej przegranej jeszcze nie brzmi w pełni, ale już jest słyszalna. W planie ponadosobistym Stus wyrażał idee swojego pokolenia, jego nadzieje i rozczarowania. Później będzie opisywał jego tragiczne losy więzienne i zesłańcze (znaleźli się tam jeszcze m.in. Kałyńec, Switłycki, Rudenko, Czornowoł, Moroz, Marczenko, Berdnyk, Tichyj). Zdawało się wręcz, że powołaniem ukraińskiego poety, usiłującego w latach 60-tych i 70-tych zachować swoją tożsamość ludzką, narodową i artystyczną, jest uwięzienie i zesłanie. Tworzyły się legendy, ale ginęli też ludzie, najłepszy jakich miała Ukraina. Stus i Kałyńec, wyrażając opinię przynajmniej części

swojego społeczeństwa, stali się świadkami i sędziami zbrodni, które na tym pokoleniu popełniono. M.in. zamordowania artystów wyrażających w swojej twórczości niezależne idee estetyczne i patriotyczne: malarzki Ałły Horskiej, kompozytora Wołodymyra Iwasiuka. Ich pamięci poświęcili obaj kilka utworów. *Wesoły cmentarz* posiada ogromny ładunek dramatyzmu, wyraża gorzkie przeświadczenie poety o daremności przeciwstawiania się losowi i zarazem przesłanie wiecznego buntownika, nieustannie zmagającego się z losem. Ta poezja w sposób paradoksalny wyraża jednocześnie idee prometeizmu i postawy stoickiej, nacechowanej samowiedzą filozoficzną i artystyczną. Stus pisze w jednym z wierszy: „*I nie ma dla ciebie ratunku: skruszyć martwą skamielinę / i w niespokojne morze uciec, / by tam miotać się i, jak pusty / żagiel, napętniać się szalem dnia / i już ujarzmiony pogodzić / z obłędem białego świtu. Płyn / i zgiń zbląkane czółenko*” (*Wesoły cmentarz*, s. 41).

Poczucie utraty sensu istnienia w absurdalnym świecie, pesymizm autora, rozliczanie się z chimerami młodości, ze złudzeniami myśli jest charakterystyczne dla rozrachunkowej warstwy *Wesołego cmentarza*. Poeta nie oszczędza nikogo, zwłaszcza sobie współczesnych rodaków, których oskarża o infantylizm, swoiste zdziecinienie: „*Ze świata imitacji — / wpelnij w każdą ze zruconych skór. / Cofnij się — wróc do narodzin, / gdzie szczęście ciemności, smrodu i ciasnoty / i tam twórz raj*”. Słowa pełne goryczy, niesmaku i protestu wobec rzeczywistości politycznej i narzucanej doktryny estetycznej, znajdziemy także w twórczości Switłycznego, Moroza, Czornowoła, Berdynyka, Kałynca, gdzie rozgrywał się podobny dramat świadomości. Zresztą, przy wszystkich różnicach poetyki, wrażliwości, artystów tych złączyło na zawsze wspólne doświadczenie obozu, nierzadko wspólna prycza, sprzeciw wobec przemocy, gloryfikacja praw jednostki i narodu. W sferze poezji łączy ich pewna nuta obywatelska, nasiloną oczywiście w niejednakowym stopniu, a także swoisty egzystencjalny ton, porażający autentyzmem strasznych doświadczeń, których skali nie sięgnął nigdy znudzony pustką własnej osobowości bohater poezji i prozy zachodnioeuropejskich egzystencjalistów.

Muza przebudzona Igora Kałynca, zbiór wierszy zawierający dorobek poety z lat 1965-1972 (wyimki z ośmiu tomów), jest niewątpliwie tytułem symbolicznym, wyodrębnia i nazywa pierwszą fazę twórczości, nieco różniącą się od późniejszej, więziennozesłanniczej — nazywanej czasem „*Muzy zniewolonej*”. Poeta tworzył tylko do roku 1980 (kilkanaście tomów) i zamilkł. Ola Hnatiuk pisze we wstępie do zbioru, iż powodem był wstrząs, któ-

rego Kałyneć doznał widząc brak zdecydowanej reakcji ukraińskiego społeczeństwa na ciosy, jakie komunistyczna władza zadała w latach 60-tych i 70-tych ukraińskiej inteligencji i jego pokoleniu. Na Ukrainie przed rokiem 1990 ukazał się tylko jeden zbiór poezji Kałynca — *Wohoń Kupala* w 1965. Pozostałe wydawano na Zachodzie, co, podobnie jak w przypadku Stusa, spowodowało powstanie paradoksalnej sytuacji. Najwybitniejsi ukraińscy poeci w ogóle nie byli znani w swoim kraju i wciąż są zbyt mało znani. Ich bunt, odwaga, poświęcenie, ofiara dopiero dziś stają się jakimś punktem odniesienia w literaturze, a ich poezja okazuje się odnalezionym, brakującym ogniwem, który nadaje nowy sens historycznemu rozwojowi ukraińskiej poezji w drugiej połowie dwudziestego wieku. Wedle Iwana Switłycznego, poety, ale także utalentowanego eseisty i krytyka poezji, Kałyneć-poeta jest realistą kreującym własną wizję artystyczną opartą o szczególne poczucie tożsamości z tradycją. Wzorów dla tej poezji szukał krytyk w twórczości i filozofii ukraińskiego pisarza z XVIII wieku, Hryhorija Skoworody, w poezji Szewczenki, w europejskim klasycyzmie. Tradycyjna miara wiersza, dystans, refleksyjność, impresyjność, silny związek podmiotu wierszy z przyrodą ojczystą, miłość do kobiety, ogromne poszanowanie tradycji religijnej, zarówno pogańskiej jak i chrześcijańskiej, powodują, że poezja Kałynca staje się liryką intymnego wyznania, metafizycznej refleksji, delikatnych kształtów i nasyconych impresyjnością obrazów. Bywa też Kałyneć symbolistą odwołującym się do tradycyjnej topiki ukraińskiej: kaliny, ryceza, stepu, ptaka szybującego nad stepem, cyklicznego czasu i zesłańczej martyrologii. Kałynca wspomnienie cierpienia to: „*nekropol / przewieziony z białych łodów / nekropol / przewieziony z egzekucyjnych piwnic / nekropol / przewieziony przez morza nostalgii / czy przyjmiesz / ukrzyżowana droga / pod złoty dach / ścianę przesiąkniętą krwią / beresteczko poezji*” (1970 r., s. 257).

Później nadejdzie okres poezji religijnej i, w więzieniu, pora poetyckiej gnomy, odwołującej się do tradycji liryki filozoficznej i politycznej. W latach 70-tych poezja Kałynca nabierze również tonów obywatelskich, natomiast Stus znacznie poszukiwać artystycznych rozwiązań w poezji lingwistycznej. Przypomnijmy, że w Polsce jest to okres szybkiego rozwoju poezji Nowej Fali. Ukraińscy poeci są o kilka lat starsi, niż ich polscy koledzy, ale podobieństwa, oczywiście w odpowiednich proporcjach, są nader zastanawiające. Obywatelski, antytotitalarny, ale zarazem ironiczno-groteskowy ton wierszy Switłycznego, Stusa, Kałynca, Moroza, Marczenki w połączeniu z tradycyjną formą poetycką jest charakterystyczną cechą twórczości pokolenia lat 60-tych i jego bezpośrednich następców — Wasyla Hołobord'ki, Mykoły Wo-

robiowa, Mychajły Saczenki. Znamienne jest także odwoływanie się do języka gazety, do gotowych form przekazu i próby ich kompromitowania („*ne wir hazetam*” — w jednym z wierszy Kałyńcia). Na tę poezję oddziaływała także polska poezja pokolenia 56, zwłaszcza w zakresie stosunku do języka (lingwizm), obrazowania (nadrealizm), zagadnień światopoglądowych (moralizm). Wybrawszy w poezji nutę obywatelskiego nieposłuszeństwa i krytyki rzeczywistości, Kałyнець w pełni uświadamiał sobie konsekwencje takiej pozycji — zarówno życiowe jak i artystyczne. Wyraźnie świadczy o tym wiersz z tomu „*Werlibrowyj wyrok*” — „(...)nie pominąwszy /zarozumiałej / barokowej zbrojowni /publicystyki (...) trzy razy na dzień / przekonuję się / jeśli nie jesteś / donosem na poetę / to co jest tobą / poezjo?”. Tego nurtu w ukraińskiej poezji lat 60-tych i 70-tych nie zdołały zniszczyć surowe represje. Wprawdzie ukraińska „Nowa Fala” tamtych lat dziś jest tylko legendą, lecz jej znaczenie dla dalszego rozwoju poezji w swoim kraju jest ogromne. To ona prawdopodobnie będzie w najbliższych latach pełnić rolę estetycznego i moralnego punktu odniesienia dla młodszych pokoleń. Do ponownego życia wchodzi po dwudziestu latach nieistnienia już jako klasyka. Nie żyją Stus, Marczenko, Tichyj, Walentyna Moroza wygnano z kraju. W podobny sposób znalazł się za granicą Mykoła Rudenko, który powrócił na Ukrainę w roku 1990. Wielu wybitnych poetów zamilkło — Switycznyj, Czornowół, Kałyнець. Ostatni tom wierszy Kałyńcia, już poza omawianym wyborem, nawiązujący do cyklu *Muzy zniewolonej* — *Łady i Maren* (1980) — dotyczy związku miłości i śmierci, ofiary i pamięci. Tom jest hołdem dla zmarłych przyjaciół, wyrazem przyjaźni wobec ocalałych, refleksją o wspólnych doświadczeniach, jest także wyznaniem skierowanym do ukochanej kobiety. Eros i Thanatos, przebrane tu za bóstwa z dawnej prasłowiańskiej mitologii — *Łady i Maren* (*Łada*, *Marzanna*) — są symbolem śmierci i odradzającego się życia, prefiguracją cyklu, wobec którego polityczna doczesność, stanowiąca rodzaj pułapki bez wyjścia, jest zaledwie zgrzytem w kosmicznym potoku. Ważna jest za to pamięć o tych wszystkich, którzy zdecydowali się na nierówną walkę. Pamięć bowiem to mit. Ucisk, bunt, zemsta wroga, odrodzenie i ponownie ucisk, bunt, zemsta i następne odrodzenie, ofiara złożona przez najlepszych — oto symboliczny zapis ukraińskiego mitu, którego istotę wyraził już w swojej poezji Taras Szewczenko. Dlatego też żaden ukraiński poeta, pragnący zbliżyć się do doświadczeń swojego narodu, nie może pominąć szewczenkowskiej lekcji. Kałyнець, podobnie zresztą jak i Stus, od tej tradycji nie chce się odżegnywać. Więcej, bardzo często odwołuje się do szewczenkowskiej symboliki, aczkolwiek korzysta z niej w swoisty, własny,

poetycki sposób. W jednym z wierszy, ze zbioru *Zapysky do tiurny* napisał Kałyнець: „*Nasza pieśń protestu / Szewczenko / Wczoraj / Dzisiaj / Jutro*”.

Miejsce poetyckiej twórczości Stusa i Kałyńcia w literaturze ukraińskiej nie jest jeszcze dokładnie ustalone. Od śmierci pierwszego minęło dopiero siedem lat, drugi, choć już nie tworzy, przecież wciąż jest zdolny zmienić historyczną ocenę swoich dokonań. Nie ulega jednak wątpliwości, iż niezależnie od emocjonalnych reakcji dominujących w okresie tak radykalnych przewartościowań, jakie dokonują się na Ukrainie w ocenie własnej literatury wieku XX, pewne zjawiska i twórcze osiągnięcia są już poza wstępnym etapem sporu. W ogromnym stopniu dotyczy to Stusa i Kałyńcia, niewątpliwie najwybitniejszych poetów swojego pokolenia i całego okresu lat 60-80.

26 marca 1992 r.

Bogusław BAKUŁA

powojennej prozy polskiej po angielsku pt. *The Broken Mirror* (Random House 1958), kilka roczników kwartalnika *Tematy*, który redagował w latach 1962-1970, sporo recenzji, kilka nieopublikowanych esejów, nowel i wierszy, a także dziennik i kilkadziesiąt tek korespondencji.

„Urodziłem się w Polsce, w Łodzi, w 1920 roku”, pisał w sierpniu 1958 roku do Tadeusza Różewicza. „Aresztowany, zupełnie niepotrzebnie spędziłem dwa i pół roku w Rosji (mój uniwersytet à la Gorki); objechałem niemal cały świat, mieszkałem przez kilka lat w Anglii (bardzo pusty okres wojskowy); od kilku lat jestem w Stanach Zjednoczonych. Piszę wyłącznie po angielsku, drukuję nowele w tzw. dobrych pismach amerykańskich (*Partisan Review*, *Modern Writing*, *Paris Review* itp.), tłumacząc poza tym prozę i poezję polską na język angielski. Kończę obecnie powieść, na którą mam już — na szczęście — wydawcę. Jestem jednym z tych szczęśliwych ludzi, którzy „weszli”, ale nie ugrzęźli w literackim środowisku amerykańskim. Stadium moje to debiut i zdaję sobie sprawę z własnej niezdarności. (...) Obiektywnie akceptuję otaczającą mnie rzeczywistość, ale — jako natura „wiecznie niezadowolona” — próbuję szukać czegoś, co w zastępstwie lepszego słowa nazwałbym wartościami nadrzędnymi. (...) Na razie czytam i studiuję literaturę amerykańską i angielską w nadziei, że kiedyś przyczynię się w jakimś stopniu do załatania dziury, jaka tkwi w tej dziedzinie w klimacie i mentalności polskiej. Najszczerczej czytam Gogola, Dostojewskiego, kilku Francuzów, Faulknera, Hessego, Manna, Kafkę”.

W *The Journey and the Pity* (tytuł zaczerpnięty z *Boskiej komedii*) i w opowiadaniach („Rzeka”, „Komary”, „Brzeg lasu”, „Zabójca”) próbował Mayewski dać po swojemu przemysłaną syntezę zła — realizowanego mechanicznie, dzień po dniu, w oderwaniu od nieba i ziemi. Anonimowa abstrakcyjność tego ujęcia i jego rzekoma ezoteryczność miały uwypuklić strukturę i mechanizm układu sił, którego autor/protagonista był i świadkiem i niemyym uczestnikiem.

Krytyka amerykańska przyjęła powieść z przychylną rezerwą; najwięcej zastrzeżeń budziła mglistość koncepcji; „przerazająca w swojej prostocie wizja odczłowieczenia” przemówiła tylko do jednego recenzenta. Jerzy Stempowski uznał Mayewskiego „relację z kraju cieniów” za jeden z „najlepszych wzorów tego literackiego gatunku”. Gombrowiczowi „szatan Mayewskiego” wydał się „straszliwy... ze zwyczajnej i wiecznej nędzy ludzkiej... elementarny, jak głód, pragnienie, nagość, niewola”.

Do emigracyjnego środowiska literackiego Mayewski się garnął, ale nie był też i od niego odizolowany: przyjaźnił się z Józefem i Haliną Wittlinami, Wacławem Iwaniukiem, Janem Leszczą (Wiktorem Londzinem) i Janem Kempką, w późniejszym okresie także z Leopoldem Tyrmandem, Julią i Wacławem Bnińskimi, Henrykiem Grynbergiem i Robertem Kostrzewą. Podczas dwóch pobytów w Polsce (1961 i 1965) i w związku z wizytami,

Ci, co odeszli

O Pawle Mayewskim

We wspomnieniach przyjaciół i bliskich znajomych Paweł Mayewski rysuje się jako człowiek obdarzony przenikliwą inteligencją i rzadką wrażliwością na losy świata i ludzi. Pogodny, bo pobawiony goryczy, pesymizm łączył z dobrotliwością, bo nacechowaną wyrozumiałością, mizantropią. Jasny, szczerzy, w sposobie bycia wolny od wszelkiej sztuczności, był mimo to postacią w pewnej mierze zagadkową nawet dla tych nielicznych, z którymi wiązała go długoletnia zażyłość.

Silna indywidualność Pawła Mayewskiego sprawiała, że spłoty sprzeczności i paradoksów, jakie wszyscy w sobie nosimy, były w nim wyraźniej niż zwykle zarysowane, bardziej jak gdyby namacalne.

Nieustępliwie przeświadczony o słuszności swoich przekonań i swojej „wersji prawdy”, był orędownikiem tolerancji wobec odmiennych punktów widzenia. Opowiadając się za zaangażowaniem intelektualnym i politycznym, twierdził uparcie, że tylko obojętność pozwala przechować w życiu to, co nazywał integralnością substancji. Osierocony we wczesnym dzieciństwie, spragniony życzliwości, dobroci, uznania, mówił często, że chciałby, aby nic o nim nie wiadano, nigdzie i nigdy. Systematyczny i niechętny zmianom w schemacie codziennego życia, w latach 1972-1991 nieustannie się przeprowadzał, odnawiając i przebudowując domy, w których znajdował krótkotrwałe złudzenie stabilizacji. Rzutki, ambitny, przedsiębiorczy, pracowity, obowiązkowy, wyrobiony towarzyszko, już w 53 roku życia wycofał się, z rozmysłem i bez wahań, ze środowiska, do którego należał.

Po zaanonsowaniu swojej obecności w literaturze zapisał się w niej kilkoma zaledwie zgłoskami: powieścią pt. *The Journey and the Pity* (Scribner's 1963) i cyklem opowiadań zebranych w tomie pt. *Rzeka* (przekład Jana Kempki; Oficyna Poetów i Malarzy 1960). Pozostawił też po sobie dwukrotnie wydaną antologię przekładów poezji angielskiej i amerykańskiej (*Czas niepokoju*, 1958 i 1965), tom

jakie organizował w Stanach dla pisarzy z Polski, zaprzyjaźnił się z Tadeuszem Różewiczem, Kazimierzem Brandysem, Arturem Międzyrzekim, Wojciechem Natansonem, Kazimierzem Orłosiem. Przez długi czas utrzymywał korespondencję z Janem Rostworowskim i Andrzejem Bobkowskim.

Kontakty z redakcjami czasopism amerykańskich, które ułatwiła praca w Komitecie Wolnej Europy, zetknęły go z ludźmi, których cenił i lubił — m.in. z Lionelem Trillingiem, Danielem Bellem i Karlem Shapiro. Ludzie ci z kolei pomogli mu w założeniu *Tematów* — pionierskiego na owe czasy publicystycznego przedsięwzięcia, dla którego udało mu się uzyskać debiet w Polsce.

Po zlikwidowaniu *Tematów* w 1970 roku i po kilkunastomiesięcznej pracy w waszyngtońskim zespole *Ameryki* chciał za wszelką cenę kontynuować pisanie. W planach — nigdy niezrealizowanych pomimo kilku intensywnych prób — miał drugi tom powieści, dalsze nowele i publicystykę.

Czy powodem tego zastoju, którego świadomość dręczyła go przez resztę życia, było zapatrzenie w nieosiągalne wzory doskonałości w literaturze, paraliż wynikły z onieśmienia w obliczu wielkości pierwszego rządu? Czy zaniemógł, bo zabrakło doświadczeń dorównujących syberyjskim dotkliwością i ekstremizmem? A może w sedno sprawy utrafił Gombrowicz w kokietyjnym nieco liście z 1960 roku: „Ja jestem intelektualistą tylko w małym procencie, tylko pomocniczo. I mam pewność, że z nas dwóch Pan jest bardziej intelektualny... wyczuwam w Panu pewien brak sprytu, giętkości, jowialności, humoru etc. etc., tych elementów, które zbliżają do życia i do konkretności. W panu osobiście — w pańskich rzeczach te rzeczy funkcjonują, ale, powiedziałbym, jak zranione, prawie śmiertelnie...”

W ostatnich latach wiele czytał, trochę tłumaczył na angielski (m.in. wiersze Władysława Szlengla) i pracował nad „małym testamentem filozoficznym” („tylko po to, by nikt później nie przeinaczał”). Jego lektury ciążyły w tym okresie ku filozofom szkoły jońskiej (Tales, Heraklit) i ku stoikom. Prawie codziennie wracał do Słowackiego i do Szekspira. Był znawcą i błyskotliwym komentatorem twórczości Eliota, Arnolda, Jeffersa, Orwella, du Garda, Gide'a, Malraux, Camusa.

Diagnozę o złośliwym nowotworze płuc, wystawioną we wrześniu 1991 roku, przyjął ze wzruszającym spokojem. Umarł 21 października.

Jacek NIEĆKO

Książki

„Zagubieni romantycy” i inni

Wacław Zbyszewski, jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich publicystów, który zmarł w 1985 roku, nie doczekał za życia powrotu do Polski. Wrócił do niej dopiero po śmierci tomem swych artykułów pt. „Zagubieni romantycy i inni”, wydanym przez Instytut Literacki w Paryżu*. Wcześniej mogli go znać w kraju tylko słuchacze radia Wolna Europa, do których przemawiał przez wiele lat.

Pisząc nieustannie przez przeszło pół wieku, najpierw przed wojną w prasie krajowej — głównie w krakowskim *Czasie* i wileńskim *Słowie* — w czasie wojny i przez następne czterdzieści lat w londyńskich *Wiadomościach* i paryskiej *Kulturze*, nigdy nie wydał książki, jak to robili inni. Składało się na to kilka psychologicznych przyczyn. Jedną z nich był wrodzony sceptycyzm, który mu nie pozwalał wierzyć w jakikolwiek praktyczny skutek jego rozważań i rad. Ponieważ nie miał zaufania do czytelników, że z nich skorzystają, więc uważał, że nie warto trudzić się wydawaniem książki. Ale może najsilniejszy w tej niechęci do utrwalania tego co pisze był strach przed konfrontacją swoich uwag i przepowiedni z tym co przyszłość może przynieść i co mogłoby podważyć jego autorytet i teorię, w które sam święcie wierzył.

Okazało się, że nie miał racji, bo ta przyszłość, która stała się naszą obecną teraźniejszością, potwierdziła jasność jego widzenia i sądów. W listach z Polski od młodszych od niego nieraz o dwa pokolenia czytelników czytam: „Aktualność niektórych tekstów wprost przerażająca! I jaka wspaniała publicystyka!”. Ktoś inny pisze: „WAZ (skrót imienia i nazwiska, często używany jako podpis) — wysmienity! Prawie co do joty przewidział jak będą zachowywali się Polacy i przed jakimi dyle-

* Biblioteka „Kultury”, Tom 472, str. 334, cena 100 F.

matami Polska stanie po upadku komunizmu". A piszą to ludzie, sami parający się piórem. Instytut Literacki, przygotowując swój wybór, podzielił książkę na trzy części. W pierwszej, pt. „Sprawy i troski”, Zbyszewski pisze o sprawach politycznych świata powojennego i o miejscu w nim Polski. W drugiej mowa jest o pisarzach i pismach emigracyjnych, w tym jeden rozdział „Zagubieni romantycy”, który nadał tytuł książce, poświęcony jest paryskiej *Kulturze* i jej redaktorowi Jerzemu Giedroycowi.

Wreszcie w najdłuższej, trzeciej części znalazły się portrety współczesnych Zbyszewskiemu ludzi, poczynając od licznych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, jego Alma Mater.

Portrety te są niepodobne do żadnych nekrologowych wspomnień, choć przeważnie pisane były po śmierci omawianych osób. Ale Zbyszewski uważał, że do ludzi, którzy odegrali rolę w życiu publicznym, nie wolno stosować zasady *de mortuis aut nihil aut bene*, gdyż — jak pisał w jednym ze swych szkiców — „ponoszą oni zbyt wielką i zbyt ciężką odpowiedzialność”, aby normalne względy grzecznościowe mogły się do nich stosować, nawet w chwili gdy zwłoki ich jeszcze nie ostygły”. Potępiając zarówno panegiriki jak i porachunki, starał się o zachowanie równowagi, gdy pisał tak o ludziach sobie bliskich jak i tych, których nie lubił i nie cenił. W książce znalazły się tego przykłady w świetnych portretach Sikorskiego, Stanisława Mackiewicza-Cata, Jerzego Stempowskiego, Wańkowicza, Ksawerego Pruszyńskiego, Czapskiego, Mieroszewskiego i wielu innych polityków, pisarzy, uczonych, którzy przewijają się przez cudze życiorysy. Czytelnik z Polski pisze: „Szkoda, że za mało miejsca w książce zajęły portrety WAZ. Były pisane świetnym stylem, krwiste, pyszne. Dziś już takich ludzi nie robią, jak mówił Przybora”.

Zbyszewski nie miał wątpliwości, że Polska utraciwszy po wojnie wolność, odzyska ją z powrotem, pomylił się tylko w terminach. W jego przewidywaniach mogło to nastąpić za kilka lat, a że pisał o tym bezpośrednio po wojnie, z końcem lat czterdziestych, brał po uwagę ludzi, którzy jeszcze żyli i stosunki krajowe sprzed wojny. Przestrzegał więc przed różnymi niebezpieczeństwami, które po upływie pół wieku stały się nieaktualne, jak walka o wynagradzanie zasług i krzywd wojennych, o wpływy armii, czy resztek sanacji. Ale jego zasadnicze uwagi mogły być pisane dzisiaj. „Będziemy zapewne — pisze — świadkami w Polsce rządów słabych, przy akompaniamencie nieokielzanej demagogii partyjnej... Nasze stronnictwa... w dalszym ciągu i coraz silniej ulegają wpływowi podstawowego prawa naszego życia politycznego, to jest ruchom odśrodkowym; zamiast łączyć się i współpracować, przeżywają rozłamy, kłócą się coraz zawzięciej, nawet wówczas, gdy nikt nie może przedmiotu

sporu dostrzec, przeistaczają się coraz bardziej w niepodległe kapliczki, pozostające w wojnie ze wszystkimi...”

Za najważniejsze zadanie w wolnym na nowo państwie Zbyszewski uważał podmurowanie praworządności, która — według niego — „jest rezultatem przykładu i praktyki. Jeżeli rząd nie będzie dotrzymywał obietnic, jeśli partie będą stosować inną miarę do przeciwników a inną do swoich — autorytet prawa będzie zachwiany. Warunkiem praworządności jest maksymalna jawność życia politycznego i publicznego, gwarancją praworządności — sądy”.

Mówiąc o gospodarce narodowej, Zbyszewski uważał, że będziemy społeczeństwem egalitarnym, „po pierwsze dlatego, że stan taki jest naturalny w krajach ubogich, po wtóre ponieważ jesteśmy zawistni i widok ludzi zamożniejszych od nas bardziej nas irytuje niż własne ubóstwo... Nie zniesiemy widoku milionerów. Dobrze, jeżeli powstanie u nas liczna warstwa ludzi średnio zamożnych”. Zresztą — jak twierdził, opierając się na przykładach naszej powojennej emigracji — „Polacy nie mają talentu do wielkich interesów, jakkolwiek dobrze sobie radzą na małą skalę — sklep, warsztat, gospodarstwo. W Stanach Zjednoczonych, gdzie cudzoziemcy nie mają żadnych przeszkód do zrobienia majątku, istnieją milionerzy żydowcy, włoscy, irlandzcy, skandynewscy, niemieccy, nawet czescy — nie ma polskich”. Więc Zbyszewski woła: „Zadawalniajmy się małym! Ograniczmy nasze ambicje do tego, by zostać drobną burżuazją”.

Trudnym i ważnym problemem dla Polski jest oświata. Zbyszewski pisze — cytuję — „musiała być zła, skoro wyprodukowała takie morze pół-inteligencji, taką pasję do frazesu, taką płytkość — a patriotyzm niewątpliwy nie potrafił zrównoważyć tych wszystkich wad i braków. Oświata musi nie tylko dać wykształcenie znacznie bardziej staranne i praktyczne, ale również zmodyfikować nasz charakter narodowy: wyleczyć z hysterii, blagi, lenistwa, *self pity*... Trzeba kolosalnie podnieść skalę wymogów, zaostrzyć egzaminy, relegować leniów bez pardonu, radykalnie obniżyć liczbę studentów prawa, studentek filozofii i sztuki. Trzeba, by młodzież inteligentka znacznie wcześniej zabierała się do pracy... Trzeba, trzeba... ale kto to robi? Poziom młodzieży uniwersyteckiej był dużo gorszy w r. 1939 niż w 1921, a tej niż studentów w 1910 r. Pół-oświata jest bodaj jeszcze groźniejsza niż ciemnota...”

Świetne są rozważania Zbyszewskiego o polskim katolicyzmie, który — znowu cytuję — „jest tak przypoiony nacjonalizmem, że skoro tylko Polacy znajdują się poza ziemią ojczystą, albo też gdy nie są w Polsce uciskani, ich wiara natychmiast i bardzo gwałtownie słabnie...”

Jest w książce Zbyszewskiego rozdział o polskiej emigracji w

Anglii, o naszych stosunkach z Francją, o niezwykle dziś aktualnym zagadnieniu przeludnienia, któremu Zbyszewski poświęcał dużo uwagi. Gdziekolwiek otworzyć książkę ma się ochotę zacytować jakąś jego celną uwagę, jakieś czasem zbyt dosadne powiedzenie, które swoją zabawną przesadą zwraca uwagę na ważną sprawę. Ale trudno cytować całą książkę. Lepiej ją przeczytać.

Stefania KOSSOWSKA

Proza Pawła Huelle

Paweł Huelle (ur. 1957) ma w swoim dorobku dwie książki: powieść *Weiser Dawidek* (1987) i *Opowiadania na czas przeprowadzki* (1991). *Weiser Dawidek* zrobił furorę. Huelle otrzymał zań nagrodę *Fundacji im. Kościelskich* i nagrodę miesięcznika *Literatura*. Jan Błoński uznał książkę za jedno z najważniejszych wydarzeń w nowszej literaturze polskiej, porównując pisarza z Güntherem Grassem i Michałem Bułhakowem. *Weiser Dawidek* przełożony został na niemiecki, włoski, francuski, angielski, norweski i hiszpański, i zapewne doczekał się zapowiedzianych już wcześniej wydań w Ameryce, Szwecji, Holandii i Finlandii. Reakcja autora na pierwsze głosy krytyki była trzeźwa: „Nie spodziewałem się aż tak wysokiej oceny. Owszem, czułem, że napisałem dobrą, przyzwoitą prozę, no ale żeby od razu takie wyzyny!... nie, nie, to absolutnie przerażało moje najśmielsze marzenia”.

Głosy zachodniej krytyki na temat *Weisera Dawidka* są pełne entuzjazmu. Referuję za *Pulsem* nr 51: „Najbardziej błyskotliwy polski pisarz młodszego pokolenia”, „najlepsza polska powieść lat 80-tych”, „książka o wielkiej tajemnicy życia, w której Huelle połączył cuda, wiarę i partię w jedną polską parabolę”, „świat literacki pełen aluzji do wypędzonych Żydów z Polski”, „powrót ku romantyzmowi czyli Europie Środkowej”. „Nie przypadkiem — pisze jeden z krytyków niemieckich — za scenę powieściowych wydarzeń [Huelle] obiera Gdańsk, miasto Schopenhauera i 'Solidarności', miasto-palimpsest, w którym krzyżowały się szlaki historii”.

Akcja książki toczy się latem 1957 roku w Gdańsku, a raczej w Gdańsku-Wrzeszczu. Skończył się rok szkolny, chłopcy

nie wiedzą co robić z wakacjami, bo morze i plaża pokryte są zdechłymi rybami. Jest ich pięcioro: Dawidek, Piotr, Szymon, Paweł-narrator i nieodłączna towarzyszka Dawidka, Elka. Dawidek, do niedawna najmniej popularny w klasie, wzbudza podziw chłopców, kiedy nagle ukazuje się im podczas procesji w dzień Bożego Ciała na wzgórzu, „w obłoku kadzidlanego dymu”. Jest mały, chudy, niejasnej proveniencji. Mieszka z dziadkiem, Abrahamem Weiserem, krawcem.

Dawidek nie uprawia sportów, nie chodzi na lekcje religii, nie bierze udziału w demonstracjach pierwszomajowych. Nie wiemy, jak się uczy. Jego zainteresowania i wiedza przerastają możliwości normalnego dwunastolatka. Dawidek kolekcjonuje ponemiecką broń i znaczki z Generalnej Guberni. Umie lewitować, hipnotyzuje panterę w oliwskim zoo, wygrywa ze swoją niezdatną drużyną trudny mecz piłki nożnej. Powoli, jakby od niechcenia, Dawidek wprowadza chłopców w swój świat. Opowiada im o Schopenhauerze, twierdząc, iż filozofii uczy się u dziadka, „największego filozofa na świecie”. Pokazuje im pobliski las, odkrywając przed nimi jego tajemnice i zachowując się jak Mojżesz wprowadzający Żydów do Ziemi Obiecanej, wylapuje zaskrońce na działkach i wypuszcza je w lesie na wolność. Rzecz najważniejsza: Dawidek ma pokazny zapas niemieckich niewypałów i aranżuje próbne eksplozje. Ostatnia z nich ma zatrzymać bieg strumienia, powodując powstanie jeziora i tamy i w ten sposób uniezależnić chłopców od cuchnącej rybami plaży. Ale ostatnia eksplozja nie udaje się; Dawidek znika po niej bez śladu, oszołomiona wypadkiem Elka traci pamięć, krawiec Abraham umiera.

Ta historia przerywana jest śledztwem w szkole na temat materiałów wybuchowych i zniknięcia Dawidka, przesłuchania, choć znakomicie rozpisane na głosy, stają się nużące jako konsekwentnie stosowana zasada kompozycji; zbyt często przerywają akcję i sprawiają, że o tych samych wydarzeniach słyszymy co najmniej trzy razy. (Oczywiście, Huelle może powiedzieć, że jest to celowe, bo każdy z nich ma własną wersję wypadków). Drugi błąd, to niejako status ontologiczny tej książki, literackie mizdrzenie się, które w gorszej powieści byłoby mniejszym zgrzytem. „To w żadnym wypadku nie jest pisanie książki — zastrzega się Huelle — tylko zapewnianie białej plamy, zatykanie dziury linijkami na znak ostatecznej kapitulacji”.

Weiser Dawidek w swoich najlepszych partiach pisany jest z perspektywy pamięci dorastającego chłopca. W trakcie lektury czytelnik dowiaduje się, że jest to książka zapisywana? opowiedana sobie? przez dojrzałego mężczyznę, który po wielu latach usiłuje rozwiązać tajemnicę osobowości i zniknięcia Dawidka. Pisze listy do Elki, która wyjechała do Mannheim. Odwiedza ją,

usiłując wydobyć od niej prawdę. Odwiedza także Szymka, o którym dowiadujemy się tylko, że on jeden z całej paczki „do czegoś w życiu doszedł”. Ale nie wiemy, do czego. Pod domem Szymka przeciąga demonstracja, mamy prawdopodobnie rok 1980. Między latem dzieciństwa a późniejszymi spotkaniami rozpościera się pustka wielu lat. Nienapisana część książki. Zagadka małego nihilisty i prestidigitatora pozostaje nierozwiązana.

Pozostaje pytanie, czy Dawidek w ogóle jest możliwy? Huelle powiada w jednym z wywiadów, że całą historię wymyślił i jego bohater jest na to najlepszym dowodem. Dawidek jest oczywistym wytworem literackiej fantazji i marzeń zapamiętanych z dzieciństwa. Jest produktem normalnej, dziecięcej tęsknoty, aby być kimś innym. Mówiąc inaczej, każdy z nas w jakimś okresie życia — najczęściej w dzieciństwie i wczesnej młodości — pragnie być Dawidkiem, lub bodaj najbliższym przyjacielem Dawidka. Dawidek musiał zniknąć, abyśmy nie odkryli, że nigdy go nie było. I to jest w książce piękne.

To, co w tej książce najsłabsze, spowodowane zostało jej nieco sztucznym upolitycznieniem. W grudniu 1970 roku ginie od kuli Piotr. Narrator chodzi na jego grób, opowiada mu o swoich poszukiwaniach; dla niego pisze tę powieść, która, jak twierdzi, nie jest żadną powieścią. Książkę kończy rozmowa z Piotrem, który pragnie wnieść do manuskryptu poprawki; spór dotyczy wierności wobec rzeczywistości i pułapek pamięci, subiektywnego punktu widzenia, którego *Weiser Dawidek* jest obroną i apologią, co nie umniejsza wybitnych realistycznych walorów tej książki. Ale w tym sporze narrator i Piotr okazują się nie być mądrzejsi od milicjanta i nauczycieli, którzy wiele lat temu przesłuchiwali ich w szkole. Dialogi ze zmarłymi są zawsze ryzykowną pułapką; także tu sentymentalna retoryka święci triumf.

Niedawno *Puls* wznowił wydanie *Weisera Dawidka*, nazywając książkę „powieścią dziesięciolecia”. Debiut Huelle uznany został za biblię, a raczej ewangelię, młodego pokolenia. (Patrz: Antoni Libera, „Mały 'Dzień słońca'” *Puls* nr 53). Według Libery *Weiser Dawidek* jest trawestacją życia Jezusa i apostołów. Mam niechęć do symbolicznej interpretacji literatury, ale muszę mu przyznać, iż prawie wszystko się zgadza: domniemane żydowskie pochodzenie Dawidka, imiona chłopów, cuda czynione przez Dawidka, ostatnia wieczerza przed decydującą eksplozją, czyli piknik na zakończenie wakacji. Nawet — czego Libera już nie zauważył — nieodłączna towarzysząca Dawidka, mała grzesznica Elka, w której bez trudu dopatrzeć się można Marii Magdaleny. Z tym wszystkim *Weiser Dawidek* jest w moich oczach znakomitą, choć nieco przydługą książką dla młodzi, powieścią zbudowaną wokół świetnego pomysłu, pełną

znakomitych epizodów, ale o nużącej konstrukcji. Ta powieść przestaje być dobra w momencie, kiedy stara się być także książką dla dorosłych. *Weiser Dawidek* wydaje się bliższy opowieściom Salingera o niezwykłych dzieciach, niż parafrazie życia Jezusa i apostołów. Jest baśnią na temat Wielkich Wakacji, jakie każdemu z nas zdarzają się tylko raz w życiu. Inna książka, o której myślałam podczas lektury *Weisera*, to *Wielki Meaulnes* Alain-Fourniera. (Autor zginął w okopach pierwszej wojny w 28-ym roku życia). Podobnie jak *Weiser Dawidek*, *Wielki Meaulnes* opowiada o utracie tajemniczego przyjaciela, który odchodzi wybrawszy własną wolność. I taką właśnie książką o „wielkim przyjacielu” otoczonym aurą tajemnicy, książką o wolności, która jest największą przygodą młodości, jest dla mnie powieść Huelle.

Opowiadania na czas przeprowadzki są penetracją dzieciństwa, przeżyć zarówno zapamiętanych, jak wyobrażonych. Trójmiasto, z którego pisarz pochodzi, sprzyja literaturze; mieszkają tu Niemcy, Polacy, Kaszubi i ludzie wysiedleni po wojnie z ziem wschodnich. Pan Polaske z opowiadania *Stół*, były więzieni Stutthofu, wyjeżdża do Niemiec. Jego brat jeździ po wojnie do Bieruta, prosząc by pozwolili Niemcom zostać w Gdańsku. Kiedy Bierut odmawia, wiesza się na strychu.

Babka Maria czyta małemu narratorowi mitologię Parandowskiego, ksiądz naucza religii, ojciec — lekkomyślny w owych latach pryncypialności politycznej. Świat dookoła pobudza wyobraźnię, zdjęcia i ludzie opowiadają o innych czasach. Sceny z Ewangelii łączą się w marzeniach z greckimi mitami; w jednym z nich Jezus pomaga Syzyfowi toczyć pod górę głaz. Na zdjęciu rodzinnym dziadek Karol stoi koło prezydenta Mościckiego, pod koniec życia, o władnięty świętym szaleństwem, buduje jednoosobową łódź podwodną. Wujek Henryk jest bohaterem Powstania Warszawskiego i chłopiec marzy, ażeby miasto zajęli partyzanci. Szary absurd socjalizmu dodatkowo koloryzuje wyobrażenia na temat przeszłości; w wyobraźni narratora pomieszczenia wypełniają się przedmiotami, których od dawna w nich nie ma.

Huelle opisuje pierwsze wtajemniczenia w magiczną siłę własnej wyobraźni i umie znaleźć dla ich odpowiednią tonację narracji. Potrafi wyrazić wdzięczność wobec rzeczy i ludzi, które tę wyobraźnię pobudziły, i ile razy to czyni, zamienia się w poetę. Z toku opowiadań wyłania się pasjonująca kronika rodzinna, rodzaj liryczno-epickiej autobiografii, a także historia miasta i kaszubskich okolic. Pierwsza, najbardziej niezawodna mapa pisarza: dom i sąsiedztwo. Wszystkie opowiadania cechuje wartka akcja, we wszystkich otwierają się krajobrazy pełne nie-

spodzianek. Huelle posiada wyjątkową umiejętność zabudowywania przestrzeni swoich opowieści drobnymi epizodami, które same w sobie stanowią miniaturowe powieści. Umie zachować idealną równowagę między fabułą a refleksją, między warstwą epicką i psychologiczną. Ich spoiwem, tym co je uszlachetnia i wznosi, są poezja i metafizyka. Podsumowując: *Weiser Dawidek* jest książką ambitniejszą w zamyśle. *Opowiadania* są pierwszorzędną lekturą, książką którą czyta się jednym tchem. Jeśli „szycie” tej książki poprzedziło mozolne fastrygowanie, to tych fastryg nie widać. Widać je w *Weiserze Dawidku*.

Janina KATZ HEWETSON

Papież a komunizm

Książka Bernarda Lecomte* należy do tych coraz liczniejszych pozycji, które starają się wyjaśnić przyczyny upadku komunizmu. Mniej liczne są jednak prace poświęcone istotnej roli obecnego pontyfikatu w zakończeniu komunistycznych rządów; już z tego względu książka francuskiego autora zasługuje na uwagę. Dziennikarz, w przeciwieństwie do historyka, jest w tej szczęśliwej sytuacji, że może wysuwać tezy, które nie zawsze znajdują oparcie w archiwach, dokumentach czy materiałach źródłowych. Nie znamy jeszcze wszystkich kulis największego przełomu politycznego w historii drugiej połowy XX wieku i osobiście obawiam się, że emocje i propaganda, a przede wszystkim „mediatyżacja”, długo jeszcze będą utrudniać ostateczne ustalenie faktów.

Bernard Lecomte — znany reportażysta paryskiego *L'Express*, już w podtytule zdradza tezę, którą rozwija w książce: „Jak papież pokonał komunizm”. Przeczytałem tę pozycję z zainteresowaniem, choć trudno mi się zgodzić ze wszystkimi opiniami autora. Książka zawiera przystępnie i żywo napisaną relację o watykańskiej *Ospolitiki* (termin wyszedł z użycia w 1989 r.) oraz przedstawia stosunki Kościół-władze w poszczególnych państwach Europy Środkowej i Wschodniej, kroczących przez dziesięciolecia ku świetlanej przyszłości komunizmu.

Ze zrozumiałych względów najwięcej uwagi Lecomte poświęca Polsce, zarówno Kościołowi jak i opozycji robotniczej i inteligent-

* *La vérité l'emportera toujours sur le mensonge*. Edition J.-C.Lattès, Paris 1991, s. 392.

kiej, która zapoczątkowała proces transformacji ustrojowej. Właśnie w rozdziałach dotyczących Polski sporo twierdzeń autora przyjąć trzeba z pewną rezerwą, zaakceptował on bowiem dość bezkrytycznie popularną wersję historii najnowszej. Ponadto, przedstawiając ostatnie lata, opierał się głównie na relacjach uczestników wydarzeń, nadal zaangażowanych w praktyczną działalność polityczną. Zawarty w książce obraz przemian w Polsce jest zatem jednowymiarowy, a na optykę autora wyraźnie wpłynęły przekazy uczestników i realizatorów „okrągłego stołu”. Lecomte dotarł także do członków byłych władz partyjnych (Kania, Waszczuk, Kąkol), trudno jednak przyjąć, by ich relacje pomogły autorowi w rekonstrukcji faktów historycznych. Istny zalew wywiadów i wspomnień byłych działaczy partyjnych to dla historyka prawdziwe utrapienie, bowiem ich autorzy starają się przede wszystkim dowiedzieć, że jako szczerzy patrioci zawsze działali w interesie narodu. Imponująca ilość zebranych materiałów (Lecomte gromadził je na obszarze między Watykanem a Gdańskiem, Tiraną a Moskwą) nie uchroniła autora przed logicznymi niekonsekwencjami. Trudno je tutaj wszystkie wyliczyć, ograniczmy się jedynie do paru przykładów, charakteryzujących optykę Lecomte'a: Tadeusz Mazowiecki — przyjaciel papieża — to premier pierwszego niekomunistycznego rządu. Na przeciwnym biegunie politycznym autor umieszcza generała Kiszczaka — szefa policji politycznej, który nakazał spalenie archiwów IV departamentu; Lecomte przeoczył fakt, że premier Mazowiecki zabiegał o to, by właśnie Kiszczakowi powierzyć resort MSW w swoim rządzie. Stanisława Stomnę autor przedstawia na str. 126 jako posła, który w 1976 r. odważnie odmówił głosowania za zmianami konstytucji, mającymi uprawomocnić kierowniczą rolę partii i utrwalić zależność Polski od Związku Sowieckiego (Stomma wstrzymał się wówczas od głosowania, była to zatem odwaga połowiczna). Nieco dalej (str. 173): Stanisław Stomma — w 1990 r. przewodniczący Rady Społecznej przy Prymasie Polski — w rozmowie z autorem krytykuje nie tylko księdza Popieluszkę („nie sądzę, aby był bohaterem narodowym, podsycał napięcia”), lecz i Jana Pawła II za poparcie udzielone zamordowanemu kapłanowi. Myli się Lecomte twierdząc, że „Lech Wałęsa dzięki genialnej intuicji uratował sierpniowy strajk w stoczni gdańskiej”. Było akurat odwrotnie: Wałęsa ogłosił zakończenie strajku, a „uratowały” go Alina Pięnkowska i Anna Walentynowicz. Trudno się też zgodzić z lakonicznym twierdzeniem autora o niepowodzeniu rozmów w Magdalence. Wystarczy obejrzeć zamieszczone w wydanej przez BGW książce o gen. Kiszczaku zdjęcia z końcowej libacji — jej uczestnicy nie sprawiają wrażenia rozczarowanych.

Równie pobieżnie traktuje Lecomte obrady „okrągłego stołu”: „23 sierpnia (1989 r.) Tadeusz Mazowiecki otrzymał misję utworzenia rządu. Czy ktoś mógł wyobrazić sobie coś takiego rok wcześniej?” — pyta autor. Na te retoryczne pytanie można udzielić odpowiedzi twierdzącej: wyobrażał to sobie Jerzy Urban już w 1981 r.,

jak świadczy jego list do Kani (publikowany także po francusku). Z dużą dokładnością porozumienie „okrągłego stołu” przepowiedział Anatolij Golicyn w swej ukończonej w 1983 r. książce. I wreszcie Andrzej Rozpłochowski ujawnił, że rozmowy między władzami a wybranymi przedstawicielami „Solidarności” rozpoczęły się już w 1984 r. Czyli *pieriestrojkę* zainicjowano w Polsce, zanim jeszcze jej „twórca” objął władzę w ZSSR...

Zbierając materiały do książki Lecomte natrafił na mało znane fakty, których nie potrafił jednak zinterpretować. Nie zdawał sobie bowiem sprawy, że Polska była dla Moskwy swego rodzaju poligonem doświadczalnym. Latem 1987 r. gen. Jaruzelski w czasie spotkania z Gorbaczowem na Krymie przedstawił plan wprowadzenia pluralizmu na szczeblu komunalnym. Po powrocie do Warszawy wspólnie z generałem Kiszczakiem opracował „supertajny” plan, który miał być wypróbowany w Polsce, a w wypadku powodzenia eksperymentu — miał zostać powtórzony w Związku Sowieckim. O „supertajnym” planie wiedział prof. Geremek...

„Okrągły stół” był wzorem transformacji ustrojowej, która miała następnie objąć cały obóz sowiecki. Jego dokładna geneza i różne poufne fazy przygotowawcze nie są w pełni znane; trudno zarzucać autorowi, że nie starał się dokładniej poznać tego zagadnienia. Ale entuzjastyczną ocenę „upadku komunizmu” w Polsce można już teraz zrewidować, biorąc pod uwagę pośrednie i bezpośrednie skutki „okrągłego stołu”, a jeszcze w większym stopniu — zakulisowych narad w Magdalence. Społeczną apatię, absencję wyborczą i dezorientację składa się często na karb zsowietyzowania Polaków. W czasie 16-tu miesięcy „Solidarności” (1980-81) ci sami „zsowietyzowani” Polacy z bezprecedensową determinacją walczyli o prawo do decydowania o losach kraju i mimo bez porównania trudniejszej sytuacji politycznej czuli się obywatelami. Ba, byli i tacy, którzy po 13 grudnia 1981 gotowi byli ryzykować życiem i wolnością w obronie „Solidarności”. Ale okres „Solidarności” rozpoczął się od negocjacji w stoczni gdańskiej, które w myśl żądań strajkujących transmitowano przez radiowęzeł. Postkomunizm rozpoczął się od poufnych narad przy suto zastawionych stołach w Magdalence...

W książce Lecomte’a znacznie ciekawsze niż część poświęcona Polsce są rozdziały dotyczące meandrow watykańskiej polityki wschodniej za Jana XXIII i Pawła VI, relacje o sytuacji Kościoła w innych krajach bloku wschodniego, czy wreszcie mało znane kulisy konklawe w 1978 r. Autor przypomina losy katolików w Albanii, która była drugim po Włoszech chrześcijańskim krajem w Europie. Nawet historycy zapomnieli o biskupach albańskich, którzy oddali życie w obronie wiary. Ich długą listę otwierają arcybiskupi Szkodry i Durres — Thaci i Prenushi, którzy, nie godząc się na podporządkowanie Kościoła katolickiego partii, zmarli w więzieniu. Towarzysze albańscy byli najwierniejszymi uczniami Lenina, tworząc pierwsze w historii państwo „naukowo” ateistyczne. Za udzielenie chrztu

rozstrzelivano kapłanów, udział w tajnym święcie Bożego Narodzenia karano więzieniem. Dopiero obecny papież przypomniał światu losy Albańczyków, wzywając wiernych w 1983 r. do modłów w intencji przywrócenia wolności religijnej w kraju Skanderberga (bohater narodowy, w imię wiary katolickiej odparł w XV w. najazd Ottomanów; o jego katolicyzmie nie można było za rządów Envera Hodży wspominać).

Jeżeli nawet główna teza Lecomte’a to dziennikarski *overstatement*, trudno nie docenić roli obecnego pontyfikatu w odrodzeniu społeczeństwa obywatelskiego w Europie Środkowej i Wschodniej. Zmiana w postawie kardynała Tomaška, uprzednio powolnego władzom, dokonała się nie bez inspiracji Ojca Świętego. Kardynała Mindszentego, najpierw więzionego i torturowanego przez komunistów, a później zmuszonego przez Watykan do opuszczenia Węgier, Jan Paweł II określił jako „wzór dla świata katolickiego”.

Właśnie w krajach katolickich (Czechosłowacja, Litwa, Polska, Węgry) ruch dysydencki czy opozycyjny był najsilniejszy. Wynikało to zarówno z odmiennej struktury Kościoła Poszechnego, jak z faktu, że katolicyzm — w przeciwieństwie do protestantyzmu czy prawosławia — stworzył własną naukę społeczną. Zbyt powierzchowna wydaje mi się ocena Lecomte’a, który twierdzi, że w czasie robotniczych buntów w Polsce czy w czasie powstania na Węgrzech wartości chrześcijańskie odegrały podrzędną rolę. Wszystkie te wystąpienia były rewindykacją praw naturalnych, tyle że termin ten zniknął także z języka Kościoła, w okresie gdy frazeologię polityczną zdominowały „prawa człowieka”. W 1945 r. kardynał Mindszenty oświadczył, że nowa władza łamie prawa naturalne, a zatem żaden chrześcijanin nie może na nią głosować. Jan Paweł II nawet jeśli posługiwał się językiem polityków, starał się podkreślać różnice znaczeń; „wspólny europejski dom” w wystąpieniach papieża miał inną konotację niż w sowieckiej propagandzie w latach Gorbaczowa.

Inaczej było za poprzedników Karola Wojtyły. Pierwszą encykliką, jaką poleciło przetłumaczyć sowieckie biuro polityczne, była *Pacem in Terris*. Watykan walczył o pokój często w niepokojącej zbieżności z interesami Moskwy. W 1971 r. Agostino Casaroli udał się do ZSSR, aby w imieniu Watykanu podpisać traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. W tym samym roku Ojciec Święty anulował dekret zakazujący księżom działalności politycznej i uchylił ekskomunikę wobec działającego w Czechosłowacji prorządowego ruchu „Księża na rzecz pokoju”. Kilka lat wcześniej Paweł VI zainaugurował zbliżenie z Moskwą przyjmując Podgornego i, w trosce o dobrą atmosferę rozmów, poczęstował gościa — namiętnego palacza — papierosami, wbrew watykańskiemu protokołowi.

Aggiornamento było — jak sądzę — niezbyt udaną próbą przeniesienia polskiego modelu stosunków Kościół-państwo w dziedzinę globalnej *Ostpolitik* Watykanu. Kościołowi w krajach komunistycznych nic to nie dało, bowiem polityka władz wobec religii pozosta-

wała niezmienna. W innych państwach przyniosło infiltrację Kościoła przez marksizm i „teologię wyzwolenia”, utratę autorytetu, postępującą laicyzację, spadek powołań. Dopiero papież z Polski (a nie „polski papież” — jak podkreśla sam zainteresowany) podjął próbę przeciwdziałania.

Lecomte szczegółowo przedstawia ewangelizacyjny program Jana Pawła II, który — konsekwentnie podkreślając chrześcijańską jedność Europy — wyszedł w przeciwieństwie do swych poprzedników, z założenia, że komunizm jest tylko przejściową fazą w historii. Francuski dziennikarz nie myli się, jak sądzę, twierdząc, że także Prymas Wyszyński był przekonany o trwałości socjalizmu. W tych warunkach starał się poprzez politykę kompromisu utrwalac pozycję Kościoła w Polsce. Nawet w sierpniu 1980 r. apelował o zakończenie strajków (Lecomte mówi o „*faux pas* prymasa”), po podpisaniu porozumień obiecał Wałęsie poparcie, lecz dwa dni później zapewniał Kanię o „interesy Polski Ludowej”. Autor szuka powodów, dla których władze PRL w 1976 r. prosiły Watykan, aby kardynał Wyszyński pomimo ukończenia 75 lat nadal pełnił swą funkcję; Lecomte sam udzielił odpowiedzi na to pytanie, czego, jak się zdaje, nie zauważył...

Linia kompromisu, skuteczna w okresie władzy PZPR, *ex post* ujawnia relatywny charakter odnoszonych korzyści: po transformacji ustrojowej Kościół stracił wiele ze swego autorytetu, którym cieszył się uprzednio jako jedyna alternatywa wobec rządzącego marksizmu-leninizmu. Bernard Lecomte przytacza wyniki sondażu z 1990 r.; tylko 36% polskich respondentów uważa, że demokratyzacja przyczyni się do wzrostu praktyk religijnych. Autor kończy cytata z prywatnej rozmowy z nuncjuszem Kowalczykiem: „polski Kościół będzie musiał przeprowadzić swą własną *pieriestrojke*”.

III '92

Tomasz MIANOWICZ

Nadesłane nowości wydawnicze

Tajne dokumenty Biura Politycznego. PZPR a „Solidarność” 1980-1981. Opr. Zbigniew Włodek. Str. 672. (Wyd. Aneks, Londyn 1992).

HAŁSKI (Czesław). *6 lat. Perypetie wojenne 1939-1945.* Str. 136. (Wyd. Caldra House, Hove, W. Bryt., 1991).

Oświata, książka i prasa na obczyźnie. Red. Czesław Czapliński. Str. 252. (Wyd. PTNO, Londyn 1989).

Wieczór poezji Drugiej Emigracji. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. PTNO, Londyn, bez daty).

TYRMAND (Leopold). *Siedem dalekich rejsów.* Powieść. Str. 224. (Wyd. PFK, Londyn 1992).

POMIAN (Andrzej). *Polska broni niepodległości. 1918-1945. Szkice publicystyczno-historyczne.* Str. 168. (Wyd. PFK, Londyn 1990).

RADWAN-BABSKA (Anna). *Mroki.* Wyd. II. Str. 352 i fotografie. (Wyd. Caldra House, Hove, W. Bryt., 1991).

ROSTAFIŃSKI (Wojciech). *Niedostrzegalne światy.* Str. 168. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

SZNARBACHOWSKI (Włodzimierz). *Charonowe sanie. Wiersze i mini-dramaty.* Str. 72. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

DOSTOJEWSKI (Fiodor). *Notatki z podziemia.* Gracz. Str. 247 i 9 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).

GENE (Antonio). *Aids — zмова milczenia.* Przeł. Jacek Szacki. Str. 184 i 8 nlb. (Wyd. Plus Publications, USA 1992).

KŁOCZOWSKI (Jerzy). *Dzieje chrześcijaństwa polskiego.* Tom II. Str. 345 i 5 nlb. (Wyd. Nasza Rodzina, Paryż 1991).

ŁĘTOWSKA (Ewa). *Baba na święczniku.* Rozmawiają Mariusz Janicki i Stanisław Podemski. Str. 224 i fotografie. (Wyd. BGW, Warszawa 1992).

OLSZEWSKI (Wiesław). *Historia Wietnamu.* Str. 492. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1992).

BORAK (Mecislav). *Symbol Katynia. Zaolziańskie ofiary obozów i więzień w ZSRR.* Str. 204. (Wyd. ZG PZKO, Śląski Cieszyń 1991).

ŁOJEK (Jerzy). *Wokół sporów i polemik. Publicystyka historyczna.* Str. 360. (Wyd. Lubelskie, Lublin 1991).

Peerel w stanie. 1-sza pozycja serii „Peerel”. Str. 220. (Wyd. Karta, Warszawa 1991).

BERENT (Wacław). *Opowieści biograficzne. Nurt, Diogenes w kontuszu, Zmierzch bogów.* Str. 636. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991).

DARSKI (Józef). *Tajni współpracownicy policji politycznej w państwach postkomunistycznych.* Str. 42. (Wyd. Instytut Polityczny, Warszawa 1992).

MICHAŁSKI (Waldemar). *Będziesz jak piotun.* Str. 68. (Wyd. Norbertinum, Lublin 1991).

KOWALCZYK (Andrzej Stanisław). *Sawinkow.* Str. 218 i 2 nlb. (Wyd. LNB, Warszawa 1992).

KUROPIESKA (Józef, gen.). *Od Października do Marca.* Cz. I. Str. 224 i fotografie. (Wyd. BGW, Warszawa 1992).

TROJANOWICZOWA (Zofia). *Sybir romantyków.* Str. 604 i fotografie. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992).

SZAŁAMOW (Warłam). Tom I : *Pierwsza śmierć* — str. 232; tom II : *Artysta topaty* — str. 324; tom III : *Lewy brzeg* — str. 280. Przeł. Juliusz Baczyński. Przedmowa Michała Hellera, zamiast postawia Piętno Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. (Wyd. ATEXT, Gdańsk 1991).

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Opowiadania zebrane.* Wyd. II. poszerzone. Str. 393 i 3 nlb. (Wyd. „W Drodze”, Poznań 1991).

LACHMAN (Feliks). *I Was a Gulag Prisoner 1939-1942.* Str. 102. (Wyd. Caldra House, Londyn 1991).

KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *The Trilogy Companion. A Reader's Guide to the Trilogy of Henryk Sienkiewicz.* Str. 80. (Wyd. Copernicus Society of America and Hippocrene Books, New York, 1991).

Sermons and Rhetoric of Kievan Rus'. Translated and with an introduction by Simon Franklin. Str. 213. (Wyd. Harvard Library of Early Ukrainian Literature, 1991).

Nationalities Papers, vol. XIX, No 1, Spring 1991; Special Issue: The Soviet Nationalities Despite Gorbachev. Str. 131 i 7 nlb. (Wyd. Association for the Study of the Nationalities of the USSR and Eastern Europe, New York.)

- Nationalities Papers*, vol. XIX, No 2, Fall 1991; *Special Issue : Pamyat*. Str. 135-250. (Wyd. Association for the Study of the Nationalities of the USSR and Eastern Europe, New York.)
- THOMPSON (Ewa M.). *Nationalist Propaganda in the Soviet Russian Press, 1939-1941*. (Nadbitka ze *Slavic Review*, nr 50, lato 1991, str. 385-399).
- ZUZOWSKI (Robert). *The Polish Intelligentsia : KOR and Solidarity*. (Nadbitka z *Australian Journal of Political Science*, Nr 2, July 1990, str. 307-330).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Science and consciousness*. (Nadbitka z *Journal of Indian Council of Philosophical Reserach* vol. VII, nr 3, May-August 1990).
- Uncaptive Mind*, vol IV nr 3/17, Fall 1991. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Institute for Democracy in Eastern Europe, New York 1991).
- AMBER (Ludwika). *Landscapes of the Memory — Pejzaże pamięci. Polish-English edition*. Tłumaczyli prof. Leon Komincz i Regina Bochat. Str. 79 i 5 nlb. (Wyd. Polish Cultural Ass. of New South Wales, Sydney 1991).
- JUS (Andrzej i Karolina). *Our Journey in the Valley of Tears*. Str. 305 i 5 nlb. (Wyd. University of Toronto Press, Toronto 1991).
- LIPSKA (Ewa). *Poet? Criminal? Madman?* Przel. z polskiego Barbara Plebanek i Tony Howard. Str. 96. (Wyd. Forest Books, London and Boston 1991).
- TOMKIEWICZ (Mina). *There was life even there...* Przel. z polskiego Anna Mariańska. Str. 60. (Wyd. PFK, Londyn 1991).
- WINIECKI (Elisabeth i Jan). *The Structural Legacy of the Soviet-type Economy*. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, Londyn 1992, cena £ 6,50).
- Harvard Ukrainian Studies*, vol. XV, nr 1/2, June 1991. Str. 244. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, 1991).
- SZYMBORSKA (Wisława). *People on a Bridge*. Przel. z polskiego Adam Czerniawski. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Forest Books, London-Boston 1990).
- WIATER (S.J.). *Anglo-Polish Recollections*. Str. 48. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- MAGALA (S.J., ed.). *Dismantling the Dinosaur. Business as Unusual in Moscow and St. Petersburg*. Str. 182. (Wyd. Eburon, Delft 1992).
- DUDZIŃSKI (Stanisław). *Quo vadimus? Where Are We Going?* Str. 168 i 6 nlb. (Wyd. nakładem własnym, Fort Collins COLO, USA 1991).
- POPOV (Gavriil). *What's To Be Done?* Str. 72. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, 1992).
- KARPINOWITZ (Abraham). *The Story of the Vilnian Righteous Proselyte Count Valentin Potocki*. Str. 120. (Wyd. Vilner Pinkas, Izrael 1990, po hebrajsku).
- MAGOCSI (Paul Robert, ed.). *Morality and Reality. The Life and Times of Andrei Sheptyts'kyi*. Str. 120. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1989).
- Harvard Ukrainian Studies. Adelphotes: A Tribute to Omeljan Pritsak by his Students*. Str. 648. Vol. 14, nr 3/4, December 1990. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA 1990).
- KOWZAN (Tadeusz). *Hamlet ou le Miroir du monde*. Str. 91 i 5 nlb. (Wyd. Editions Universitaires, Paryż 1991).
- FELSTINSKY (Yuri, wybór i opr.). *Krasnyj terror w gody graždanskoj wojny po materialam Osoboj Sledstwiennoj Komissii po rassledowaniju złodiejaniij bolszewikow*. Str. 432. (Wyd. OPI, Londyn 1992).

Polemiki

Rzeczpospolita telekomunikacyjna

NAJWIĘKSZY SKANDAL 3-CIEJ RP

Telekomunikacja nie jest dziedziną uprzywilejowaną przez rządu ostatnich dwu i pół lat. Telekomunikacja jest jednak czymś szczególnym. Sukcesy w tej dziedzinie nie tylko warunkują rozwój kraju, co oczywiste, ale można by je osiągnąć w miarę szybko. W przeciwieństwie do np. budownictwa czy transportu, w telekomunikacji nie ma takiego oporu materii; nowoczesne cyfrowe centrale nie wymagają kubatury, a kable światłowodowe nawet w szczyrim polu układa się z szybkością 8 km na godzinę. Nie są też przyszkodzą finanse, skoro telekomunikacja jest jedną z najbardziej zyskowych branż na świecie. Fakt, że w Warszawie w 1992 roku tak trudno jest się dokądkolwiek dodzwonić; fakt, że tak wiele firm nie ma telefonów i że telefon na „lewo” kosztuje 10 tysięcy dolarów (chyba najdrożej na świecie) jest po prostu politycznym fenomenem.

Stan prawny

Ustawa o łączności z 23 listopada 1990 roku jest ustawą wprowadzającą bezprawie. Nie wydano bowiem do niej na czas przepisów wykonawczych, a minister łączności może na wszystko wydać zezwolenie i może każde zezwolenie cofnąć bez podania przyczyn. Inaczej mówiąc: ministra mógłby w tej ustawie zastąpić komendant policji. Dobre prawo nie tylko bowiem wskazuje organ, uprawniony do wydawania w określonych sprawach decyzji, ale pozwala również je przewidywać w razie stwier-

dzenia takiego bądź innego stanu faktycznego. W przeciwnym wypadku przepisy są potwierdzeniem wszechwładzy państwa nad bezbronnym obywatelem. Obywatelowi jest w gruncie rzeczy wszystko jedno, czy decyzje o dopuszczeniu np. systemu axe 10 do polskiej sieci podejmie minister łączności, czy komendant główny policji. Jeśli przepis nie mówi, jakimi kryteriami ma się minister kierować to obywatel jest wobec takich przepisów bezbranny.

Przykładem owego bezprawia jest niewydanie na czas przez Polską Poczta, Telefon i Telegraf regulaminu, określającego — między innymi — sposób przyznawania abonamentów telefonicznych. Od 1 kwietnia 1991 roku do 31 lipca panowała tu całkowita dowolność ze strony Rejonowych Urzędów Telekomunikacyjnych, bowiem wszystkie przepisy wykonawcze z dniem 31 marca 1991 roku przestały, zgodnie z nową ustawą, obowiązywać. Biorąc pod uwagę, że na telefon w Polsce czeka blisko 3,5 miliona ludzi, niektórzy nawet i ponad 20 lat, uważałem, że zaniechanie takie jest przestępstwem o istotnym społecznym ciężarze i w lipcu 1991 roku zawiadomiłem o nim Prokuratora Generalnego RP (będącego jednocześnie Ministrem Sprawiedliwości). Sprawa oddelegowywana była „wg właściwości” na coraz to niższy szczebel, aż w styczniu 1992 roku otrzymałem odpowiedź z pieczęcią Prokuratury Rejonowej dla dzielnicy Warszawa Śródmieście, podpisaną przez komisarza Komendy Rejonowej Policji. Fragment „Postanowienia o odmowie wszczęcia dochodzenia” cytuję: „W toku rozmowy z Dyrektorem rejonowego Urzędu Telekomunikacji Warszawa-Województwo ustaliłam, że po dniu 31.03.1991 r. są zakładane telefony w oparciu o regulamin (podkreślenia moje — A.K.) wykonywania usług o charakterze powszechnym wydanym przez Państwową Jednostkę Organizacyjną Polska Poczta Telegraf i Telefon z dnia 1.07.1991 r.”. W tym kontekście fakt, że ów regulamin (który wszedł w życie 1-go sierpnia — choć opublikowany został dopiero w listopadzie) nie znosi arbitralnego rozdzielnictwa telefonów (dyrektorzy Rejonowych Urzędów sami mają decydować, kto przejawia i w jakim stopniu „szczególne potrzeby społeczne lub gospodarcze albo względy humanitarne”, a kto nie) i fakt, że autorzy regulaminu lekceważą sobie ponad dwuletnie wysiłki Rzecznika Praw Obywatelskich i ustawiają się ponad orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego; otóż to wszystko wydaje się być — w świetle odpowiedzi Ministra Sprawiedliwości RP — bez znaczenia.

W rozporządzeniu Ministra Łączności z 23 października 1991 roku czytamy już w pierwszym paragrafie, że: „Od dnia 1 lipca 1992 r. na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej mogą być zakładane i używane wyłącznie systemy komutacyjne, których pro-

dukcja została uruchomiona w Polsce”. Jest to przepis, wydawać by się mogło, nad wyraz słuszny. W rozporządzeniu tym jest jednak dodany i taki paragraf: „Ograniczenia określone w par. 1, 2 i 3 nie dotyczą inwestycji rozpoczętych i kontraktów zawartych przed wejściem w życie rozporządzenia”.

Wydana w grudniu 1991 roku broszura „Informacja o firmie Alcatel i systemie S-12” zawiera mapkę Polski z zaznaczonymi miejscowościami, w których głównym dostawcą sprzętu komutacyjnego jest hiszpańska firma Alcatel Sesa (Standart Electrica). Na lewym brzegu Wisły, poza Warszawą i Krakowem Alcatela Sesy nie ma, na prawym brzegu natomiast jest od niego aż gęsto. Wręcz fascynujące, gdy wziąć pod uwagę datę wydania broszury, jest umieszczenie na mapce Krakowa. Otóż w grudniu 1991 roku problem dostawcy sprzętu dla Krakowa nie był jeszcze oficjalnie rozstrzygnięty. Oficjalnie trwał jeszcze przetarg!

Nad przetargiem krakowskim trzeba zatrzymać się nieco, bo jest to sprawa symptomatyczna.

Przetarg krakowski

Umieszczenie Krakowa na mapce firmy Alcatel Sesa ma swoją prehistorię. Po wyborach samorządowych z maja 1990 roku środowisko krakowskie zaczęło intensywnie poszukiwać sposobów rozwiązania tragicznej sytuacji w telekomunikacji. Spółka Consolidated Ventures International Poland we współpracy z irlandzką firmą Murray Telecommunications Ltd. przystąpiła do opracowania studium kompleksowej sieci telekomunikacyjnej regionu krakowskiego. W marcu 1991 roku miała być podpisana szczegółowa umowa pomiędzy CVI Poland, Murray Ltd, a PPTiT Kraków i Kraków miał w szybkim tempie stać się w pełni europejską, gdy idzie o telekomunikację, metropolią.

22 listopada 1990 roku odbyło się też w Krakowie spotkanie wysokiej rangi przedstawicieli Dyrekcji Wojewódzkiej PPTiT, hiszpańskiego Alcatela i Centrali Handlu Zagranicznego Electrim z Warszawy. Postanowiono, że po wzajemnej wymianie delegacji, Alcatel Sesa przedstawi ofertę techniczną i handlową dla regionu krakowskiego przed końcem lutego 1991 roku.

Alcatel Sesa oferty takiej w ustalonym terminie nie przedstawił. Zmienił się natomiast dyrektor wojewódzkiej PPTiT w Krakowie i rozmowy z CVI Poland i Murray Ltd nabrały rumieńców. W marcu umowy jednak nie podpisano, bowiem nie można było uzyskać zgody ze strony Dyrekcji Generalnej PPTiT w Warszawie, która stawiała wciąż nowe przeszkody. Ostatecznie pismem z dnia 21 czerwca 1991 roku z-ca Dyrektora Generalnego PPTiT Stanisław Skierniewski zakazał Dyrek-

torowi Wojewódzkiemu prowadzenia jakichkolwiek dalszych negocjacji z CVI Poland i Murray Ltd.

W związku z tym CVI Poland wystosowało 17 czerwca prośbę do Dyrektora Generalnego PPTiT o wyjaśnienie takiego stanowiska Generalnej Dyrekcji. W odpowiedzi, 28 czerwca Dyrektor Generalny Kazimierz Ćwiek użył historycznego już dziś argumentu: „*Węzeł telekomunikacyjny Kraków nie należy do inwestycji priorytetowych i nie znajduje się w programie zadań o pierwszej kolejności inwestowania*”.

Tego było już za wiele nawet dla konserwatywnie nastawionych posłów krakowskich i 12 lipca Jerzy Zdrada, Jan Rokita i Józefa Hannelowa złożyli do ministra łączności Jerzego Slezaka interpelację z prośbą o podanie kryteriów, w myśl których Kraków nie został potraktowany jako godzien telefonów. Odpowiedź ministra była tyleż butna, co i arogancka (bowiem uzasadniał on stanowisko Dyrekcji Generalnej brakiem pieniędzy, podczas gdy propozycja CVI Poland ze strony PPTiT takich nie wymagała), niemniej jednak w wyniku dalszych nacisków doszło do spotkania Ministra, Dyrektora Generalnego PPTiT i władz miasta Krakowa, w wyniku którego 18 września podpisano porozumienie, w którym czytamy między innymi: „... *Kraków nadal będzie traktowany przez Ministerstwo jako priorytetowy*”.

Ustalono również, że Dyrektor Generalny PPTiT do 18 października 1991 roku dokona wyboru kontrahenta zagranicznego do rozbudowy węzła krakowskiego na podstawie złożonych ofert. Dyrektor Ćwiek powołał w związku z tym 9-osobowy zespół roboczy. Uderzające było to, że zespół został powołany bez porozumienia z zarządem Telekomunikacji Polskiej S.A., od nowego roku prawnego spadkobiercy PPTiT. Tajemnicą poliszynela było także to, że zespołem kierował *de facto*, nie będąc nawet jego członkiem, z-ca Dyrektora Generalnego, Stanisław Skierniewski.

W ustalonym terminie, tj. do 18 października, tylko jedna firma, kanadyjski koncern Northern Telecom, złożyła pełną dokumentację, o czym zespół poinformował Dyrektora Generalnego. Ten jednak 22-go poinformował władze Krakowa, że nie było możliwe dotrzymanie terminu 18 października i że zespół zakończy prace do 15 grudnia. Firmę CVI Poland i Murray Ltd wykluczono jako niespełniającą warunków dostawcy sprzętu i nie skorzystano z jej dotychczasowego dorobku.

Wreszcie na ostatnim swym posiedzeniu w dniu 27 listopada zespół roboczy stwierdził, że najbardziej korzystną ofertę spośród pięciu branych pod uwagę oferentów, tj. Alcatela Sesy, Alcatela Git, czyli francuskiego, American Telegraf and Telephone, Northern Telecom i związanego z nim austriackiego Kapscha

jest oferta firmy Alcatel Sesa. Była to konkluzja wręcz zdumiewająca, bowiem np. firma Northern Telecom przedstawiła dużo atrakcyjniejszą ofertę ekonomiczną, a jej przewaga techniczna nad oferowanym przez Alcatela, pochodzącym z lat siedemdziesiątych systemem S-12 jest rażąca.

W wyniku szczegółowych ustaleń prowadzonych już dalej między Dyrekcją Wojewódzką PPTiT w Krakowie a Alcatelem Sesa okazało się, że faktycznie propozycje tej firmy jeszcze bardziej odbiegają od złożonej oferty. Na skutek licznych interwencji 23 grudnia odbyło się nadzwyczajne posiedzenie zespołu roboczego, na którym nie potrafił on obronić swojego wyboru. Sprawa utknęła w martwym punkcie.

Przetarg na telefonię komórkową

Skandaliczne procedury prowadzące do wyboru tego a nie innego oferenta może najbardziej uwidoczniły się w przetargu na firmę — partnera PPTiT do budowy i eksploatacji sieci telefonii bezprzewodowej, tak zwanej komórkowej, przeprowadzone na zlecenie kierownictwa resortu łączności przez Dyrekcję Generalną PPTiT. Przetarg ten poprzedzony był normalnym konkursem, prowadzonym przez powołany w maju 1990 roku w Ministerstwie Łączności zespół doradczy. Warunki konkursu ministerialnego były ściśle i jasno sformułowane, zawierały też adnotacje o ich modyfikacji, gdyby zaszła sprzeczność z nową ustawą o łączności. Konkurs, który zgromadził czołowych światowych potentatów w telefonii komórkowej i budził w związku z tym ogromne emocje, po odpadnięciu z eliminacji amerykańskich firm, w wyniku brutalnych nacisków czynników politycznych USA (aż po list sekretarza stanu ds. handlu Roberta Musbachera do wicepremiera Leszka Balcerowicza) zostaje bezprecedensowo przerwany. Była to jedna z pierwszych decyzji rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego.

Nowy przetarg, organizowany tym razem nie przez Ministerstwo, a przez Dyrekcję Generalną PPTiT i prowadzony przez Komisję Przetargową, na której czele staje z-ca Dyrektora Generalnego, Stanisław Skierniewski, jest lipny od początku do końca. Podstawowym kryterium staje się bowiem nie standard techniczny i warunki ekonomiczne, a wysokość darowizny na rzecz rozwoju telekomunikacji. Zwycięska firma, przedziwne małżeństwo amerykańskiego Ameritechu i francuskiego France Telecom, zadeklarowała zresztą śmiesznie niską sumę 75 mln dolarów (jeśli zważyć, że spółka tych firm z PPTiT została zwolniona z podatku dochodowego na przeciąg lat sześciu).

Stan kadry

Pod względem kadrowym resort łączności prowadził politykę tak samo rygorystyczną jak wojsko i policja. Upartyjnienie kadr kierowniczych było stuprocentowe (na mniej kluczowych, a bardziej dekoracyjnych stanowiskach znajdowali się czasem członkowie Stronnictwa Demokratycznego). Kierownictwo resortu utrzymywało ściśle związki z wywiadem i kontrwywiadem wojskowym i MSW. Zresztą grupy te ze sobą rywalizowały, a silne zaczeplenie w Moskwie na przykład ministra łączności, transportu i żeglugi (bo resort ten dość często reorganizowano) Janusza Kamińskiego czyniło bezsilnym nawet premiera Miecysława Rakowskiego.

Rządy Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego nie przeprowadziły zmian w tym resorcie. Spektakularne w tym względzie jest rozprawienie się z wywodzącym się z SD młodym, inteligentnym fachowcem Marianem Kucharskim, który jako pierwszy minister łączności w rządzie Mazowieckiego miał dużo dobrych pomysłów i chciał je realizować. Zawieszony w politycznej próżni, zaszczytowany przez *Gazetę Wyborczą*, stał się kozłem ofiarnym winnym „osiągnięć” telekomunikacyjnych PRL-u i intryg starych aparatczyków.

Wprowadzenie do niezmiennych układów nowych ludzi nie przynosi żadnych pozytywnych rezultatów. Ustawa o łączności z 23 listopada 1990 roku połączyła, o ironio, dwie różne grupy funkcjonariuszy resortu łączności. Tę, która była za monopolem Polskiej Poczty, Telegrafu i Telefonu i która broniła dostępu na polski rynek, z wiadomych sobie przyczyn, „nienamaszczonym” firmom, a preferowała na przykład przestarzałego technologicznie hiszpańskiego Alcatela. I drugą — ludzi wywodzących się z Solidarności — inżynierów łączności i pracowników instytutów naukowych, którzy widzą w ustawie, nie bez pewnej racji, zagrożenie interesów państwa i opowiadają się za monopolem powstałej z rozpadu PPTiT telekomunikacji Polskiej SA. Charakterystyczna dla tego sposobu myślenia była rozmowa jednego z solidarnościowych wiceministrów z przedstawicielem EWG. Pacjent, czyli polska telekomunikacja — miał się wyrazić ten wiceminister — jest chory na płuca, potrzeba mu świeżego powietrza. Ale to nie znaczy, że można otworzyć okno na oścież (rozmowa toczyła się zimą). Dlatego Ministerstwo stoi przy oknie i reguluje dopływ świeżego powietrza.

Komentarz do tego sposobu rozumowania może być tylko jeden: a skąd ta diagnoza, że pacjent jest chory na płuca, a nie na paraliż? To fakt, że radosna twórczość, szczególnie ministra Slezaka, podpisywanie dziesiątków kontraktów i branie nawet

mało atrakcyjnych kredytów (jak na przykład aż na 18% na zakup central od hiszpańskiego Alcatela dla Białegostoku, gdzie Slezak kandydował po raz drugi do sejmu) są przerażające. Ale nie jest to argument za monopolem, a za dobrym prawem.

W wyodrębnionej z PPTiT Telekomunikacji Polskiej SA na samej górze znajdują się wyłonieni drogą konkursu inżynierowie, na ogół około czterdziestoletni, pochodzący z tak zwanej prowincji i awansowani dopiero teraz ze stanowisk *stricte* technicznych (oczywiście nie wszyscy, bo najważniejszy pion inwestycyjny i zaopatrzenia znajduje się w gestii członka zarządu Stanisława Skierniewskiego). Siłą rzeczy, nowi muszą być zagubieni w urzędniczych układach 500-osobowego aparatu zarządu spółki — dawnej Dyrekcji Generalnej PPTiT. Patologiczna, niezmienną strukturą powoduje, że nawet jeśli mają oni dobre chęci, są ubezwłasnowolnieni.

Przykładem niech będzie to, że dyrektorem jednego z czołowych województw jest człowiek nowy, spoza tego województwa i z zawodu informatyk. Jego zastępcą zaś do spraw inwestycji jest były dyrektor tejże dyrekcji (tyle, że wówczas PPTiT), reprezentujący ponadto tzw. nomenklaturową spółkę, mającą zagwarantowane wykonawstwo najatrakcyjniejszych kontraktów na tym terenie. Warto odwiedzić gabinety obydwu dyrektorów, by dokonać pewnych spostrzeżeń z zakresu socjologii władzy. Otóż gabinet nowego dyrektora (urządzony dla niego — jak można się domyślać — przez starego) jest super elegancki, wyposażony w reprezentacyjne zachodnie meble, a sam dyrektor został posadzony w obitym skórą prezydenckim fotelu. Gabinet zaś wicedyrektora jest aż ostentacyjnie obskurny... Ale to właśnie w tym gabinecie, za nieobitymi niczym, pomalowanymi już ładnych kilka lat temu olejną farbą drzwiami, zapadają najważniejsze decyzje.

Wiem, że to może się wydawać nieco groteskowe, ale po pierwsze opisany wyżej przypadek nie jest wyjątkiem, a po drugie mnie też razi prymitywizm stosowanych przez starych aparatczyków środków. Czasami zmiany są jeszcze bardziej komiczne, jak na przykład w jednym z warszawskich rejonowych Urzędów Telekomunikacji, kiedy to po przekształceniu go w jednostkę TP SA dotychczasowy skompromitowany naczelnik został z-cą dyrektora, a dotychczasowy z-ca naczelnika dyrektorem.

Stan społecznego dialogu

Z punktu widzenia obywatela ważne jest po pierwsze, by usługi telekomunikacyjne były ogólnie dostępne, a więc niereg-

lamentowane i po niespekulacyjnej cenie i po drugie, aby przedsiębiorstwa wykonujące tak intratną działalność odprowadzały podatki do skarbu państwa.

Polityka telekomunikacyjna państwa, nie tylko 45 lat PRL, ale i ostatnich lat, jest pogwałceniem społecznego interesu, jest łamaniem praw człowieka.

Wyjść ze stanu telekomunikacyjnej zapaści można tylko sprawdzoną w świecie drogą konkurencji tak pomiędzy operatorami jak i producentami sprzętu. Ale do tego potrzebne jest również silne państwo, by strzec kieszeni obywateli, krajowego przemysłu, dopływu podatków.

To są rzeczy wiadome. Ale z tej ponurej telekomunikacyjnej historii lat ostatnich płyną inne jeszcze wnioski. Aby bowiem państwo mogło funkcjonować jako demokratyczne konieczne jest, aby ludzie, którzy wzięli w imieniu tego społeczeństwa władzę przy Okrągłym Stole rozliczyli się ze swoich dokonań. Tadeusz Mazowiecki winien jest temu społeczeństwu wyjaśnienie, jak to się stało, że człowieka fachowego na stanowisku ministra łączności zastąpił niekompetentnym partyjnym aparatczykiem. Jan Krzysztof Bielecki winien jest wyjaśnienie, dlaczego przerwano prawidłowo przebiegający konkurs na telefonię komórkową, kompromitując tym samym Polskę w oczach świata i powodując, że telefonów, które instaluje się w dwa miesiące nie ma do dziś? Jak to się stało, że wbrew opinii ekspertów i wbrew Dyrekcji, Radzie Pracowniczej i całej załodze sprzedano bydgoską Telfę amerykańskiemu koncernowi AT and T mimo, że wszyscy woleli szwedzkiego Ericssona?

Premier Jan Olszewski winien jest społeczeństwu odpowiedź na pytanie, co zamierza zrobić, by doprowadzić Polskę do stanu telekomunikacyjnej normalności, jeśli zważyć, że w styczniu 1992 roku podłączono do sieci 5 tysięcy telefonów; a to oznacza, że ostatni zarejestrowany wniosek prywatny zrealizowany będzie za 50 lat!?

Odpowiedź na te, ale i na wiele innych pytań jest warunkiem społecznego dialogu i wyjścia Polski z politycznego i gospodarczego kryzysu.

kwiecień 1992

Andrzej KOWALCZYK

KRAJ — BLOK WSCHODNI

24. 2. 92

Na zebraniu ogólnym Polskiego PEN-Clubu przyjęto siedemnastu nowych członków. Są to pp. Józef Garliński, Piotr Godlewski, Maria Janion, Krzysztof Jeżewski, Krzysztof Kąkolowski, Anna Kołyszko, Józef Lewandowski, Roman Loth, Ryszard Łużny, Bolesław Michałek, Maria Ofierska, Eugenia Siemaszkiewicz, Andrzej Wajda, Eugeniusz Wachowiak, Alina Witkowska, Marek Zaleski, Krzysztof Zanussi. Podano również do wiadomości doroczne nagrody literackie PEN-Clubu. Nagrodę im. Jana Parandowskiego otrzymał Andrzej Kuśniewicz. Nagrodę dla tłumaczy za przekłady na język polski przyznano Annie Kołyszko i Jerzemu Litwiniukowi, a za przekłady z języka polskiego Natalii Gorbaniewskiej (na język rosyjski) oraz Jean-Yves Erhelowi (na język francuski). Nagrodę im. Jana Strzeleckiego przyznano Michałowi Głowińskiemu.

13. 3. 92

Posel Kazimierz Światoń złożył na 10-tym posiedzeniu Sejmu dramatyczne oświadczenie domagając się ujawnienia sum i pomocy, które wpłynęły z Zachodu dla opozycji w okresie stanu wojennego — komu zostały przekazane i na jaki cel. Poseł Światoń stwierdził, że „na pomoc dla rodzin pomordowanych górników z 'Wujca' nie przekazano nawet centa, a sumy były ogromne”.

15. 3. 92

Wyd. Czytelnik posłało na przemiał „Szkice literackie” Jerzego Stempowskiego, opracowane przez Jerzego Timoszewicza, a wydane w dwóch tomach. Ponadto na przemiał przeznaczono 191 tytułów.

30. 3. 92

Zmarła w Krakowie w wieku 92 lat profesor Maria Dłuska, historyk literatury, prekursorka nowoczesnej fonetyki eksperymentalnej.

8. 4. 92

Około 10 tys. osób wystąpiło o odszkodowania za represje, którym podlegały z pobudek patriotycznych. Rekompensaty przyznano już 2.800 osobom, na ogólną sumę 59 mld zł. Do chwili obecnej wpłynęły dalsze wnioski o odszkodowania na sumę 40 mld zł. M.in. obecny wiceminister pracy, Andrzej Słowik, otrzymał 217 mln zł.

22. 4. 92

W Zachęcie w Warszawie została otwarta wystawa twórczości Jana Lebestina. Na wystawie zaprezentowano 142 obrazy, 153 gwasze, pastele i rysunki oraz 31 litografii. Po ekspozycji w Zachęcie wystawa pokazana zostanie w Muzeum Narodowym we Wrocławiu (12. 6.-13. 9) i w Muzeum Narodowym w Krakowie (9. 10.-22. 11.).

24. 4. 92

Raławickie Towarzystwo Kulturalne przygotowuje obchody 200-nej rocznicy Insurekcji Kościuszkowskiej, która przypada w 1994 roku. Towarzystwo ma

zamiar utworzyć w Raclawicach polonijne centrum kościuszkowskie. Znajdzie ono siedzibę w willi przedwojennego premiera Walerego Sławka; tę willę społeczeństwo polskie ofiarowało mu w tej najbardziej patriotycznej miejscowości jako symbol. Płk Sławek przeznaczył tę willę na cele kulturalne. Obok „centrum” powstanie Muzeum Kościuszkowskie i wznoszony jest pomnik Wojciecha Bartosza Głowackiego. Raclawickie Towarzystwo Kulturalne apeluje o pomoc. Wpłaty można dokonać na konto bankowe: Bank Przemysłowo-Handlowy, Kraków/Miechów 322841-185-138-109 lub na konto dewizowe: Bank Przemysłowo-Handlowy O/Miechów 322841-3854-151-3787.

29. 4. 92

Miesięcznik *Więź* obchodził uroczystość 35 lat istnienia oraz wydania 400-setnego numeru. *Więź* jest pismem całkowicie niezależnym.

30. 4. 92

Związek Zawodowy Rolników „Samoobrona” zapowiedział utworzenie zmilitaryzowanych oddziałów na wzór Batalionów Chłopskich z czasów ostatniej wojny. Ta zapowiedź, jak również okupacja Ministerstwa Rolnictwa, nie spotkała się z jakąkolwiek reakcją ze strony władz. W hallu ministerstwa „Samoobrona” trzyma specjalną taczkę w celu wywiezienia ministra Gabriela Janowskiego, którego dymisji się domaga. ■ Dla Prezydenta Wałęsy zakupiono 3-tonowy opancerzony samochód w firmie Trasco z Bremy. Firma ta sprzedała Polsce dodatkowo jeszcze 5 takich samochodów, ale odmówiła informacji, kto był nabywcą tych samochodów.

1. 5. 92

Preliminarz budżetowy Kancelarii Prezydenta RP na rok 1992 przewiduje 317 mld zł., wydatków, z czego 80 mld (tyle co i w 1991 r.) na Fundusz Odnowy Zabytków Krakowa. Właściwy budżet Kancelarii wynosi więc 237 mld zł. Z tej sumy przeznaczają się na administrację 186 mld zł. (plus 166%), a 51 mld zł. na tzw. działalność różną, a w tym 24 mld na Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, czyli o 179% więcej. Ze 187 mld na administrację 98 mld pochłonię inwestycje, z czego 67 mld na przebudowę Pałacu Namiestnikowskiego na Krakowskim Przedmieściu na biuro Prezydenta, 19 mld na budownictwo mieszkaniowe przy ul. Sobieskiego, 12 mld na zakup sprzętu. Kancelaria Prezydenta ma 245 etatów. Zmiany wśród ministrów i innych pracowników Kancelarii Prezydenta kosztować będą 4,3 mld zł. tytułem odpraw. Wydatki na zakup materiałów piśmienniczych, czasopism, książek, dekorację Belwederu, gabinetu Prezydenta, gabinetów ministrów itp. wyniosą 10,8 mld zł. Remont budynków i obiektów pałacowych, opłaty pocztowo-telekomunikacyjne, dopłaty do obiadów pracowniczych wyniosą 14,6 mld zł. Remonty będą prowadzone w pałacu belwederskim, hotelu „Kłownowa” oraz w ośrodkach wczasowych dla pracowników Kancelarii Prezydenta w Juracie, Promniku, Otwocku i Krynicy. Na podróże zagraniczne Prezydenta przewidziano sumę 12 mld zł. (na ten sam cel premier dysponuje jedynie kwotą 2 mld zł.) Biura Bezpieczeństwa Narodowego zatrudniają 117 osób, mimo że ich status prawny nie jest sprecyzowany. ■ W 1991 roku Polska sprzedała 534 ha ziemi, najwięcej — 24 ha — Niemcom. 80% kupujących to osoby polskiego pochodzenia, a cały czas są dramatyczne alarmy, że wysprzedaje się Polskę.

2. 5. 92

Zmarł w Warszawie w wieku 85 lat prof. Stefan Kieniewicz. Był on członkiem rzeczywistym i wiceprezesem Polskiej Akademii Nauk. Był ponadto

redaktorem naczelnym *Przeglądu Historycznego* przez ponad trzydzieści lat oraz przewodniczącym Komitetu Nauk Historycznych przez trzy kadencje. Bibliografia jego prac obejmuje ponad 800 publikacji.

10. 5. 92

Zmarł w wieku 78 lat Edmund Męclewski, publicysta, założyciel Stowarzyszenia Wisła-Odra.

13. 5. 92

Sekretarz Stanu w MSZ, prof. Jerzy Makarczyk, został wybrany jako reprezentant Polski do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka przy Radzie Europy. W związku z tym został odwołany z zajmowanego stanowiska w MSZ.

4. 6. 92

Biblioteka i wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich obchodzi jubileusz 175-lecia swego istnienia.

8. 6. 92

Instytut Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie wspólnie z uniwersytetem Lille III we Francji zorganizował międzynarodowe seminarium na temat „Historycy XVIII-XX wieku wobec problemów tożsamości narodowej i europejskiej — między nacjonalizmem i uniwersalizmem”. Wezmą w nim udział również i historycy białoruscy, ukraińscy i litewscy.

ZACHÓD — EMIGRACJA

24. 3. 92

Zmarł w Argentynie w wieku 78 lat inż. arch. kpt. hm. Ryszard Białous ps. Jerzy, drużynowy 6 warszawskiej drużyny harcerskiej, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, oficer rezerwy saperów WP, ciężko ranny w obronie Warszawy w 1939 r. W czasie okupacji dowódca Grup Szturmowych Szarych Szeregów i dowódca harcerskiego batalionu „Zośka” Armii Krajowej. Odznaczony VM V klasy i KW. Wybitny instruktor harcerski i dowódca. Po wojnie zamieszkał w Argentynie. Początkowo pracował pod Andami w pionierskich warunkach, ostatnio zajmował wysokie stanowiska rządowe.

27. 3. 92

W Association des Anciens Elèves et Amis des Langues Orientales w Paryżu l'Amicale des Polonais zorganizowała odczyt Leona Abramowicza na temat „Juifs et Polonais — quelques moments d'une cohabitation millénaire”.

17. 4. 92

Zmarła w Laxon Hall (Anglia) w wieku 101 lat Zofia Kozarynowa, wybitna publicystka i pisarka.

22. 4. 92

W Barcelonie odbył się 57 Kongres Międzynarodowej Federacji PEN-Clu-

bów. Sesje literackie poświęcone były gatunkom pisarskim u progu trzeciego tysiąclecia i zagadnieniu „Pisarz wobec nowej Europy”. Zjazd przyjął nowe PEN-Cluby powstałe w Albanii, Kongo, Gruzji i Mozambiku. Powołano do życia PEN-Club Palestyński. Zjazd podał do wiadomości, że w okresie sprawozdawczym od stycznia 1991 do maja 1992 zostało zamordowanych 109 niezależnych pisarzy i publicystów, zginęło w niewyjaśnionych okolicznościach 50, porwanych zostało 5. W więzieniach przebywa obecnie około 400 pisarzy i publicystów, głównie w Chinach i Wietnamie. W okresie sprawozdawczym jest obecnie 113 krajowych PEN-Clubów.

24. 4. 92

Zmarła w Paryżu w wieku 79 lat Irena Biesiekierska.

30. 4. 92

Uniwersytet Louisville w U.S.A. przyznał Krzysztofowi Pendereckiemu nagrodę w wysokości 150 tys. dolarów za „Adagio na wielką orkiestrę”, fragment Czwartej Symfonii.

3. 5. 92

W Monachium odbyły się uroczystości związane z 40-leciem rozgłośni polskiej RWE. Analogiczne uroczystości odbyły się także w Warszawie.

7. 5. 92

W Galerie Agi Schöningh w Zurichu odbył się wernisaz malarstwa Marka Szczęsnego. ■ W Lyonie została otwarta wystawa „Musée d'Art Contemporain, Lyon”, zorganizowana przez Muzeum Sztuki Współczesnej w Lyonie i Muzeum Sztuki w Łodzi. Analogiczna wystawa zostanie otwarta w Łodzi 6 czerwca br.

8. 5. 92

Zmarł w Tel-Awivie w wieku 85 lat Stanisław Wygodzki, poeta, prozaik, publicysta. W ramach Biblioteki *Kultury* ukazała się jego książka „Zatrzymani do wyjaśnienia”, której nie chciano wydać w Polsce. Wyjechał z Polski na początku 1968 r.

15. 5. 92

Z okazji 100-lecia urodzin i 50-tej rocznicy śmierci Bruno Schultza zorganizowano w Monachium przez kustosza monachijskiego Muzeum Miejskiego i warszawskie Muzeum Literatury wystawę jego rysunków i ilustracji.

20. 5. 92

W stacji naukowej Polskiej Akademii Nauk w Rzymie odbyły się: prezentacja książki Witolda Kuli „Rozważania nad historią” w tłumaczeniu włoskim Marty Herling Bianco („Riflessioni sulla historia”, wyd. Marsilio, Padova 1991) z udziałem tłumaczki oraz. prof. Karola Modzelewskiego z PAN i Uniw. Wrocławskiego; 10 czerwca br. — prezentacja „Dziennika pisanego nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w tłum. włoskim Donatelli Tozzetti („Diario di notte”, wyd. Feltrinelli, Milano 1992). Poprzednio odbyło się tam spotkanie na temat „Nauka polska w podziemiu” z udziałem ministra Kultury i Sztuki Andrzeja Sicińskiego, prof. Witolda Karczewskiego, prof. Janusza Goćkowskiego, dr. Stanisława Marmuszewskiego.

21. 5. 92

Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało odczyt dr. Marka Śliwiń-

skiego, pracownika naukowego w Departamencie Nauk Politycznych Uniwersytetu w Genewie, na temat „Ewolucja skutków demograficznych i społecznych wojny i rewolucji czerwonych Khmerów w Kambodży”.

22. 5. 92

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt senatora Jerzego Stępnia, przewodniczącego senackiej komisji do spraw samorządu terytorialnego, który przedstawił projekt reformy rządu i administracji państwowej.

27. 5. 92

W stacji naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu odbył się odczyt połączony z dyskusją Karola Modzelewskiego, profesora w Instytucie Historycznym PAN, na temat „Histoire économique et l'imaginaire politique contemporain”.

29. 5. 92

W Centre du Dialogue w Paryżu miał miejsce występ teatru Wybrzeże z Gdańska, który wystawił „Dialogi Karmelitanek” Bernanosa. Ponadto 5 czerwca br. prof. Ryszard Bender, senator RP, wygłosił odczyt na temat „Polskie ugrupowania polityczne”.

25. 6. 92

Wydawnictwo anglo-amerykańskie Ruthledge wydało książkę prof. Piotra Wandycza pt. „The Price of Freedom: A History of East Central Europe from the Middle Ages to the Present”. Tłumaczenie polskie ma się ukazać w Wydawnictwie „Znak” w Krakowie.

KRONIKA SZWEDZKA

Między Skandynawią a państwami bałtyckimi istniały w okresie międzywojennym bliskosąsiedzkie, przyjazne stosunki o podłożu historycznym. Stolicę Estonii założyli w początkach XIII wieku Duńczycy (Tallin oznacza po estońsku Duńskie Miasto) i aż do klęski Karola XII pod Połtawą Estonia i połowa dzisiejszej Łotwy należały do Szwecji. Okres ten w estońskiej historii zwany jest „złotym”, w odróżnieniu od czasów, kiedy naród ciemiężony był przez Zakon Krzyżacki i carską Rosję. Przez połowę Nadbałtyki, w pobliżu Rygi, biegła dawniej granica polsko-szwedzka. Żywe i korzystne dla obu stron kontakty zostały wznowione po uwolnieniu się tych narodów ze Związku Sowieckiego. W kwietniu król Karol XVI Gustaf odwiedził Estonię, gdzie w Tartu odsłonił nowy (poprzedni zniszczyli Sowieci) pomnik króla szwedzkiego Gustawa II Adolfa, m.in. założyciela uniwersytetu w Dorpacie. Szwecja jako jedno z pierwszych państw nawiązała stosunki dyplomatyczne z Bałtami i bierze aktywny udział w odbudowie ich systemów gospodarczych. Konserwatywny rząd szwedzki premiera Carla Bildta przeznaczył w 3-letnim, wielopunktowym programie pomocy krajom Europy Wschodniej łącznie 3 miliardy koron, z czego 750 milionów

ma przypaść krajom nadbałtyckim, w tym ok. 300 milionów jako doraźne wsparcie finansowe. ■ Uruchomiono regularną linię promową między Sztokholmem a Tallinem; cotygodniowe wycieczki grupowe cieszą się dużą popularnością. ■ Duńskie „Sterling Airways” pomogą Litwinom w zorganizowaniu ich własnych, narodowych linii lotniczych; pierwsze loty wieść będą do Skandynawii, Londynu i Berlina. ■ Przez dwa lata Szwecja finansować będzie przeszkolenie grupy lotewskich prawników. ■ Pod koniec kwietnia statek „Nord Estonia” po raz piąty w tym roku przybił do portu w Tallinie z ładunkiem (6 kontenerów à 70 m³) sprzętu medycznego i lekarstw dla szpitali estońskich. ■ Szwecja przeznaczyła dodatkowe 15 milionów koron na polepszenie systemów bezpieczeństwa elektrowni atomowych w Ignalinie na Litwie i Sosnowym Borze w pobliżu St. Petersburga. ■ Jak donosi *Dagens Nyheter* (20.3.) tutejsza armia rozpocznie wysyłkę własnych zapasów żywności do krajów nadbałtyckich i Rosji. ■ Zmiany zachodzące w krajach Europy Środkowej i Wschodniej skłaniają opinię skandynawską do rewizji dawnej polityki bałtyckiej. Konserwatywny *Svenska Dagbladet* skrytykował w dłuższym artykule (20.3.) decyzję powojennego rządu Szwecji, aby wydać Sowietom rezerwy złota Estonii i Litwy. Dziennik cytuje tajny dokument szwedzkiego MSZ: „Odmowa Szwecji znalazłaby uzasadnienie zarówno w prawie międzynarodowym jak i w decyzjach Ligi Narodów”. Wartość wydanego Rosjanom złota szacuje się na 270 milionów koron; rząd dyskutuje kwestię rekompensaty. Tymczasem premier Estonii Vähi, przebywając ostatnio w Sztokholmie, wskazał na symboliczną wartość przekazania złota w sztabach. Na zakończenie swej wizyty szef rządu Estonii powiedział: „Druga wojna światowa jeszcze się dla Estonii nie skończyła. Rozpoczęła się wkroczeniem wojsk sowieckich i nie zostanie zakończona, jak długo oddziały te pozostaną w kraju. Wojska te zachowują się barbarzyńsko, palą i niszczą dobytek”. Żołnierzy byłego ZSSR jest w Estonii — 25 tysięcy, na Litwie i Łotwie po 35 tysięcy. Przypomnijmy, że rządy tych krajów żądają wycofania okupantów do końca tego roku; Rosja proponuje koniec roku 2000. ■ Szerząca się w niektórych krajach ksenofobia, ugruntowane uprzedzenia i niechęć wobec imigrantów dotknęły niestety dawniej tak spokojną i tolerancyjną Szwecję. Na skutek propagandy nielicznych i niewielkich ugrupowań neonazistowskich i rasistowskich w ciągu ostatnich miesięcy postrzelono ciężko 12 osób. Wszyscy są cudzoziemcami, uchodźcami z Chile, Zimbabwe, Kurdystanu, właścicielami kiosków z gazetami i parówkami, bileterami metra, studentami. Policja podejrzewa, że sprawcą jest jedna i ta sama osoba. Wypadki te wywołały oburzenie i reakcje całego społeczeństwa. Rząd, parlament, organizacje społeczne i młodzieżowe przeprowadziły demonstracje i akcje protestacyjne; Ewangelicki Kościół Szwedzki stanął na czele tego żywiołowego ruchu. Za przykładem Arcybiskupa Szwecji odprawiono w kościołach całego kraju nabożeństwa na intencję uchodźców i za zgodę pomiędzy obywatelami.

Tu warto spytać, kiedy Prymas Polski wystąpi z podobną akcją przeciwko rozpowszechniającej się w Polsce ksenofobii, nie tylko rasowej, ale także narodowej i religijnej. ■ Peter Nobel, przewodniczący państwowego komitetu antydyskryminacyjnego, uważa, że organizacje rasistowskie powinny być prawnie zabronione. ■ Szwecja od wielu lat jest krajem wielonarodowym. Co dziesiąty mieszkaniec nie jest tu urodzony. Jest to również kraj wielu religii. Mieszka tu np. około 100 tysięcy muzułmanów (tj. więcej niż katolików), uroczystość zakończenia Ramadanu transmitowała ostatnio telewizja państwowa. Rozpoczęto również budowę meczetu w Göteborgu. ■ Zdjęcie prez. L. Wałęsy z podpisem „Lech Wałęsa przyczynił się do legitymizacji nastrojów antysemitycznych w Polsce” ilustruje artykuł Marii Sköld, zatytułowany „Rasizm w Europie”, który ukazał się w popularnym na południu *Göteborgs-Posten* (18/92). Autorka, pisząc o wyborach prezydenckich z 1990 roku, zauważa że, „Stanisław Tymiński bezpośrednio, a Lech Wałęsa pośrednio grali na uprzedzeniach antysemitycznych”. Zaprotestował m.in. ambasador RP w Szwecji. ■ Recesja w Europie utrudnia program uzdrowienia gospodarki, jaki realizuje od września ub. roku nowy konserwatywny rząd. Bezrobocie wzrosło do niewidzianych tu od dawna 5%. W związku z tym ogranicza się liczbę miejsc pracy dla robotników sezonowych m.in. z Polski. Mimo, że rolnicy z terenów pld. Szwecji zgłosili już w tym roku zapotrzebowanie na 1.700 pracowników polskich, władze wojewódzkie w Kristianstad udzieliły tylko 400 zezwoleń na pracę. Również Malmö przyjmie mniej gasterbeiterów. Zmniejszyła się natomiast inflacja (do 2%) i jest najniższa od 23 lat. Przyrost dochodu narodowego ma być w tym roku zerowy, poprawa w stosunku do zesłorocznego, ujemnego. ■ Kraj jest mały i powodzenie reform gospodarczych w dużym stopniu zależy od dostępu do obcych rynków zbytu. 3/4 eksportu trafia do krajów Wspólnoty Europejskiej. Podanie o przyjęcie do tej organizacji złożyła Szwecja już w roku ubiegłym po nieoczekiwanej zmianie kursu rządzących wtedy socjaldemokratów. Ostatni Gallup wskazuje jednak na rosnącą niechęć społeczeństwa do Wspólnoty. 36% jest jej zdecydowanie przeciwnie (dwa lata temu było 15%), zwolenników jest 44% (poprzednio 67%). ■ Wg. porozumienia polko-szwedzkiego firma konsultingowa NLK-Celpap miała do końca lutego przygotować 19 raportów dot. sytuacji w polskim przemyśle drzewnym, ale dziesięć dni przed tą datą zbankrutowała. Agencja otrzymała przeszło 20 milionów koron od państwowego Komitetu d/s Międzynarodowej Współpracy Techniczno-Ekonomicznej (BITS) na cel badań w Polsce. Z niewielu odnalezionych dotąd rachunków zwraca uwagę wynajęcie awionetki dla polskiej delegacji za 75.000 koron i wycieczka z obiadem na pokładzie parowca „Björkfjärden” za 17.307 koron. ■ Czterech mieszkańców pld. Szwecji stanęło przed sądem w Angelholm oskarżonych o przemyt do Polski skradzionych samochodów. Szwedzi należeli do polskiego gangu, który w ciągu pół roku ukradł w Szwecji i nielegalnie wywiózł do Polski

przeszło 300 samochodów wartości 40 milionów koron. ■ Siedmioletnia Karolina Mikiewicz ze Świnoujścia wraca do zdrowia po operacjach przeprowadzonych w szpitalu w Malmö. Dziewczyna, ciężko poparzona w Polsce, dzięki natychmiastowej pomocy wielu osób i organizacji zarówno w Polsce jak i w Szwecji, a szczególnie gwarancji ekonomicznej na sumę 400 tysięcy koron udzielonej przez gminę Ystad, mogła otrzymać niezbędną pomoc szwedzkich specjalistów. ■ Poznański Teatr Ósmego Dnia wystąpił z „Ziemią Niczyją” na scenie teatru Orion w Sztokholmie. Grali także w Göteborgu i w Lund. ■ Z książek-poloników bestseller Marii Nurrowskiej „Hiszpańskie oczy” omawia w recenzji dla *Dagens Nyheter* (20.2) Sten Wisstrand: „(...) przez wydawnictwo przedstawiona jako jedna z najbardziej znanych i lubianych pisarek polskich”. Czy także jedna z najlepszych? Nie należy raczej do tych autorów, których książki mamy powód zakupić, powiada się dyplomatycznie w dziale słowiańskim Biblioteki Nobla. I to może się zgadzać”. Powieść wydał Brombergs, z zapałem godnym lepszej sprawy przetłumaczył Jan Henrik Swahn (sam interesujący autor). Innym tłumaczem nie wymagającym jednak żadnej rekomendacji jest wyśmienity Anders Bodegard. Jego przekład drugiego tomu „Dziennika (1957-1961)” Gombrowicza, w eleganckiej edycji Panache Bonniersa, jest „fenomenalny” (Jan Eklund, krytyk *Dagens Nyheter*, 20.3). Książka wdrapała się natychmiast na prestiżową listę „15 krytyków” (na drugie miejsce) sporządzaną przez recenzentów poważnych *Dagens Nyheter*, *Göteborgs-Posten* i *Sydsvenska-Dagbladet*. ■ TV szwedzka rozpoczęła emisję „Dekalogu” Krzysztofa Kieślowskiego, reżysera powszechnie „obwołanego geniuszem” w Skandynawii. Jego „Podwójne życie Weroniki”, mające premierę kinową zimą, także nie zawiodło oczekiwań krytyków i publiczności. ■ Tomasz Jastrun, dyrektor Instytutu Polskiego w Sztokholmie, dwoi się i troi. Placówka, obok Goethe-Institutet i włoskiego Instituto di Cultura „C.M. Lericci”, została uznana za najciekawszą zagraniczną instytucję kulturalną Sztokholmu. Nie sposób wspomnieć o wszystkich imprezach. Wymieńmy recital Ireny Głowaty, solistki Opery Łódzkiej, koncert utalentowanej pianistki Doroty Żarowieckiej i Per Hheldersa (wiolonczela), wystawę (przygotowaną przez Laurę Dębicką-Mühlich) frapującej grafiki z Wrocławia Frąckiewicza, Kihlmana, Kujawskiego, Szewczyka i Wikströma, i zapowiedzianą na lipiec ekspozycję malarstwa kręgu krakowskiego Smolarskiego, Romatowskiej, Kotowskiego i Wnukowskiego. Odbyło się również polsko-szwedzkie seminarium o AIDS.

Norbert ŻABA, Peter ZRALEK

Listy do Redakcji

Massy, 15 maja 1992 r.

Szanowny Panie Radaktorze,

do mojego wiersza „Motyw z Préverta” wydrukowanego w majowym numerze „Kultury” wkraść się przykry błąd. Psuje on rytm wiersza i zmienia znaczenie, a ponadto został popełniony w wersji, który jest cytatem z wiersza Rilkego. Trzy wersy ze środka wiersza powinny brzmieć następująco:

*Każdemu daj śmierć jego własną, Panie.
Daj umieranie, co wynika z życia,
Gdzie miał swą miłość, cel i biedowanie.*

W druku zamieniono słowo „cel” na słowo „ale”, ze skutkiem opisanym powyżej. Będę wdzięczny za zamieszczenie sprostowania.

Serdecznie pozdrawiam i łączę wyrazy szacunku

Jacek BIEREZIN

Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję za opublikowanie mojego wiersza w *Kulturze* (Nr 4/535, 1992). Jest to dla mnie — jak zapewne dla każdego młodego poety — niewątpliwie zaszczyt. Czuję się jednak zobowiązana do sprostowania błędnej informacji zamieszczonej w Waszym miesięczniku.

Mimo tego, że mój list dołączony do wysłanych wierszy nie zawierał żadnych personalnych informacji o mnie, zamieszczono w *Kulturze*, że wiersz został „napisany przez Rosjankę po polsku”. Stwierdzenie to wymaga sprostowania. Jestem obywatelką RP, urodziłam się w Dzierżonowie koło Wrocławia, gdzie też się wychowałam; jestem absolwentką Liceum Muzycznego we Wrocławiu oraz studentką Polonistyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Jedynym językiem, w jakim myślę i piszę, jest język polski. Do 1991 roku nigdzie na dłużej z kraju nie wyjeżdżałam, a obecnie — do września 1992 — przebywam w Los Angeles z wizytą u siostry.

Będę niezmiernie wdzięczna za wydrukowanie tego listu i zamieszczenie sprostowania Redakcji w jednym z najbliższych numerów *Kultury*. Jeszcze raz dziękuję za poświęcenie mi uwagi.

Z poważaniem

Natasza FIEDIN

Baden 1992-03-21

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję bardzo za opublikowanie listu p. J. Tomaszewskiego, polemizującego z moimi uwagami nt. stosunków polsko-czeskich opublikowanymi w nrze 1-2 *Kultury*. Jeśli jakiś artykuł zdoła pobudzić do dyskusji i doprowadzić do wymiany poglądów na jakiś temat, to można uważać, że jego zadanie zostało przynajmniej częściowo spełnione. Dyskusja nt. stosunków polsko-czeskich w związku z ich znaczeniem dla Polski ma pierwszorzędne znaczenie, co podkreślałem tak na początku, jak i na końcu moich uwag.

Celem, który postawiłem sobie przy pisaniu mojego opracowania było:

— Podanie w możliwie skondensowany sposób zarysu historii stosunków polsko-czeskich, które są Polakom, a z pewnością także wielu Czechom mało znane.

— Podanie możliwie dużej ilości źródeł, powołujących się na osoby polityczne od siebie daleko stojące, jak J. Beck, W. Witos, J.I. Paderewski, Z. Kiedroniowa — nie licząc źródeł zagranicznych — aby umożliwić czytelnikowi wyrobienie sobie możliwie niezależnego poglądu.

— Pokazanie na przykładzie nie tylko sporu o Cieszyn, Spisz i Jaworzynę, ale na przykładzie stosunków z okresu wojny polsko-bolszewickiej, stosunków z Republiką Weimarską i z ZSSR, różnych rokowań politycznych i gospodarczych, w jaki sposób poglądy Czechów i Polaków na różne zagadnienia mogą się diametralnie różnić.

— Poza tym chciałem ostrzec przed nadmiernymi nadziejami różnych polityków w związku z ewentualną współpracą polsko-czeską. Przede wszystkim Czesi się do takiej współpracy nie kwapią, wprost przeciwnie, a jeśli tak, to ich poglądy na rolę naszych narodowości w ramach takiej współpracy różnią się od polskich zasadniczo.

Zarzut p. Tomaszewskiego, jakoby moje opracowanie „...są to uwagi na temat podłości czeskiej polityki...” uważam za insynuację. Wylczyłem tylko fakty. Jeśli te mają wymowę negatywną, to nie moja wina, ale wina tych, którzy byli ich sprawcami. Zresztą napisałem wyraźnie, że Czesi i Polacy mają inne pojęcie uczciwości politycznej i to, co Polacy uważają za nieetyczne, Czesi uważają za sukces dyplomatyczny.

Mieszkałem i pracowałem 1 rok w Zagłębiu Śląsko-Dąbrowskim i 4 lata na Śląsku nad samą granicą czeską. Wydaje mi się, że problemy społeczeństwa, w którym granica narodowa przebiegała pomiędzy braćmi, a nawet pomiędzy ojcem i synem, są mi znane. Skomplikowane stosunki etnograficzne w tym regionie są szczegółowo opisane w cytowanej przeze mnie literaturze, a szczególnie w książce „Ceši a Poláci v minulosti”.

Odnosnie manifestacji *antyczeskich* w 1933 r. należałoby się zastanowić, czy były to manifestacje *antyczeskie*, czy manifestacje Polaków, którzy odczuwali dotkliwie ucisk narodowy. W chwili obecnej wiemy, że atmosfera wśród Polaków np. na Litwie jest tego rodzaju, że nie trzeba nikogo do manifestacji zachęcać, a rząd RP zrobiłby wiele, aby lokalne emocje wyciszyć.

To, że Polska dawała do zrozumienia Niemcom, iż ma swoje interesy na Śląsku Cieszyńskim, nie jest niczym nowym i co do tego przyznaję p. J. Tomaszewskiemu rację. Polska przedwojenna nie wierząc w trwałość Czechosłowacji zawsze twierdziła, że liczy na powrót tego okręgu do Polski. To, że Polska intrygowała w sprawie Słowacji, uznałem (łącznie z uzasadnieniem) w swych uwagach za jeden z błędów polityki polskiej.

Polska, będąc związana z Rumunią konwencją o przymierzu odpornym i tajną konwencją wojskową (3.3.21) oraz dwoma traktatami gwarancyjnymi (2.3.26 oraz 25.3.31) miała nie tylko możliwość, ale nawet obowiązek konsultowania swego rumuńskiego sojusznika w sprawach planowanego tranzytu broni sowieckiej do CSR, a Rumunia miała traktatowy obowiązek uwzględnienia polskie zastrzeżenia. Wiedząc obecnie, jakie były okoliczności i skutki dostaw broni sowieckiej w Hiszpanii (1936-1938) nie można się dziwić, że Polska była zaniepokojona ewentualną perspektywą pojawienia się broni sowieckiej na swej południowej granicy i dyplomacja polska miała obowiązek przeciwdziałać rozwojowi wypadków, w wyniku których Polska mogłaby znaleźć się otoczona od wschodu i od południa. Nie zapominajmy, że w Czechosłowacji znajdował schronienie separatystyczny ruch ukraiński oraz polscy komuniści. Problem leżał nie w tym, że Czesi potrzebowali sowieckiej broni, w dostawie której Beck im przeszkodził, ale że się nie chcieli bić. W 1939 r. okazało się, że broń sowiecka służyć może nie tylko dla ochrony przeciwko Niemcom, ale do aneksji w przymierzu z Niemcami. W 1945 r. wojska sowieckie znalazły się wreszcie na terenie CSR zaanektowały na rzecz ZSSR Ruś Zakarpacką, którą Beneš już po dokonaniu aneksji ochocho im odstąpił.

Dlatego też akcji polskiej dyplomacji, na którą powołuje się mój adwersarz, nie można przyjąć jako *dowodu* na to, że Beck chciał Czechosłowacji celowo szkodzić i prośba pod adresem p. Walenty o dowody pozostaje aktualna. Faktem natomiast pozostaje to, że już po zajęciu Zaolzia Polacy umożliwili czeskim żołnierzom (głównie lotnikom) ucieczkę na Zachód, a Polska była pierwszym i podówczas jedynym państwem, które zezwoliło na zorganizowanie emigracyjnych Czeskich Sił Zbrojnych w postaci Czeskiego Legionu w Bronowicach.

W swojej polemice p. Tomaszewski, przytaczając fakt, że Polska protestowała przeciwko temu, iż nie została zaproszona do Monachium oraz twierdząc, że polska akcja wynikała z obawy, aby nie spóźnić się z realizacją roszczeń — potwierdza mój argument, że nie istniała żadna zmowa między Polską a Niemcami. Gdyby zmowa taka istniała, Polska mogłaby spokojnie czekać na swój udział i nie musiałaby się wysilać na organizowanie improwizacji.

Oczywiście, że Słowacja oderwała się od Republiki. Właśnie przed kilku dniami rocznica tego wydarzenia była ku oburzeniu Czechów uroczyscie obchodzona w Bratysławie.

Trudno protestować przeciwko wszystkim *żelaznym* punktom p. Tomaszewskiego. Wśród polskich znajomych uchodziłem zawsze za niepoprawnego czechofila i chciałbym zaprotestować przeciwko robieniu ze mnie, w następstwie cytowania źródeł historycznych, czechozercy. Uważam się w dalszym ciągu za trzeźwego zwolennika jak najdalej idącej współpracy polsko-czeskiej, znając jednak ten kraj i tych ludzi, od których doznałem wiele dobrego, dla których żywię wdzięczność, przyjaźń i wielokrotnie podziw, ostrzegałbym jednakże przed euforią i nadmiernym optymizmem.

Łączę wyrazy szacunku

Kazimierz KARNKOWSKI

Poznań, 31. I. 1992 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

W dzieciństwie, na którym lata II wojny światowej wycisnęły równie znaczące piętno co późniejsze czasy stalinowskie, byłem absolutnie bezsilnym świadkiem bezczeszczenia poznańskiej synagogi, na moich oczach przerabianej — przez biegłych w tego typu perfidnych działaniach nazistów — na pływalnię, naturalnie „Nur für Deutsche”. Codziennie w latach 42-45 na nowo ożywała we mnie nadzieja na rychły moment, w którym ta i inne poznańskie świątynie — z pobliską katedrą włącznie — bezwarunkowo oddane zostaną prawowitym właścicielom. Jednak, jak to zazwyczaj w życiu bywa, rzeczywistość w swoich karykaturalnych kształtach często przerasta nasze wyobrażenie o niej — nawet po wojnie synagoga ta ani na chwilę nie przestała pełnić tej w zamierzeniu przez nazistów upokarzającej funkcji pływalni i, co najdziwniejsze, nadal ją pełni.

Powiedzieć, że korzystanie z owoców zbrodni zgodnie z intencją zbrodniarza jest równoznaczne z prostym w tej zbrodni uczestnictwem, to z całą pewnością za dużo — ale pytanie, czy beztrośnie korzystanie z jej skutków nie jest aby jej bezpośrednią afirmacją, należy już do zagadnień o podstawowym, moralno-etycznym znaczeniu. Tym bardziej, że łączy się ono ze świadomą tolerancją i akceptacją permanentnego stanu krzywdy, którego dodatkowym, jakże jaskrawym przejawem jest zaskakująca, dwujęzyczna treść tablicy informacyjnej znajdującej się na murach synagogi:

TEN BUDYNEK, WZNIESIONY W 1908 r. BYŁ SYNAGOGĄ I SŁUŻYŁ JAKO DOM MODLITWY DO 1942 r.

THIS BUILDING ERECTED IN 1908 WAS A SYNAGOGUE AND WAS USED AS A HOUSE OF WORSHIP UNTIL 1942.

Dla każdego, kto choć trochę orientuje się w naszych najnowszych dziejach i wie, że w Poznaniu już na początku 1940 roku nie było wolnych Żydów, tekst ten jest nie tylko historycznie fałszywy, ale i absurdalnie niekompletny — ani słowa w nim o sprawcach, ich celach i metodach działania. Jak gdyby usiłowano wzbudzić przekonanie, że w Poznaniu jakaś samoistna, a zarazem anonimowa siła sprawcza automatycznie, bez ludzkiego udziału — być może na skutek tajemniczego wpływu jakichś nieznanych praw natury — przemieniła w latach wojny synagogi w pływalnię.

Uporczywe utrzymywanie tej moralnie wątpliwej schedy po hitlerowcach w nadanym przez nich kształcie, i to pół wieku po Shoah, jest chyba jakimś grubym nieporozumieniem, które w najbliższym czasie najprawdopodobniej nie zostanie wyjaśnione — w odpowiedzi na każdą próbę zmiany tego stanu rzeczy dają się słyszeć głosy o rzekomej niegodziwości i niedorzeczności rozdętych ponoć roszczeń rewindykacyjnych, które nie dość, że mają pozbawić naszych rodaków umiejętności pływania, to jeszcze naruszają ich przyzwyczajenia — oni jednak tak upodobali sobie kąpiele w synagodze, że nie mają zamiaru jej opuścić.

Dziwi i chyba jednak trochę niepokoi ten trywialny praktycyzm ludzi, którym urzeczzenie pseudonowoczesnością nie pozwala dostrzec potrzeby zwykłej, ludzkiej solidarności z tymi, którzy np. mnie, polskie dziecko w Wartheland, tylko o kilka kroków wyprzedzali na pełnej udutki drodze do ostatecznego końca. Nie widzą pogardy ukrytej w poniżającym dylemacie — basen kąpielowy czy synagoga — wydają się nie zauważać, że bez względu na

ilość Żydów w Polsce, synagoga, nawet sprofanowana, pozostaje miejscem świętym dla tych, którzy przez setki lat żyli wśród nas wnosząc niebagatelny wkład w kulturowy i cywilizacyjny rozwój naszego kraju.

Z wyrazami najgłębszego szacunku i poważania

Jan A. TOMASZKIEWICZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętać, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

- E. K., *Francja; Z. B. D w Kraju; M. M. K., USA; A. W., Niemcy; J. O., USA; Z. Z. w Kraju; J. G. Niemcy; J. G., Kanada; A. F., USA; J. K., Szwecja; K. S.-R. w Kraju; J. O. w Kraju* — Z wierszy nie skorzystamy. *M. K., USA* — Chociaż krzywi się Pani w liście do nas na tygodniki, próbki Pani felietonistyki są typowo — jeśli się tak można wyrazić — „tygodnikowe”: teksty pośpieszne, dość żywe ale również dość powierzchowne, jakby autorkę niezbyt interesowały poruszane tematy. Nawiasem mówiąc, trudno mówić o „odsunięciu w zapomnienie” poetów skupionych wokół *Sztuki i Narodu*. Pisał o nich Miłosz.
- M. Ł. w Kraju* — Przesłany przez Pana fragment książki docenta R. J. nie daje żadnego pojęcia o całości. Być może, wyrządza nawet autorowi niezamierzoną krzywdę, bo przeważają w nim rzeczy znane, wielokrotnie omawiane.
- B. S., USA* — Ma Pan rację, nie doczekamy się głośnego upadku drugiego buta (modernistycznego); zostanie postawiony na ziemi tak cicho, jak gdyby nigdy nie istniał.
- R. L. P., USA* — Opowiadanie Pani wydaje nam się banalne i dość nieporadnie napisane.
- L. M. K. w Kraju* — Możliwe że wydrukujemy, po dokonaniu pewnych skrótów, Pana sprawozdanie z lubelskiej sesji poświęconej twórczości Andrzeja Bobkowskiego.
- J. K., USA* — Zaleca Pan swoje opowiadanie argumentem, że poświęcone jest „losom szarej emigrantki”. Niestety, to nie wystarczy. I czy rzeczywiście uważa Pan, że *Kultura* unika pisania o „zwykłych ludziach”?
- A. R., Niemcy* — W Pana opowiadaniu jest może interesujący zapis człowieka chorego (z autopsji), ale brak mu wyrazu literackiego.
- S. W., Szwajcaria* — Wyszła z tego dramatu zupełna błahostka.

KOMUNIKAT

Archiwum Wschodnie i Samodzielna Pracownia Dziejów Ziemi Wschodnich II RP Instytutu Studiów Politycznych PAN informują, że ze względu na liczne prośby termin nadsyłania prac na konkurs „Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939-1945” został przesunięty do 31 lipca 1992. Wyniki zostaną ogłoszone w miesięczniku *Karta* w październiku 1992. Przepominamy, że nagroda I wynosi 5 mln zł, II — 3,5 mln zł, III — 2 mln zł, a prace należy nadsyłać pod adresem: Archiwum Wschodnie, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 25, tel. 26-24-41 w. 359.

Jednocześnie AW apeluje do wszystkich zainteresowanych o przekazywanie do naszych zbiorów innych „wschodnich” dokumentów, zwłaszcza pamiętników, dzienników, starych fotografii, ulotek, prasy itp., a także pamiętek materialnych do tworzonego właśnie Muzeum Sybiraków.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUŹIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 437-1992

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1992			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$A. 12,00	\$A. 70,00	\$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$can. 12,00	\$can. 65,00	\$can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonton Nr 4882 346	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$US 10,00	\$US 55,00	\$US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

TOM 473 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SETNY

zawiera opracowania: Edward Mozejko: *Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku Sowieckim przed 1939 r.*; Adam W. Kulik: *Prawosławie w Polsce. Rozmowa z bp. Ablem*; Bp Szczepan Wesoły: *Podwójna jurysdykcja dla Polaków w Anglii*; Andrzej Paczkowski (opr.): *Nastroje przed bitwą*; Piotr Wandycz: *List Jana Masaryka do Stalina*; Józef Rybicki: *Wspomnienia o organizowaniu „NIE”*; Ołeh Puszkarski: *Spotkania Ukraińca z Polakami w łagrze stalinogorskim*; Dora Kacnelson: *Ossolineum we Lwowie w latach 1961-1991*; Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. III.*; Andrzej Grzywacz, Grzegorz Mazur: *„Polska i świat” w krzywym zwierciadle*; Piotr Wandycz: *O polskiej dyplomacji*; Józef Lewandowski: *Powstanie, kryzys i rozpad bloku sowieckiego w Europie*; Janet Zmroczek: *Ruch wydawniczy w Polsce po 1945 r.*; Tadeusz Wyrwa: *Żydzi polscy we Francji*; *List z Krakowa z 26 marca 1794 r.*

Str. 240

Cena F. 90,00